WARTA NAD WARTĄ

ADOLF NOWACZYŃSKI

WARTA NAD WARTĄ



POZNAŃ — 1937

NAKŁADEM DRUKARNI POLSKIEJ SP. AKC.

INICJAŁY LEONA PRAUZIŃSKIEGO



TŁOCZONO W DRUKARNI POLSKIEJ S. A. W POZNANIU ŚW. MARCIN 70

PRZEDSŁOWIE

Nic nie jest tak trudnego do napisania jak wstęp do własnej rodzonej książki.

Właściwie przedmowę taką powinien napisać ktoś inny, ktoś wam znany, ktoś kochany, ktoś z dawna oczekiwany.

Toteż po kilku nieudałych próbach własnoręcznych (na brudno) miałem zamiar zwrócić się to do marszałka Trąmpczyńskiego, a to znów do prezydenta Ratajskiego, a to do dr Wojtkowskiego. Rozważywszy atoli, że z różnych względów mogą ostatecznie statecznie i grzecznie odmówić, zdecydowałem jednak przedsłowić sam i uprzywstępnić ten tom osobiście, własnoręcznie („Sam wśród ludzi").

Pierwszy ten zbiór szkiców i studiów specjalnie wielkopolskich genezę swoją zawdzięcza dwom względom, wzajem się dopełniającym:

nieuleczalnej już animozji do miarodajnej obecnie w rodzinnym mieście (nad Wisłą i Rudawą) „mętalności" (patrz stosunek Chestertona do Bristolu), oraz

zastarzałej admiracji dla moralnej i intelektualnej struktury społeczeństwa nad Wartą. Cokolwiek zatem z zrzędności i przekory.

To, co krakowskie, bardzo krak-owskie znane mi jest najdokładniej od pół wieku. Z tym, co wielkopolskie, zapoznałem się lat temu już trzydzieści, z przysypką, czterdzieści omal. Niewielu to takich pisarzy z Polski interesowało się wszechstronnie, dogłębnie i zapalnie życiem politycznym, gospodarczym, socjalnym i kulturalnym byłego zaboru pruskiego, jako niżej podpisany. Po wojnie europejskiej i po ukonstytuowaniu i skonsolidowaniu się państwa polskiego ten kult

kultury wielkopolskiej, to rozinteresowanie się, podziw, szacunek — jeszcze wzrosły, gdyż dołączyło się do nich nadto... współczucie dla — co tu obwijać w bawełnę — wyzyskiwanych, krzywdzonych, postponowanych, degradowanych.

Wielkopolanie zapłacili za niepodległość najhojniej, bo i krwią i złotem. Zrzucili jarzmo niewoli własnym samoistnym wysiłkiem. Zdobyli się na wykup od Niemców dóbr materialnych i warsztatów pracy. Przez pierwsze lata na ich barkach spoczywał ciężar finansowy utrzymywania zmontowanego aparatu państwowego. Skarb Narodowy zaistniał dzięki ich ofiarności pieniężnej. Stali się śpichlerzem artykułów rolniczych. Dawali polskiej armii najlepszego, najfachowszego, serio żołnierza. Uczyli swym przykładem rodaków praworządności, dyscypliny, rygoru, sumienności, rzetelności podatkowej, rządności gospodarczej, harmonii socjalnej i... wyścigu w pracy. Patriotyzm ich urzeczywistniał się w obowiązkowości, w inicjatywie, w czynie, w ofiarności, a nie w deklamacjach, w „pyskowaniu", w tromtadracji, w piosenkach, blaszkach i emblematach. Równocześnie potrafili pozostać nadal najwyżej zorganizowanym terytorium i zdołali utrzymać dosłowną Polskę A i nadal zachodnio- czy środkowo-europejski standard życiowy obywateli, czystość miast, schludność ludności, wysoki poziom szpitalnictwa, szkolnictwa, wodociągów, dróg, mostów, bruków, ogrodów, parków, wychowania fizycznego, hygieny, co wszystko, jak wiadomo, kosztuje sporo. No a wreszcie wielki egzamin, summa cum laude zdany: Pewuka.

Co za to? Jak się im wywdzięczyła za te świadczenia nad miarę Polska B, Bebe, Cece itd.

Dwie inflacje, interwencjonizm, etatyzm, fiskalizm, dyletantyzm, eksperymentalizm, pozrywana i poniszczona sieć banków prywatnych, położenie na łopatki wysokiego rolnictwa, nadłamanie gałęzi industryj, związanych ze wsią, spauperyzowanie, zrównanie w dół, zbliżanie do barbaryjnego Wschodu, asymilowanie do Polski B, wreszcie zaciskanie pasa i zaciskanie zębów. Ci rodacy niepodległość odzyskaną opłacili dosłownie najsowiciej. Im Polska dosłownie nie dostała się darmo. Rolnicza dzielnica, utraciwszy olbrzymio chłonne rynki zbytu, musiała przestawić swój cały system gospodarczy. Za czym przestawiła, i to, jak zawsze, fortunnie i wzorowo. Z prowincyj, dających najwyższe sumy podatkowe skarbowi państwa, idą teraz podatki mierniejsze. Już Wielkopolska nie jest ani „oazą kapitałów", ani „dojną krową". Najrządniejsza, najsolidniejsza, najwzorowiej prowadząca się dzielnica zepchnięta została do rzędu województw normalnie wybiedniałych. Że atoli odporność, hart, prężność, żywotność, tężyzna i... talentyzm ekonomiczny tkwią i krążą nadal we krwi tego plemienia, tego gatunku polskiego, przeto w ostatnich czasach znów odczuwać się daje pewne wydźwigiwanie się z padołu kryzysowego, i są już widoczne przedświty gospodarczej prosperitas.

Utrzymuje się też Poznań nadal na wysokim poziomie jako dzielnicowa centrala dynamicznych kulturalnych wartości, jako ognisko intelektualne. Mocny blask promieniującej oświaty idzie od uniwersytetu. Na europejską skalę postawione i prowadzone księgozbiory, muzea, galerie publiczne i prywatne. Równomierny, szeroko rozłożony stan czytelnictwa. Mocne i zdrowe domy i firmy wydawnicze. W statystyce wydawania nieperiodyków Poznań figuruje na drugim miejscu tuż po Warszawie (1 100 rocznie) z czterema milionami egzemplarzy przeciętnie; również zaraz po Warszawie idzie cyfra periodyków, 225 plus 37 niemieckich (na 740 w stolicy). Że szkoły artystyczne, szkoły sztuki stosowanej, szkoły muzyczne, organizacje chóralne itp. pracują z dużą wytrwałością pionierską, przeorywując grunty jeszcze świeże i dla wyższej uprawy dopiero odzyskiwane, więc wcześniej czy później należy się spodziewać, że gdzie są pojętni uczniowie, wnet znajdą się i mistrze, przyjdzie artyzm, Sztuka. Dodać tu trzeba to, co, jeżeli już nie dla wszystkich najważniejsze,

to w każdym razie najcharakterystyczniejsze i bezwzględnie przyszłościowe, to jest, że całokształt tej kultury obyczajowej i intelektualnej dzielnicy wielkopolskiej jest przepojony wskroś katolicyzmem, i to w Poznaniu „oświeconym katolicyzmem", żywy kontakt z Zachodem utrzymującym, przepojonym moralizmem katolickim, romańskim, latyńskim, który, trzymając się dotychczas w rozwojowym stadium gromadzenia sił i środków oraz przeciwwagi zsemityzowanym: Warszawie i Krakowowi, teraz już zaczął ekspansywnie promieniować na resztę Polski, na Polskę B, BB, C (centralną) i wnet przejdzie jako cultura militans do zdobywczej ofensywy w kierunku umoralniania Polski B, BB i Polski C.

Pozostaje sprawa tzw. separatyzmu.

Było dawniej w potocznej mowie przysłowie: nie ma Polski bez Poznania. Można to było interpretować i w wyższej skali: nie ma polskiej pełnowartościowej kultury intelektualnej, bez „teorii poznania", bez filozofii. Tę zaś dawali Polsce dopiero Poznańczycy: Trentowski, Libelt, Gołuchowski, Cieszkowski, Hoene-Wroński. W Warszawie XX wieku rządziła maksyma: „poradzim sobie bez Poznania". Istniał ciągły mocny kontakt Warszawy z Krakowem, względnie metropolii z Małopolską, w każdym razie z zachodnią, ale nadal bardzo słaby, zwiewny i fikcyjny z Wielkopolską. Warszawa odnosiła się do Wielkopolan (także i Pomorzan względnie i Górnoślązaków) mniej więcej jak Wiedeń do... Szwajcarów, a co nieco jak Paryż do katolickich Lotaryńczyków lub do Wandei. Estymuje, poważa, ceni, ale faworyzuje i kocha Gaskończyków czy Piemontczyków z Galicji, małopolskich. Począwszy od (delikatnie mówiąc) opuszczenia Warszawy przez Moskali, a mniej delikatnie od wejścia Prusaków do Warszawy, dawni Galicjanie, zdobywczy i elastyczni, czują się w stolicy jak w domu; w niektórych środowiskach powtarzało się nawet dawniej truizm przesadny o „nowej okupacji". Lwów mniej, ale Kraków był wyraźnie uprzywilejowany jako polski Saint

Denis, jako brama wpadowa do Tatrów, jako brama wypadowa Legionów, jako Cambridge, Wyższa Szkoła Najwyższych Mądrości Politycznych (sic!). Lwów kocha i przypomina sobie Warszawa raz na miesiąc, Poznań i Wielkopolskę dwa razy na rok podczas wizyt dostojnych osobistości, obsypujących wtedy okazyjnie tę dzielnicę superlatywami. Materiał ludzki natomiast z najrealniej państwotwórczego, praworządnego, legalistycznego i lojalnego byłego zaboru niemieckiego traktowany jest w statuowaniu, w organizowaniu, we współrządzeniu państwem jako materiał niejako niedojrzały, nieukwalifikowany, nie predestynowany. Procent Wielkopolan w centrali aparatu biurokratycznego jest minimalny. Przy kryzysach ministerialnych ludzie z Polski dosłownie A nie są brani w rachubę, nie wchodzą ni w grę ni w rozgrywkę, ni w gierki. Tak samo przy pryncypialnych dyskusjach o nowe ustrojowe zasady konstytucyjne (totalizm czy komunizm na szaro?) zabierać głos mogą i dosłownie zabierają kompetentny nawet dzieci (stare), górale, sierżanci, amatorzy-dziennikarze IV-tej rangi, melomani a... Wielkopolanie na najszarszym końcu. Nawet ruch turystyczny, wizyty zagraniczne, eskapady żurnalistów, kierowane są misternie z omijaniem starannym dzielnicy, prezentującej się bądź co bądź po europejsku. Wandea jest w niełasce, Poznań jest kopciuszkiem, podczas gdy zikacowany, zawżydzony, choć tam zawsze tradycjonalnością przepiękny przytatrzański Kraków — Beniaminkiem.

Odpowiedzialność za ten anormalny stan ustosunkowania spada głównie na zsemityzowaną mentalność wnet półtora milionowej stolicy, małopolskością przeinfekowanej, dla ludzi z wschodnio-północnych kresów gościnnie rozwartej, a dla ludzi z zachodniej Polski obojętnej i chłodnej.

Kto jednak ustosunkowanie to bada od lat przełomowych (1914—1919), kto wielkopolskość zna ex autopsia z dawna, kto to obserwował, studiował, analizował, ten musi odpowiedzieć, że część odpowiedzialności spada także i na Wielko-

polan samych. Amicus Plater sed magis amica verecundia. Pewna ekskluzywność istniała zawsze i za Polski historycznej. królewskiej. Wielkopolanie szli, gdy ojczyzna wzywała, w erze zmierzchu zawsze pierwsi: za Kościuszki, za Napoleona, w 1830-31, 1846, 1848, 1863, dając i wodzów i bohaterów i żołnierzy. Po „potrzebie" wracali i choć myślą i sercem oddani nadal całej Polsce, żyli wewnętrznym i dośrodkowym życiem swej prowincji, zresztą przyniewoleni politycznie. Ale kiedy w latach 1846 i 1848 próbowali rwać więzy i zrzucić kajdany, nikt im z reszty Polski nie przybywał z pomocą, podczas gdy oni do „naszych" powstań szli zawsze pierwsi. Więc się z czasem jeszcze więcej zamknęli. Przez lat sto międzydzielnicowe stosunki podtrzymywało głównie ziemiaństwo przez mariaże, w mniejszej mierze mieszczaństwo, dalej dziennikarze, literatura i nauka. Stopniowo zaczęło się w społeczeństwie rozwijać poczucie pewnej wyższości gospodarczej i finansowo-organizacyjnej, wyższości ładu, porządku, solidności i oświaty szeroko, równomiernie rozlanej na wszystkie warstwy, w sumie: poczucie europejskości dosłownej, demokratyczne.

Początek wieku bieżącego przyniósł w zaborze pruskim szeroką wszechpolską myśl polityczną, którą garść całkiem młodej i zupełnie „nieustosunkowanej" inteligencji zdołała w ciągu lat kilku zaszczepić społeczeństwu, przygotowując je do tej twardej i hardej wobec potęgi prusko-niemieckiej postawy, jaką Wielkopolska zajęła w wojnie światowej.

Po wojnie, która — wbrew owej „najgenialniejszej" polityce (co się skwapliwie godziła na „niepodległą" Polskę na Saskiej Kępie) — dała wyzwolenie ziem zachodnich, częściowo wywalczone karabinami powstańców, — po wojnie, kiedy Poznań stał się niejako stolicą duchową opozycyjności, w każdym razie nieuległości i oporu (przy sumiennym i wzorowym spełnianiu wszystkich obowiązków obywatelskich), w konsekwencji tego przyszła degradacja i eliminowanie. Uczepiono się

przy tym niepowodzenia ministrów właśnie w resortach gospodarczych, które zdawały się być specjalnością dzielnicową. Była moc, tuzin, kierdel gorszych dygnitarskich „nieudaczników" z innych dzielnic, ale tym się łatwo zapominało ich nie tylko niekompetencję, ale kalectwo, fuszerkę, tandetę. Wielkopolanom, wezwanym i wybranym, nie zapomniano, bo się od nich spodziewało i wymagało cudów, w każdym razie cudu wyciągnięcia skrzypiącego wozu z błota nędzy gospodarczej i ekonomicznej. W Warszawie odtąd wyrobiła się wygodna (dla Małopolan?) opinia, że ludzie z nad Warty samostarczalni są w granicach swej dzielnicy, ale na eksport w Polskę i wzwyż się nie nadają, nie są ministeriables, nie kwalifikują się do pierwszych skrzypiec i na solistów niezdatni, tym bardziej, że zbyt sztywni w karkach.

Już to trzeba przyznać Wielkopolanom, że reklamować siebie i swoich ludzi nie umieli nigdy. I nie pomogły im wzory tego kunsztu „made in Galicia", gdzie z igły robiono w mig widły, a z powiatowych głów do pozłoty excellencje i znakomitości. Dawali Polsce od zarania Wielkopolanie wielkich mężów stanu, dyplomatów, polityków, kanclerzy, statystów, dawali filozofów, historyków, ekonomistów, reformatorów, pionierów, uczonych, dawali wodzów i bohaterów powstaniom. Ale legitymować się tą wieki trwającą wytwórczością indywidualności na wielką skalę, ale przypominać to kolejno Polsce w decydująco ważnych momentach nie raczyli, nie uważali za wskazane. „Jak co zaś dobre, to się samo zaleca"; „na prawdę nie potrzeba świadka". Dość powiedzieć, że kiedy ostatnio odsłaniali w Warszawie i w . . . Paryżu pomniki synom Wielkopolski (Kiliński, Bogusławski, . . . Hoene-Wroński), nikt słówkiem o ich gniazdach rodzinnych nie wspomniał, a żaden głos z Wielkopolski słówkiem się o to nie upomniał.

Twarde w krzyżu i harde są te Lechity najstarsze, najdojrzalsze, najcywilizowańsze, najbliższe Europie i najczystsze

dosłownie, tj. samotycznie, rasowo i moralnie. W poczuciu swych wartości nie chcą i nie umieją zginać karku, baki świecić, podlizywać się i płaszczyć i pływać w stawku blagi i pochlebstwa. I dlatego może, bojąc się ich, jednocześnie się ich mniej lubi, i nie dopuszcza do ... wielkiego ołtarza. W konsekwencji takiej psychozy wyradza się potem bagatelizacja, lekceważenie, traktowanie z góry jako quantité négligeable.

I może się zdarzyć, a raczej mogło się zdarzyć, że kiedy pewien młody starszej daty autor dramatyczny zamierzył pisać historyczny utwór sceniczny na tle powstania wielkopolskiego w r. 1848, spotkał się w stolicy dookoła ze sceptycznymi uwagami: Kto to wystawi? Kogo to obchodzi? Jakie powstanie? W Wielkopolsce żadnego powstania nigdy nie było. Gdyby jeszcze powstanie w Chochołowie — to co innego, to mogłoby być czymś interesującym. Ale „powstanie" i „Poznań" — to się nie rymuje. „Poznańczycy w ogóle w powstaniach nie bywali". W Oleandrach też Poznańczyków nie było. Poznań to: Pewuka, Cegielski, buraki i coś w ogóle szarego, nijakiego, nie frapującego, nie fascynującego ... „Pisz miszcz o Chochołowie, to i owszem". „Posnania to nam Hekuba"... „To nic nikogo nie obchodzi. To obce!". Dosłownie. „To obce"...

Otóż z tym ustosunkowaniem Polski B, BB i C do Wielkopolski trzeba rozpocząć na wielką skalę nakreśloną kampanię. Dać knock-out w brzuch temu odseparowywaniu się od Wielkopolan. Nie Koce jeno garnki lepią! „An nescis, mi fili, quantilla sapientiae regitur mundus?" jak mawiał do syna w szwedzkiej łacinie kanclerz Oxenstjerna ...

Temu celowi służą te szkice i studia od dwóch lat ściubolone i klecone, a w dwóch tomach skolekcjonowane. Mogłyby nosić tytuł: „Podniety i Zachęty". Opracował je pan Nietutejszy, nie wkorzeniony, przybysz, gość, wędrowiec. Mogą więc być w nich niedopatrzenia i błędy i byki i bluffy. Feci quod potui, faciant meliora potentes. Mogłyby nosić jeszcze inne tytuły: Remember! czyli: Pamiętajcie, jakich mieliście

przodków i antenatów bajecznych, „morowych", „byczych", prima sorta, a jak właściwie ... teraz ... prawdę mówiąc ... do cna ...

Obiecałem niegdyś ongiś, trzydzieści roków temu, że się tym wszystkim kiedyś zajmę i zacznę rozświetlać po swojemu.

Wypełniam obietnicę dopiero po latach czterdziestu. Ale wypełniam. Lepiej późno niż nigdy.

Drugi tom na warsztacie.

ADOLF NOWACZYŃSKI

DRUGI OSTRORÓG



Ostrorogów dała Polsce Wielkopolska dwóch.

Jeden jest nomen magnum w dziejowości polskiej kulturalno-politycznej, zajmuje dużo miejsca w encyklopediach, w historiach i w podręcznikach literatury, bywa nadal obiektem dyskusyjnym na uniwersyteckich seminariach polonistycznych, pisze się o nim w dalszym ciągu „przyczynki" i rozprawki. Jedyne jego dzieło, w skróconym tytule „Monumentum" wydobyte, przetłumaczone i wydane po raz pierwszy przez Czackiego (1818), było omawiane, badane, analizowane przez cały szereg najznakomitszych i najpoważniejszych uczonych prawników, historyków, ekonomistów, socjologów. Pierwszemu w Polsce ideologowi, prekursorowi rządów elitarnych, państwa totalnego i integralnego nacjonalizmu poświęcili pogłębione studia Bandtkie, Bentkowski, Lelewel, dalej idąc chronologicznie: Hube, Helcel, Małecki, E. Callier, po czym Bobrzyński, Pawiński, L. Wegner, następnie za naszych czasów: Rembowski, Caro, J. Ptaszycki, aż wreszcie nie tak dawno, ale jeszcze w starym warszawskim „Ateneum" legendę o jego poświęconej postępowości, humanitaryzmie i demokracji obalił z im-

petem gwałtownym radykał warszawskiego stylu pozytywistycznego: Ernest Sulimczyk Świeżawski.

Jak widzimy z wyliczenia, zdaje się skrupulatnego, poczet uczonych powag chybaże imponujący. Można powiedzieć śmiało, że poznańskiemu reformiście, senatorowi i... „sanatorowi" z XV-go wieku, z pogranicza scholastycyzmu i humanistyki poświęciło sporo czasu grono najtęższych mózgów polskiej jurysprudencji, ekspertów teorii państwowo-ustrojowych i administracyjnych. „Monumentum" J. Ostroroga jest przestudiowane, przeanalizowane, obwartościowane pieczołowicie, kompetentnie i bez reszty. Jego autor zakwalifikowany bardzo wysoko w hierarchii statemackerów, a nasi Cambridge i Oxford-manie mówią o nim con el graneo en mano, to znaczy już nie z kapeluszem a z „mózgiem w ręce". I ten to Ostroróg z... monumentu całkiem zepchnął w cień... drugiego Ostroroga.

Wobec tego, na przekór pozornie, zajmiemy się tu właśnie tym drugim Ostrorogiem, który dotychczas nie doczekał się ani jednej rozprawki (choćby seminaryjnej), ani jednego szkicu czy przyczynku, a jest ich i wart i godzien. Uczeni bowiem też bywają niekiedy podobni w swym gremium do „Trzody Panurga"; przy jednym obiekcie badań ścisk i tłoczno, przy innym pustka i cisza. A drugi Ostroróg też wart i godzien, bo także autor wielu prac ciekawych, mających tylko tę wadę pryncypalną, że nie zawsze drukowanych, a pozostałych w fazie rękopiśmiennej. Ale już te, które drukowane, awansują go na amatora litterarum wcale oryginalnego, podczas gdy wielki i sławny Ostroróg tak znowuż oryginalnym właśnie nie jest, skoro, jak najnowsze badania wykazały „Monument" oparł na cokole pewnego dzieła

niemieckiego, to jest na Fryderyka Reisera „Reformatio Sigismundi Imperatoris" (1438). Ostroróg Nieznany zaś wszystko to, co wypisywał, wysnuwał sam ze siebie, z własnego cerebrum, nie „opierając" ani nie przyswajając sobie zamorskich czy zagranicznych mądrości.

Oczywiście istnieje ważka i walna różnica między dziadkiem, a wnukiem w ciężarze gatunkowym obu indywidualności, w rozmiarze horyzontów myślowych, w skali zagadnień i problemów, jakie poruszali oraz w roli, jaką odegrali za życia, a jeszcze więcej w 300 lat potem, po ekshumacji literacko-historycznej. Wielki sławny Ostroróg, to, pomimo wzorowania się na dziele niemieckim, jest jednym ze szczytowych reprezentantów politycznej inteligencji sarmackiej, myśliciel, reformator, fenomen w antycypacji pewnych idei, doktryn, dogmatów, kierunków dziś znowu w Europie aktualnych (nowe średniowiecze?), podczas gdy nasz Ostroróg raczej simplex servus Dei o zasięgu myślowo-ideowo zwężonym raczej do obrębów ekonomiczno-gospodarczych, obszarniczo-landlordoskich. W uprawie intelektualnej i w oświeceniu umysłowym, w umiejętnościach nabytych nie ma między nimi wielkich różnic. W pisarstwie atoli swoim ograniczył się wnuk Ostroróg z XVI wieku do tematów ściśle związanych z ziemiańskim bytowaniem, nie puszczając się na szerokie flukta politycznych deliberacji, na których jego dziadek objeżdżał kontynenty i światy z szeroko rozpostartymi żaglami. Ale i on, co prawda raz tylko, zabawił się w reformatora, w... „sanatora" w bliżej nieznanym traktacie „De Republica Ordinanda". W każdym jednak razie i on przestudiował jurysprudencję w Bononii i on peregrynował po Italii,

Francji, Niemczech, aby tam „rozumy pojeść" i eksperiencji nabrać. No i musiała to też być głowa nie tylko nie bylejaka, „powiatowa", ale „ministerialna" i dyplomatyczna, skoro król Zygmunt III jemu poruczył pertraktacje z rokoszanami Zebrzydowskiego, a potem powierzył edukację synów... królewskich.

W karierze oficjalnej koronnej z kasztelanii poznańskiej wnet przeszedł na stolec wojewódzki w Poznaniu. Militarnie odznaczył się w wojnie wołoskiej pod Chocimem z pięciuset własnej jazdy Wielkopolskiej, co potem dokładnie opisał: „Wojna Wołoska cesarza tureckiego Osmana przeciwko Koronie Polskiej podniesiona", drukowane w Poznaniu 1622.

W swojej specjalności pracować piórem zaczął już w późniejszym wieku (dożył lat 70), kiedy pojąwszy za małżonkę wojewodziankę podolską, Mieleckiego hetmana córę, wziął za nią olbrzymie wiano w wschodniej Małopolsce, gdzie się też z czasem przeniósł, rezydencję zakładając aż w Komarnie.

Specjalnością tedy tego Ostroroga były, mówiąc po nowoczesnemu, broszury popularyzacyjne z dziedziny gospodarstwa wiejskiego. Podstawy fundamentalne tej później wspaniale rozwiniętej i rozkwitłej g o s p o d a r c z o ś c i ziemiaństwa wielkopolskiego, dał we własnych teoretycznych dociekaniach inny Wielkopolanin tj. Sieklucki (Seclucjan) w swej „Oekonomia albo Gospodarstwo" (1546), wydanej po raz wtóry przez Celichowskiego (1890). Gospodarski światopogląd w broszurach praktycznych propagował Jan Ostroróg, wydając (już w r. 1590!) „Kalendarz Gospodarczy", a potem kolejno cały szereg pouczań, doradzań, praeceptów, a więc „Nauka koło pasiek", „O utrzymywaniu win", „Choroby źrebców", „O ważeniu ryb", „Przeciw pijaństwu" (pierwsza antyalkoholiczna „ulotka"). Ponieważ przy rezydencji w Komarnie założył wielki zwierzyniec (głównie daniele), więc dał braciom ziemianom opis tegoż zoologu z pouczaniem chowu pt. „Zwierzyniec Komarszewski" (sic). I z tą publikacją już ma związek s t a n d a r d w o r k przez „hrabię" (nie hrabiego!) napisane w całości, wydane po raz pierwszy w Krakowie (1618): „Myśliwstwo z Ogary".

Tym to dopiero dziełkiem zyskał sobie wojewoda poznański i pan na Komarnie względną do pewnego stopnia sławę i „nieśmiertelność", czyli w historiach literatury ojczystej skromną punktację.

Wydań tego było kilka: w Krakowie, w Warszawie, w Łowiczu i powtórnie w Krakowie w Bibliotece Polskiej Turowskiego (1859).

„Myśliwstwo z Ogary" dedykowane jest wychowankowi, królewiczowi polskiemu i szwedzkiemu Władysławowi, późniejszemu IV-temu.

Dedykacja Mentora dla Telemaka bez cienia jakiejś uniżoności i dworactwa, ale skromnie exkuzująca się z wydania drukiem pozornie tak błahej rzeczy: „siostrzeniec mój jegomość pan Sapieha marszałek nadworny litewski namówił". Stron liczy 51 podręcznik i niby to o psiech „o chartach, szczwaczach" „po jakich psiech szczenięta chować", „zatyłe psy jak ochudzić", „cuch stracony jako naprawić" itp., a w gruncie rzeczy jedna wielka apologia łowiectwa i myśliwstwa. Już co prawda przed Ostrorogiem wyszedł jeden taki poradnik myśliwski, anonimowy (1584) „O myśliwstwie, koniach, psach łowczych książek pięcioro", za naszych czasów przedrukowany przez prof. Rostafińskiego. Zresztą nawet dziad Ostroróg w swym poważnym, statystowskim „Monumentum" w § 66 omawia łowiectwo i poucza „nie bić

zwierzyny skoro idzie w pary i koci się dla niezatracenia przypłodku". Ale dopiero nasz dziedzic z Komarna traktuje łowiectwo wyjątkowo poważnie jako czynnik moralno-fizyczny w edukacji górnych warstw spółczesnych państwowo-obronnie odpowiedzialnych w owe czasy.

Nemrod Ostroróg argumentuje serio i co więcej... przekonywująco. Nie sposób jest choćby „próbki" nie przytoczyć tym bardziej, że i polszczyzna jest jako wino najprzedniejsze:

„Nawet jeśli żaden naród nie był tak szczęśliwym, żeby kiedy wojny nań nie przychodziły, powinien się w tej zabawce kochać, która czasu pokoju ludzie wojenne w pracach do wojny należących zatrzymywa i zachowywa i załęgać się im nie da. A taka sama jedna jest myśliwstwo, bo ma w sobie wielką pracowitość i pociechę wielką. A pewnie jako pociecha bez pracowitości jest rzecz rozkoszniczkom nie rycerskim ludziom należąca, tak też pracowitość bez pociechy ledwie jest rzecz człowiekowi wytrwana. Człowiek myśliwy nie dośpi, nie doje, upragnie, umoknie, uziębnie, uznoi się, na szkapie się ukołace, ba i z niego potłucze, a wszystko mu to lekko dla tego smaku, który w myśliwstwie czuje... Niechby kto rzekł, że tę rzeźwość rycerską może zatrzymać... szermowaniem, gonitwami, przejażdżkami, ale to wszystkie rzeczy są, co się uprzykrzą... W samym myśliwstwie ustawiczna varietas delectat... Zda się nieborakom myśliwcom po wszystkich owych pracach i niewczasach, że jeszcze czegoś nie dostawa, kiedy słońce zachodzi... Ledwie w nocy strudzonym kościom na sen pozwoliwszy, zaraz wyglądają, jeśli słońce jeszcze nie świta. Ta tedy smaczna praca sama jedna jest, co czasu pokoju zachowywa rycerskiego człowieka w sposobności do wojny"...

Po czym Nemrod i Mentor w jednej osobie opowiada królewiczowi jak to on sam chromy, chory, stary i „do końca skaleczony" jeszcze przy królu wytrwał wojenne niewczasy w walkach z rokoszanami i jeszcze

teraz choć chodzić już nie może, „kiedy mię na konia wysadzą, wytrwam na nim póki potrzeba". A nie wytrwałby pewnie „by nie przy myślistwie". I tym myśliwstwem „zdrowie zatrzymywa"... Bo się czasu pokoju nie pieścił, „alem często na koniach pracował i niewczasów, którychem się był z młodu cierpieć i wytrwać nauczył, nie wystrzegałem się, nie legartowałem. A legartują i ociężeją i gnuśnieją ci, co wolą biesiadować, kosterować, albo się jakąś siedzianą zabawką a często niedobrą bawić". Jego „siedzianą zabawką" było przeważnie pisanie tych podręczników prozaicznie gospodarskich. Raz jednak pono puścił się pan wojewoda i na jakoweś poema, nawet drukowane, jeno anonimowo p. t. „Judith".

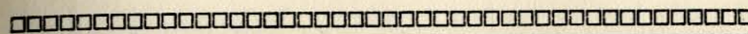
...No i jeszcze jedną „siedzianą zabawką" musiał się bawić pan wojewoda, a były nią... szachy, skoro omal spółcześnie z Kochanowskiego tłumaczeniem poematu Vidy „Scaechia Ludus" wydał „Naukę gry szachowej" tłumaczoną z Damiana.

Ten landlord z Komarna, a wielkopolski wielkorządca był z... powrotem katolikiem rzymskim, podczas gdy jeszcze jego ojciec, jak i wielki dziadek wyznawali luteranizm.

Jak Radziwiłłów, synów herezjarchy, nawrócił ksiądz Pawęski, tak jego na łono Kościoła katolickiego przywrócił znakomity kaznodzieja i żarliwy kontrreformacji apostoł ksiądz Krzysztof Warszewicki. I oto gdy w „Monumentum" (przesławionym) pełno rozsianych exkursji przeciw Kościołowi, hierarchii, Rzymowi, duchowieństwu, to w bezpretensjonalnych i nie światoburczych, racjonalnych, roztropnych, docześnie-przyziemnych pouczeniach esquira z Komarna dużo bogobojności, skromności, miłości ludzi,

przyrody i ojczyzny taką, jaką sobie była. Right or wrong my country. Klasztor też bardzo piękny w Sokalu wojewoda literat ufundował, którego mury dotrwały. Ojców Jezuitów światłonośców tej ery, też kiedy trzeba było w obronę wziąć — wziął (Listy do syna). A że w praktycznym utylitarystycznym countrymanie i popularyzatorze-pedagogu drzemały też artystyczne instynkta, że swój umysł zaprzątał nie tylko ogarami i ogierami, hreczką i sieczką, pasiekami i zoologami, o tym świadczy przyjaźń nie jeno wieloletnia, ale przyjaźń całożyciowa ze skromnym sobie rymopisem poetą Szymonem Szymonowiczem, chudopachołkiem, którego wierszyki swoim sumptem wydawał i ku czci którego serdeczne laudum skoncypował.

Summa summarum: wysoce sympatycznym jegomością był ten Ostroróg nieznany, latyfundysta uspołeczniony, obszarnik oświecony, magnat modelowy, ziemianin, na którym musieli wzorować się inni... spółcześni i potomni, aż koleją generacji doszło do... patrona Jackowskiego i do tych, co minioną dziś już niestety prosperitas dzielnicową statuowali.



MECENAS CHOIŃSKI



To brzmi bardzo nowocześnie, ale to nic z nowoczesnością nie będzie miało wspólnego. To o pewnym mecenasie sprzed okrągło 400 lat. Bywały i wtedy indywidualności sarmackie bardzo interesujące. Mądrze i dobrze i także higienicznie dla zmęczonego dzisiejszością mózgu poznać się i pokumać z osobistościami nawet najstarszej daty, byle większego kalibru i to nie tylko z pisarzami albo nie tylko z wojownikami, ale (jak w tym wypadku) z mężami stanu, dyplomatami, politykami.

Zetknęło się z nim poraz pierwszy bardzo dawno przy studiach przygotowawczych do „Fryderyka Wielkiego“ i jego środowiska i otoczenia. Taka pani Skórzewska, generałowa, wdowa, Polka... I skąd to taką rolę wielką w pewnym okresie grała w Sanssouci u starego króla? Mąż nieboszczyk nie żadna tam znów figura, marszałek konfederacji wielkopolskiej. ale znowu nic takiego ważnego i wielkiego. Więc tedy zalety i przymioty u generałowej widocznie całkiem osobiste. Istotnie tak. Bardzo a bardzo kształcona, polityczka, ekonomiczka, myślicielka, francuskie wierszyki pour passer le temps pisywała, a mężczyźni, i to bardzo poważni, wysoce cenili sobie jej towarzystwo

i z nią konwersacje i dyszkury. Tedy jak była de domo? z jakiego gniazda pani Dorota? Okazuje się, że Choińska, że z Choińskich - Habdanków. I co się dalej okazuje, że Choińscy to wogóle bardzo „piśmienny“ gatunek, zawsze inteligentny, intelektualny, tradycyjnie wszechstronnie kształcony, w ogóle jak w Krakowie się mówi: co głowa to kepełe, no i sam cymes. I Choiński także.

Dużo wśród nich głów senatorskich, talentów administracyjnych, jurystów, legislatorów, urodzonych do rządzenia i władania, dużo ministeriables. Panowie wielcy, bo to od XI wieku się datują jako grabiowie comesy z Górki, z pogranicza Śląska i Księstwa. Jedni z najstarszych obok Nałęczów, Grzymałów, Łodziów, bogactwa ongiś olbrzymie, bo to latyfundia: Chojno, Golejewo, Ostrobudki, Stwolno, Słupia, Zielona Wieś, Niemarzyn, Sikorzyn, Zawada, Ugody, Kuberki, Golejewek etc. nie wyliczyłbyś wszystkiego. Ergo: karmazyny całą gębą a jednak, a jednak jeżeli już nie demoluby, to w każdym razie chłopomany, no i tradycyjnie antykastowi. Zostało w legendzie rodu, że kiedy który na wojenkę wyjeżdżał ex arce Chojno albo ex arce Czestram, to gromadę chłopów starszyznę na zamek wzywał, małżonkę wielmożną i dzieciska ich chłopskiej opiece powierzał. No i z tym ludem wieśniaczym stale za pan brat i komitywy serdeczne. No i bez „cudu“ z szlachtą polską polski lud bywał w majątkach i dominiach comesów z Górki i z Chojna.

A drugie, co u nich tradycyjnie przechodziło z generacji na generację, to zmysł i smak do spraw publicznych, politycznych; żyłka dyplomatyczna. Jedna linia, co przeszła na Mazowsze, na Kujawy, ta się pisywała Chojeńscy, i ta zadomowiona, zasiedziała,

gospodarcza, fortuny zbijanie, powiatowe głowy, partykularz, ale także wielu zdolnych i wybitnych (Skarbkowie). A Habdank Choińscy wielkopolscy tylko in rebus publicis. Protoplastę mieli świetnego, bo Jana z Górki grabiego, co od Krzywoustego króla posłował do cesarza Henryka i miał z nim tę wspaniałą scenę teatralną z odrzuceniem prezentów i historycznym powiedzonkiem cesarskim i z tym „Hab Dank“! Ale że taka służba publiczna (jak oni ją pojmowali) złota i majątków nie przymnaża, więc magnacki ród z wiekami zbiedniał, schudł, „zeszpetniał“, ale jakoś „dziwnie wyszlachetniał“. Młodsza linia w górę, starsza w dół. Jak to bywa...

Jeden z Choińskich zamerykanizował się i założył w Arkanzas kolonię nadal istniejącą: Choyno. Ale my przypomnimy Choińskiego innego, lecz najważniejszego, splendor rodu i nazwiska, wielkiego męża stanu, dyplomatę i dobroczyńcę całego szeregu sławnych i zasłużonych Lechitów. Dlaczego tego specjalnie, to się później dowiemy. Narazie kto zacz?

Za Zygmunta Starego żył i za królowej Bony, z królem w najserdeczniejszej przyjaźni, z jejmością Sforzanką na bakier, a czasem na udry. Era Renaissance par excellence.

Galeria wtedy w Polsce figur pierwszorzędnych „polerowanych“ we Włoszech i w Niemczech, oświeconych, światłych, europejskich. W Rzymie, Padwie, Bolonii, w Londynie, Gandawie jak u siebie w domu, korespondujących z różnymi wielkościami tej ery, także humanistami. Cóż to za wspaniałe okazy królewskiej fauny „panów koronnych“, tacy Łascy, Łukasz Górka, Samuel Maciejowski, Karnkowski, Tarło, Jan Tarnowski, Szydłowski, Mikołaj Wolski, Kmitowie, A. Krzycki...

Wielkopolska dostarcza wtedy na najwyższe dostojeństwa najprzedniejszych reprezentantów szczególnie w najwyższej hierarchii kościelnej. Ale równocześnie wielkich statystów, myślicieli i działaczów politycznych. Z ziemi, która wydała dwóch Ostrorogów, wywodzą się dygnitarze kościelni, obdarzeni talentami raczej świeckimi, cywilnymi. Przecież stąd idzie Laurentius Goślicki, autor „De Optimo Senatore" (The Acconplished Senator), księgi popularnej w Londynie, którą wertował nawet.. Szekspir; stąd Tomicki kanclerz (Acta Tomiciana), stąd Paweł z Brudzewa Włodkowic, autor pierwszego traktatu ostrzegającego przed straszliwym dla Polski niebezpieczeństwem pansemickim (De Potestate Papae), prekursor biskupa Tretera i prekursor Staszica...

Jednym z najzasłużeńszych, a najmniej w encyklopediach i podręcznikach miejsca dotychczas zabierającym, jest kanclerz Zygmunt Jan Habdank z Chojna Choiński.

Żył niedługo, bo pięćdziesiąt dwa lata, ale co mógł przez ten czas zrobić dobrego ojczyźnie, państwu, monarsze i ludziom, to zrobił. Kariera szybka i mocna. Doktor obojga praw (obojga „dekretatów"), szatę duchowną przywdział i wnet zeń praepositus czyli proboszcz poznański. Ale mało z niego pociechy miało probostwo, ponieważ od razu do Krakowa i do kancelarii królewskiej na Wawel. Coś jak centrala M. S. Z. a coś jak przyboczna kancelaria Prezydenta. Na czele szef „notariusz" czyli sekretarz koronny w początkach Choińskiego kariery — biskup Tomicki. Król Jegomość, choć stary ale jary, odrazu na nowej sile intelektualnej się poznał. Jedna z pierwszych prób dyplomatyckiego kunsztu to było wysłanie Choińskiego na dwór cesarza Ferdynanda i zwerbowanie

córy Elżbiety na żonę młodego Zygmunta Augusta. Że pięknie poszło i się udało, w nagrodę infuła przemyska. A były to czasy, w których kapituły miały wielkie kapitały i dochody wcale piękne. Choiński na zamku awansuje na primarius secretarius, a równocześnie i z Poznania i z Przemyśla płynie mu forsa czyli mamona, pecunia, aurum et argentum.

Co z tym robi? Czy to, co znany, nawet przysłowiowy biskup Gamrat (gamratki)? czy vinum hungaricum jak wielu innych? czy stawia pałace, czy jeździ zagranicę i tam się puszy? czy skupuje dobra i ziemie dla nepotów, dla familii? Otóż nic z tego! Nie dla siebie. Nie dla familii. Ksiądz kanclerz, króla faworyt zostaje mecenasem, ale nie sztuki czy muzyki, a mecenasem, obrońcą, benefaktorem ludzi, młodych a zdolnych ludzi. Umie ich szukać i umie odnaleźć. Ma szczęśliwą rękę i zmysł doboru fortunnego. Żadnych nie forytuje kasztelaniców, a co więcej, żadnych nawet szlachciców, a jakby tendencyjnie i programowo — mieszczańskich, a nawet kmiecych synków, a nawet niemczyków młodzieńkich, z których potem wyrastają sarmackie znakomitości.

W Krakowie u OO. Franciszkanów w krużganku wizerunek jego wisi od lat czterystu. Ufundował portret swego patrona jeden z takich wybrańców-wychowanków: „patrono suo optime merito" uczony kanonik o nazwisku rzetelnie chłopskim: Wierzba. A takich Wierzbów było sporo. Jak tylko talent w młodym jakimś chudzielcu z Nowodworskiego Gimnazjum świętej Anny lub i gdzieindziej uwidział, zaraz go pod skrzydła brał i albo do Alma Mater Jagiellonum, albo nawet do Lipska lub do Italianów słał i na kształcenie dukaty wysupływał. Gamraty piły, kosterowały, polowanka, dziewuszki, poróbstwo i ruję

wyczyniały, zwyczajnie jak ludzie z Renesansu A ksiądz proboszcz poznański, biskup przemyski, a wreszcie krakowski, wszystkie dochody, jakie tylko miał, na edukację biedaków dawał, pomagał, protegował, lansował i na „ludzi" wykierowywał. Panowie magnaci się dziwowali i za niespełna rozumnego go brali, nawet go szykanowali i dokuczali, a mecenas Choiński swoje robił. Rodzina grabiów z Chojna i z Górki niezbyt dobrze na tym wyszła wbrew przysłowiu (kto ma księdza w rodzie, tego kryzys nie bodzie). Ale zato ojczyzna, państwo, królestwo sarmackie świetnie, bo dzięki temu z ciemnoty, z biedy, z wegetacji po dziurach i na nizinach wydobyło się szereg mężów, którzy stali się ornamentem i splendorem Zygmuntowskiego mocarstwa, jako to:

Hozjusz kardynał, Dantyszek, Tideman Gize... Dalej Grzegorz z Szamotuł, prawa kanonicznego znawca. Dalej Marcin Kromer „Cromerus meus", historyk i uczeniec, do Włoch wysłany, po czym sześć lat przy kanclerza boku, prawa ręka i sekretarz koronny... Dalej Struś Józef. No, tego to już chyba zna Poznań coś nie coś, jako że jego nazwiskiem chrzczono ulicę między Małeckim a Fochem: król doktorów, a doktór królów, padewski świętego Antoniego kolega, lekarz Filipa II i Sulejmana II, astronom, astrolog, Galena tłumacz i wydawca (w Wenecji wspaniale wyszło r. 1535).

A takich pupilów i wychowanków miał ksiądz kanclerz Choiński jeszcze wielu.

Jako dyplomata zaś w różne strony w różnych sprawach przez króla był wysyłan, najszczególniej do pertraktacyj z Gdańskiem i z Hohenzollernami. Na sejmy i sejmiki też jego wysyłał król Zygmunt, gdyż jako mediator, negocjator, orator był doskonały.

Na jednym z takich sejmów, i to bardzo ważnym bo w Piotrkowie, tuż po haniebnej „wojnie kokoszej" (1538) młodego kanclerza dosięgła niespodziewanie śmierć, łapaczka niepozbędna, poprostu szlag. Kanclerz wygłosił przedtem mowę twardą, gwałtowną, agresywną przeciw wichrzycielskim parlamentarzystom, „rokoszanom-kokoszanom".

Mężowie stanu, statyści, politycy wielkopolscy mieli w Sarmacji opinię twardych, szorstkich, niepardonujących weredyków. „Szkaradnych" słów przy tym używali. Małopolanie bywali układniejsi, lawiranci „elegantissimi" jako mówcy, a w ustosunkowaniach politycznych do wszelakich kompromisów skłonni. My, Galicjaki, mamy to już niestety w żyłach. Od pięciu wieków... Taki Piotr Kmita-Sobieński z Wiśnicza, comes, wytwornie i prozą z „Dworzanina" Górnickiego przemawiał na sejmach do braci szlachty, ale cóż z tego, kiedy notorycznie brał od Żydów łapówki (wedle Czackiego), aby bronił ich przywilejów. Choiński z Chojna, jak i inni wielmożowie z Wielkopolski, łapówek od Żydów oczywiście nie brali, a przemawiali twardo, bez ogłady, nawet gburowato, no ale za to... no ale za to...

Pochowali go w wielkim ołtarzu katedry wawelskiej, znaczy się tej katedry, której główną nawę fundował i stawiał znów Wielkopolanin, bo biskup Bodzanta z Jankowa. Nagrobek wielkiego wielkopolskiego polityka i kanclerza J. K. Mości przeniesiono z czasem do kaplicy Olbrachtowej, dziś św. Andrzeja na Wawelu.

Dlaczego się takie stare „mumie" wyciąga? Dlaczego się takimi nieboszczykami aż sprzed czterystu lat uwagę spółcześników zaprząta? Dlaczego się daw-

no zagrzebanych wywleka i jeszcze innych wywlekać będzie?

Rzecz bardzo prosta. Przyczyna całkiem... aktualna, choć się to może wydać paradoksem. Co może być aktualnego w starym kanclerzu i to Zygmunta Starego?

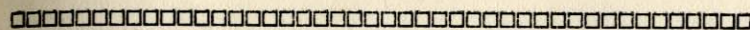
Otóż wyciąga się dlatego, aby Wielkopolanom przypomnieć, jakich to wielkich Polaków rodziła ongiś ich bliższa ojczyzna, ich ziemia, ich regio.

W Warszawie raz po raz zmieniają się te gabinety, i znów nowy garnitur ministrów i ministrantów...

Z Wielkopolski stale, upornie, systematycznie, nigdy nic i nikogo. Z ziemi Ostroroga, Grzymułtowskiego, Staszica, Śniadeckich, z ziemi Szczepanowskiego, Korytowskiego, Morawskiego, z ziemi Kilińskiego i Langiewicza — nic nigdy i nikogo. Odsłaniają pomnik Kilińskiego, odsłaniają pomnik Bogusławskiego. Więc na pomniki Wielkopolan stawiają. A żywych i żyjących nie biorą pod żadnym pozorem i wytrwale konsekwentnie.

A Wielkopolska to toleruje.

Oto dlaczego wyciągnęło się pod światło na ten przykład kanclerza sprzed lat czterystu, mecenasa Choińskiego.



KSIĘGARZ NIEZNANY



Lat temu dobrze czterysta, z przysypką 400, wybrali się Piotr z Dorotą z Poznania do Lwowa. Można sobie wyimaginować, ile to trwała peregrynacja Piotra z Dorotą lat temu zgórą czterysta, jeżeli się przypomni, ile polskich rzek, ile gór, ile siół, osiedli, ile to miasteczek, ile mostów!

Po drodze zaś musieli wstąpić i do Krakowa. „Wstąpić" — to mało powiedziane. Musieli w Krakowie popasać i to co się zowie dłużej. Nie tylko, aby zwiedzać i podziwiać to wszystko, co tam wspaniałego ufundowali światli królowie i biskupowie, a pobudowały Italiany i Niemiaszki, ale aby tam nawiązać stosunki handlowe, zaopatrzyć się w zapasy towaru „made in Cracovia", zakupić skrzynie (w kształcie „faski"), wynająć podwodę i ruszać w świat, dalej, na Wschód.

Do czynienia mieli tu pod Wawelem (tak mawiano) z branżą całkiem nowego, specjalnego gatunku. Rozmawiało się z tą branżą z wielkim trudem po sarmacku, a przeważnie językiem Cycerona i Horacego, no i cokolwieczek (gdy przyszło do targowania) po szwabsku. Adresy mieli Piotr i Dorota wypisane dokładnie. Branża, o którą chodziło, mieszkała prze-

ważnie intra muros, czyli w oppidum, w śródmieściu. Szyldów żadnych ani wywieszek nie wywieszano, ale tam, gdzie w podwórzu ciemnym i wąskim słychać było drewniany stukot jakiejś dziwnej machiny odkręcanej i zakręcanej, tam napewno były te takie drukarnie (od Druck-nacisk), czyli tak zwane officiny.

Namnożyło się ich w one czasy tak wiele, jak dziś nieprzymierzając kantorów loteryjnych lub przytułków ze sodową wodą. Drukarstwo wchodziło w modę, a stąd i libraryj, księgarń sporo, i ruch w interesie, co się zowie. Nie tylko mężczyźni to prowadzili, ale i płeć damska. Niektórym dzisiejszym ludziom wydaje się, że kobiety dopiero teraz wyzwolone, dopiero teraz weszły na widownię, dopiero teraz robią konkurencję, dopiero teraz zajmują się businessami, dopiero teraz prowadzą zakłady przemysłowe i porywają się do handlu. Nic podobnego! W dzisiejszym Krakowie niema ani jednej białogłowy, którąby samoistnie, samo-i-dzielnie prowadziła drukarnię lub księgarnię. A tymczasem w one czasy, czterysta lat temu, były dwie, i to obie Heleny: Florianowa i Unglerowa, a poniektóry autor czy Artur ówczesny (Pigwa czy Bąk) chcąc wydać swe pierwociny, musiał, pięknie się wysztafirowawszy, z bukietem w ręku mocno się naprzymilać i pomizdrzyć do jejmość nakładczyni, aby wnet mu libellę „wyciśnięto" w officinie.

Piotr i Dorota z Poznania, opanowani swoją misją czy pasją, swoją ideą niesienia cywilizacji na Wschód (i zrobienia przy tym normalnego interesu), nachodzili się i nałazili po Krakowie aż do siódmego potu. Zadanie było nie tak łatwe. Talarów i cekinów nie mieli znowu zbyt wiele, a za to „niewiele" trzeba było tych „ręcznych Xijaszek" zakupić jak najwięcej,

no i najlepszych. Lwów pono patrycjatu miał już sporo i Ormiaszków i Greków, a „Xijaszek" drukowanych pono widywano tam jeszcze bardzo mało. Chodziło więc o to, aby Lwowczykom odrazu zaimponować i sprezentować to, co w Polsce „wyciśnięto" na machinach jak najlepsze

W Krakowie tedy jednego dnia siedzieli Piotr i Dorota aż do zmierzchu w firmie Scharffenbergerów, drugiego dnia u Siebeneycherów, trzeciego u Hieronyma Wietora, czwartego u Jana Hallera (Józefowego de Hallenburg protoplasty), piątego u sławetnego Wierzbięty, aż ich już i świerzbiały pięty. Kiedy Piotr z Poznania targował się i handryczył z impressorami, to pani Dorota wykłócała się o grosiki i miedziaki a to z Florianową, a to z Unglerową. No i tak zebrało się wreszcie kilka beczek (sic) książek.

No i po nowej, długiej, mozolnej peregrynacji wzdłuż całej Małopolski książki te wreszcie znalazły się w Lwim grodzie nad Pełtwą, w kamienicy mieszczanina Sokołowskiego przy ulicy Zarwańskiej... Tu wyładował z beczek i rozłożył na ladach w kramie przed Lwowianami krakowskie ręczne „Xijaszki" Piotr z Poznania.

A jakież to były pierwsze książki, wyciskane w Polsce i Lwowu sprezentowane? Ano rozmaite, w czym jednym podobne do dzisiejszych, a w czym drugim znowu niepodobne. W tym do dzisiejszości obecnej, że też przeważnie tłumaczenia, w czym niepodobne, że dużo z nich jeszcze po łacinie. I w tym podobne, że dużo poważnych i naukowych, że dużo popularyzacyjnych i podręcznikowych, że już wtedy dużo „vie romancée", i w tym, że dużo na tematy... judejskie. I pedagogia nowoczesna ówczesna i medy-

cyna stosowana i retoryka. Przypadkowo, szczęsnym trafunkiem znamy cały inwentarz pierwszej we Lwowie księgarni sortymentowej Poznańczyków Piotra i Doroty. Mamy dziś nowe książki o Chrystusie Papiniego i Mauriaca, to wówczas u zarania modnym był Baltazar Opecia „Żywot Pana Jezu Chrysta“ (Haller edidit) obok innego „Ziwotha Christussowego“. Pisze dziś Tomasz Mann (coś zakwestionowane co do oryginalności) „Dzieje Józefa, syna Jakóbowego“, to wonczas (1545) wydaje swego Józefa Mikołay Rey z Nagłowicz. Wychodzi dziś monografia Króla Salomona paryskiej dziennikarki Małgorzaty Tabouis, to wówczas modne były „Rozmowy Salomonowe“ a były też i „Zołtarz Dawidów“ i „Psałterz Dawidów“, przekładu Poznaniaka Walerego Wróbla (profesora Collegium Lubrańskiego). „Szni (sny) Danielowe“ były także. Stary Zakon tedy zawsze en vogue, jak 1937 tak 1537...

Dziś „modny“ Tomizm, wtedy popularna była „Postylla św. Tomasza z Akwinu“. Ze starożytników klasycznych: Sokrates (Oracje), Ezop „mędrzec obyczayny“, Cicero, Kato. A jest i biografia romansowa Wielkiego Macedończyka, wodza i dyktatora, Aleksandra króla.

W kramie przy ulicy Zarwańskiej Piotra Poznańczyka kupowały sobie Lwowianki dzieła o kucharstwie, o „Lekarstwach końskjich“, o filozofach greckich, pierwsze kosmografie, pierwsze gramatyki (Donata), katechizmy, arytmetyki, dydaktyki, jak Glicznera „Xsijążki o wychowaniu Dżyeci“, lub anonyma „De educatione puerum liber“. Z zagranicznych autorów modni byli: Erazm z Rotterdamu (z Czerwonej Grobli) i Melanchton. Jak dziś mamy Konrada Górskiego, Artura, Karola, tak ówczesnym Górskim

był Jakób Górski, autor antologii z różnych autorów starożytnych zebranej. Inna Antologia nowel i „opowieści miłych barżo“ znanego Poncjana. Z humorystycznej literatury z czeskiego tłumaczone „Frantowskie Prawa“, Sowizdrzalskie anegdoty i „przipowieszczi“ (Ezopa), wreszcie Marchołt, tego samego fasonu co dzisiejszy świetny miesięcznik, tylko nie tak poważny a rubaszny, frywolny i sprośny... Na specjalne jeszcze wyróżnienie, wypomnienie i pod nos podstawienie zasługuje to, że ówczesna P. T. klientela księgarniana kupowała także i czytywała utwory teatralne, dramatyczne, i że w kramie Piotra Poznańczyka można było dostać np. comedię o „Hester“ (Esterze)...

Słowo „tragedia“ i pojęcie tragiczności łączy się dziwnym splotem okoliczności po raz pierwszy ze słowem i pojęciem wieśniaków i kmieci (infernus rusticorum). Tytuł: „Tragedie chłopskie“... grypa szaleje na ugorze...

Skądże to my teraz tak dobrze znamy inwentarz księgarni sortymentowej Piotra Poznańczyka, a więc praszczura Żupańskich i Stefańskich, pradziadów Wegnerów i Katerwów?

Oto szczęśliwym trafem z... bankructwa. Niósł wilk, ponieśli i wilka, czyli tarł, tarł, aż wreszcie zmarł. Kupował i sprzedawał... aż przyszedł podatków nawał. Interes szedł jak z płatka, ale czemże się dziury zatka?

Kiedy po bibliopola Piotra przyszła „Śmierzć“, nieboga, pani Dorota w lament. Wiedziała biedaczka, co się święci. Czynsz lokalowy Sokołowskiemu niezapłacony, długi z prawej, z lewej, z przodu i z tyłu. Ledwie Piotrusia pogrzebała, wraz zgłosiły się wierzycieluchy, „ręczne“ książki opieczętowali, w Ratuszu zde-

ponowali, po czym rzeczoznawcy przyszli, z których jeden rajca mieyski. Śmieszak (sic), wszystko pięknie visum repertum pospisali, no i 19 sierpnia 1560 roku licytacja.

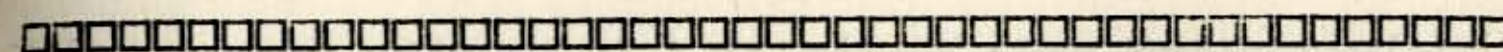
Aż i dziś jeszcze żal bierze i smutno się robi, gdy się czyta rozprawy i dyssertaciones na ten skromny temat uczonych panien: Jędrzejowskiej i Wojciechowskiej oraz doktorów: Opałka i Badeckiego.

Za dwa talary, winne Sokołowskiemu, taki wstyd i taki srom! Wydało się przy tym i na jaw wyszło, jaką to skromną garderobę posiadał mąż pani Doroty a intellektu aliarum na Czerwonej Rusi apostoł: jopula (kaftan) koloru modrego, serdaczek podniszczony, tunika „czeska", opończa czerwona... Zapewne i coś z koszul no i coś z... gatek... To także wszystko poszło na licytację przy srogim zapewne płaczu nieutulonej gdowy...

Kupił moc książek do swego bogatego (200 tomów) księgozbioru rajca Zalieski, może praszczur confisserów... A 177 tomów gentleman Jan Srebrny dla księgarzy z powrotem krakowskich. No, kto się nazywa Srebrny, tym samym i złociszami może szafować.

Nie zrobił więc kokosowych interesów pierwszy lwowski księgarz nawet z nazwiska nieznany. Widocznie za duży kram miał ze swym kramem, a jako Lechita do handlu organicznie i dziedzicznie „nieprzywykłszy", jak mówią na Litwie.

W każdym tam jednak razie, choć się za życia zadłużył, po śmierci na wspominek zasłużył.



LUTER I MARGARITA



Tym, czym dzisiaj dla Europy chrześcijańskiej i aryjskiej jest judokomunizm sowiecki, jego armia i jego propaganda, tym czterysta lat temu było niebezpieczeństwo tureckie, osmańskie, islamskie, muzułmańskie. I tak samo zwracała na nie uwagę w alarmujących formach bojowa narodowa publicystyka polska. I tak samo całe żydostwo podziemne wschodniej Europy, t. j. Węgier, Wołoszczyzny, Morawii, Czechów, Polski i Niemiec wschodnich oczekiwało i przygotowywało się na inwazję antychrześcijańskiej potęgi militarnej.

Siły i środki, jako mieszkające izolowanie w ghettach, miało żydostwo aszkenazyjskie oczywiście ograniczone. Ale mścić się już miało za co, bo za kolejne przepędzanie z miast niemieckich, z Hiszpanii, z Portugalii, nawet z Litwy (1495), ale oczywiście nigdy z Polski, gdzie się jak do gnojówki zlewało ze wszystkich stron wszystkimi otwartymi kanałami. Wielkopolska też nie była przed tą systematyczną penetracją pokojową asekurowana. Za historycznej Polski królewskiej pełno było żydostwa w wielkopolskich miastach i miasteczkach. Wystarczy przewertować dzieła historyków specjalistów od

dzielnicowego zażydzenia, to jest Perlesa, Blocha, Jolowicza, Warschauera, L. Lewiego, aby się wywiedzieć, do czego i tu doszło. Dość powiedzieć, że kiedy Napoleon wjeżdżał po raz pierwszy do miasta Poznania, liczącego 22 tysiące mieszkańców, Żydzi byli wtedy jedną trzecią całej ludności... A były miasteczka, gdzie stanowili 95 proc. (Swarzędz)... Pewien historyk współczesny, żydowski, niejaki p. Mateusz Mieses, w często powtarzających się stale prowokacyjnych artykułach upornie powtarza tezę, że właśnie tu, w Wielkopolsce, Żydzi są autochtonami, że „tutaj wyprzedzili okres chrześcijański" (sic), że wogóle piastowali w zamierzchłych czasach właśnie tutaj wysokie godności i dostojeństwa, że tutaj bito monetę z żydowskimi wizerunkami i z hebrajskimi napisami („Abraham Dux"), że od niepamiętnych czasów służyli właśnie tutaj w wojsku (sic), że bronili twierdz i zamków (sic), że nawet kiedy polskie rycerstwo i polscy książęta uciekali przed Mongołami (1257), to Żydzi wytrwali na murach i bronili Polaków z niepospolitym męstwem... Dosłownie. Na przykład: Świdnicę na Śląsku obronili tylko Żydzi. Tak pisze raz po raz dr Mateusz Mieses, informując swych czytelników, że gdzie jak gdzie, ale właśnie w Wielkopolsce Żydzi są autochtonami. I cytuje p. Mieses uczenie różne dzieła i „źródła", aby tylko usprawiedliwić i dodać bodźca dzisiejszej zastraszającej inwazji na Poznań litwackich komunojudów. Według p. M. Miesesa Żydzi bronili Wielkopolski i to jeszcze przed Mongołami! Leszek czy Mieszek uciekł na Węgry, a Żydzi wytrwali i strzelali i obronili! Już w 1257-mym roku!

Tak twierdzi p. Mieses.

Co innego jednak musiał twierdzić młody Margulies, syn Samuela Marguliesa z Poznania, w swej

broszurze, którą wydał w Augsburgu w r. 1530. Całkiem co innego, skoro tak tą swoją broszurą zaalarmował samego Marcina Lutra, prezentującego Europie raz po raz grozę niebezpieczeństwa „Antychrysta tureckiego", idącego z wielką potęgą na Europę. Ten młody Margulies nie był już właściwie Marguliesem, ale wychrzcił się, przezwał Antoni Margarita i jako Margarita napisał broszurę p. t. „Der Ganz Jüdische Glaube" z rewelacjami o konszachtach żydostwa aszkenazyjskiego (wschodnio - europejskiego) z idącą na Europę pod półksiężycem potencją sułtana Sulejmana, t. j. mutatis mutandis ówczesnego „Antychrysta". Na czym polegały rewelacje? Na wykazaniu duchowej, myślowej i moralnej judaizacji różnych sekt i związków dysydenckich, pacyfistycznych, rozszerzających się na ziemiach i w dzielnicach właśnie zagrożonych inwazją od wschodu zbrojnych wielbicieli Proroka, nie Lenina wonczas, a Mahometa. Głównie byli to t. zw. Bracia Czescy lub Bracia Morawscy, anabaptyści, wiklefizmu i husytyzmu epigoni, głoszący hasła nieprzeciwstawiania się złu (inwazji) ... miecz precz! Chrześcijaninowi nie godzi się walczyć mieczem! Rozbrojenie... Otwarcie granic wyznawcom Proroka!... Hutterowcy na Morawach nosili u pasów dla kpiny drewniany mieczyk albo kostur i stąd nazwy ich „sztablery" albo kosturowcy. Przywódca tych Braci Czeskich na Morawach nosił (może zresztą całkiem przypadkowo) nazwisko Jerzy Izrael. „Pacyfizm" tych Judaizantów dochodził do tego, że dawali się nawet... obrzezywać. Jawnie propagowali komunizm, czyli pierwotne, „prawdziwe" chrześcijaństwo. I rozbrojeni oczekiwali wyznawców jedynozbawczego Islamu.

W Polsce mieli też już swoich zwolenników i protektorów, szczególnie zaś w Wielkopolsce (!). Z magnatów desydenckich opiekowali się nimi Leszczyńscy z Gołuchowa, szczególnie Rafał, który jeździł nawet na synody tych pacyfistów, kosturowców, herrnhutterów, sztablerów na Morawy. Nazywano ich w Polsce epikurami, poturczeńcami, sobotnikami (od szabasu), poganożydami. Niektórzy z nich tak zaszli daleko w pacyfiźmie, że zaprzysięgli na Al-Koran i przeszli na mahometanizm (Straszowie z Gorlic w Małopolsce). Inni wprost na mozaizm (Budny).

Otóż ten Samuelowicz z Marguliesów Margarita o tym pacyfiźmie właśnie rozpisał się w swej broszurze „Der Gantz Jüdische Glaube". I ta broszura dostała się do rąk Marcina Lutra. Równocześnie zaś przyszły do M. Lutra jakoweś wiadomości czy pogłoski o spisku nań i zamachu, planowanym przez poznańskich Żydów, przez jakowegoś mściciela „Michela" itp. O tych planowanych przez Żydów poznańskich zamachach na siebie pisze Luter w listach do Arnsdorfa i do Spalatina.

W pewnym okresie swej działalności Marcin Luter z przyjaciela żydostwa przemienił się na jednego z tak zaciekłych wrogów jak... sam Savonarola. Dał temu wyraz w specjalnych broszurach: „Von den Juden und ihren Lügen", „Vom Szem-Hamphora". W „Rozmowach przy stole" czytamy też najsurowsze oskarżenia i obelżywości od chciwych, mstliwych krwiopijców, zdrajców, kłamców, oszustów, szachrajów. Z trzech wielkich zakonodawców religijnych tylko Mojżesz i Mahomet tak surowymi słowami piętnowali rasę semicką. Luter pisał:

.. Nigdy słońce nie oświecało ludu bardziej krwi chciwego i pomsty żądnego jako oni.

...Ich oddech cuchnie żądzą złota i srebra, bo niemasz ludu pod słońcem i nie było i nie będzie bardziej chciwego, jak to widać po ich przeklętych szachrajstwach...

...A gdy czynią co dobrego, to wiedz sobie, że nie czynią tego z miłości, lub dla twego dobra, ale tylko dlatego, aby mieć gdzieś pośród nas zamieszkać...

...Pod ich bóżnice i szkoły należy podkładać ogień, a kto może, niech dorzuca do niego smoły i siarki...

...Tak samo trzeba połamać i zniszczyć ich domy, a ich samych pozamykać na poddaszu lub w chlewie, aby wiedzieli, że nie są panami naszego kraju...

...Trzeba Żydom odebrać urzędową opiekę i zamknąć przed nimi drogi, gdyż nic na wsi nie mają do szukania...

... Trzeba im zakazać wszelkiej lichwy i odebrać im wszelki majątek, klejnoty, złoto, srebro, bo wszystko, co posiadają, ukradli nam swoim rozbojem lichwiarskim...

...My stajemy się coraz biedniejsi wskutek ich wyzysku. Wysysają nas jak pijawki, leżą nam na piersiach jak zmora...

Also sprach Martin Luter.

Pytanie teraz i pozostaje kwestją otwartą dla naukowego roztrząsania i wybadania:

w jakiej mierze na przemianę w poglądach o groźności i straszliwości jednego procentu ludzkości wpłynęła broszura poznańczyka Margarity - Marguliesa, dopatrująca się w żydostwie ówczesnym awangardy grożącego Europie zbrojnego, agresywnego Islamu, —

a w jakim stopniu pogłoska, że Żydzi poznańscy zawiązali konspirację celem zgładzenia Marcina Lutra, w którym żydostwo aszkenazyjskie ongiś, przed tym, w początkach dopatrywało się raczej alianta a w pewnej mierze... oswobodziciela.

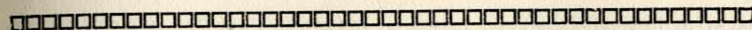
Dalej pozostaje do wybadania kwestia, gdzie należy szukać informatorów Lutra o rzekomym spisku

nań poznańskich aszkenazim. I tu należałoby, zdaje się, zwrócić uwagę na tych dwóch wybitnych Polaków, którzy osobiście zetknęli się z M. Lutrem.

Jednym z nich był Dantyszek - Dantiscus, dyplomata, poseł króla Zygmunta na dworze Karola V, który z Lutrem (w r. 1513) cztery godziny przegadał a pogano-Żydom notorycznie był nieprzyjazny. Drugim zaś bydgoszczanin Sieklucki-Seclucjan, tłumacz Biblii („królewieckiej"), dysydent, ten sam, który w Poznaniu u Marii Magdaleny prawił kazania po... niemiecku, a w Königsbergu w katedrze kazania po polsku...

Gwałtownych napaści Lutra jednak sobie Żydzi wielkopolscy zbyt do serca nie wzięli, skoro najpierw w r. 1659 za inwazji protestancko-szwedzkiej ławą solidarnie stanęli po stronie Luteranów. A tak samo ławą i solidarnie przeciw Polakom w czas powstania w r. 1848, jak to, chwaląc się, niebacznie stwierdza historyk Louis Lewi (Geschichte der Juden).

W każdym razie dobrzeby było, aby dr Mateusz Mieses zajął się jeszcze wnętliwiej i głębiej już nie tylko Antonim Margaritą - Marguliesem i jego rewelacyjną broszurą, ale wogóle zagadnieniem, w jakiej mierze i do jakiego stopnia za czasów historycznej Rzeczypospolitej żydostwo w Polsce szło naprzeciw inwazjom militarnym wyznawców poprzedniego Proroka, zagrażającym wówczas w XVI i XVII wieku chrześcijańskim państwom i społeczeństwom w Europie.



DWAJ PANOWIE Z SIERAKOWA



Tak, to byli Europejczycy first class, choć właściwie pochodzili z Łodzi. Ale to była inna Łódź. Dzisiejsza Łódź (Manchester), nie można powiedzieć, daje nam spółczesnym też „Europejczyków" first class: taki Artur Rubinstein, lub Artur Szyk — bądź co bądź. Z Łodzi Wielkopolskiej atoli szli inni. Co prawda bardzo dawno temu, bo za czasów „Potopu", „Ogniem i Mieczem", Wojny Trzydziestoletniej itp.

Europejczykami dość łatwo przyszło zostać i Krzysztofowi i młodszemu Łukaszowi, bo ich papa magnat wcześnie wysłał za granicę z „inspektorami" (guwernerami) i asystą, aby tam dobrze mózgi ponawozili, rozumów pojedli i „dowcipów postronnych" nabrali, obyczaje wypolerowali i do Sarmacji wrócili, do cna zbywszy przyrodzonej plemiennej dzikości. Oxfordem i Cambridge tego pięćdziesięciolecia XVII wieku nie były już wyłącznie Padova i Bolonia, ale w modzie także i Lovanium (patrz na mapie). Tu się tedy kąpali i zanurzali w studiach młodzi... wojewodzice. Papa był bowiem wojewodą, i to aż podlaskim. Wtedy bowiem, kiedy Polska była terytorialnie największą, panował obyczaj Wielkopolanami (Europejczykami) obsadzać administracyjne dygnitarstwa na Wschodzie,

a nie jak dzisiej ludźmi z (bliskiego) Wschodu obdarzać europejską część Polski...

Wojewodzice podlascy Opalińscy kształcili się tedy w Lowanium, ale dla zaokrąglenia studiów turystyka: Niemcy, Włochy, Szwajcaria i dużo i długo Niderlandy. Wtedy też nawiązali przyjacielskie stosunki z intelektualną elitą europejską, które potem pielęgnowali korespondencyjnie przez całe życie. Kiedy wrócili do swego Sierakowa, licząc po dwadzieścia kilka lat, postawili sobie za cel i zadanie poświęcić wszystkie siły dla europeizacji tej nieco zbyt wschodniej, właściwie dzikiej, po prostu barbaryjnej jeszcze, a już nieco rozpasanej w swych górnych warstwach, ojczyzny. Tak dalej powolnie cywilizowanie Sarmacji iść nie może. Jakaż przepaść dzieli Sarmację od takich „Holendrów i inszych antipodas" (!). Jakiż brak miast! A w tych, co są, jakiż nierząd i ileż żydostwa! które szczurzo wygryzło nawet Niemców! Jakież zaniedbanie twierdz i fortec, jakżeż „zepsowana militaris disciplina" w porównaniu z niemiecką! Jakaż bagatelizacja „Colonias conservandas" w porównaniu z taką Holandią! Jakiż brak szkół i szpitali! Ale szpitale jakież nędzne w porównaniu z... holenderskimi! Ileż tu jest w Polsce do roboty! Jak prymitywne to, a jak niewydarzone tamto! To się wszystko musi zmienić!

I Łukasz i Krzysztof zaczęli teraz jeździć po sejmach i sejmikach i apostołować „rozbudowę", inwestycje, postęp, reformy, odmianę, „roboty publiczne", urbanizację, industrializację, wyścig pracy, życie surowe. Głowy mieli przepełnione pomysłami, inicjatywami, projektami. I raz wraz powoływali się to na Szkotów, to na Holendrów, a także na Niemców i Włochów. Na Francje omal nigdy. Z Francji nigdy nic dobrego Polak się nie uczył. Dla Łukasza nawet w jego

pryncypalnym dziele („O sprawowaniu Rzeczypospolitej") Francja jako model do naśladowania nie istniała. Krzysztof ostrzegał, że tam tylko uczą się Polacy „po francusku dyszkurować, więc i à la mode chodzić, stroić i wszystko czynić po francusku". Ale do podróży wszędzie indziej rodaków namawiał.

„Ale idźcie do inszych krajów a uznacie, że tam eruditio swoją zasadziła stolicę, swój fundament."

I raz po razu powtarzał: „Idźmy za przykładem Włochów i Hiszpanów", „uczmy się od Niemców", „baczmy jako to czynią Włosi"... „U Holendrów takowe zwyczaje"... „W Niderlandach tak bywa"...

Na dworze królewskim wnet się dowiedziano o tych apostołach Europy, wojewodzicach z Sierakowa. Często też ich goszczono, jako że senatorska krew. Stryj Łukasz osiemdziesięcioletni marszałkostwem wielkim obdarzon, wuj Ossolińki ambaciatore, pierwszy książęcym cesarskim tytułem ozdobiony. Z siostrą Łukasza i Krzysztofa ożeniony Koniecpolski hetman. Wraz też Opalińskim godności wielkie przydano. Łukasz podkomorzym, a Krzysztof (27-letni) poznańskim wojewodą. Ale dworskie życie na zamku warszawskim im nie smakowało. W Sierakowie przesiadywali, jak nie w Poznaniu. I z Sierakowa Ateny wyczynili z księgozbiorem obfitym i z wizytami intelektualistów... Ateny katolickie, podczas gdy równocześnie w Wielkopolsce Atenami protestanckimi było Leszno, kalwińskimi Gołuchowo Leszczyńskich, a Śmigiel — ariańskim gniazdem i centralą. Tu też w Sierakowie jak zdecydowali tak i zrobili, znaczy się zafundowali takie liceum, collegium, szkołę wyższą dla braci szlachty, gdzieby się europejską eruditio podkarmiała i na ludzi światłych kierowała, a nie na

hebesów, „błazenków“ i prościnków, w „Alwarze“ tylko mądrych, a durniów w czym innym. Dla tej szkoły, bywało, podręczniki pisywali dwaj panowie z Sierakowa. Musiało to być chyba ich oczko w głowie, jak Zamość Zamoyskim.

Z dworem królewskim i z panami Wazami „społeczność towarzyska“ z czasem uległa definitywnemu zepsowaniu. Jeszcze za Władysława IV jako tako, choć jak po grudzie. Już wtedy Krzysztof w pisanych, nie drukowanych, ale kursujących artykułach („Satyrach“) króla raz po raz szczypnął. Rankor personalny naszego Europejczyka pochodził z tego, że kiedy było trzeba męża z dyplomatycznymi talentami i z okazałością, to z Warszawy do pana wojewody drogę znaleźli; zapukali i pięknie poprosili, aby on, homo europaeus po królową Marię Ludwikę „jachał“ i ją przywiózł. Ale kiedy o marszałkostwo dworu Jejmości Opaliński kompetował, to Warszawisty znaleźli sobie innego. Wtedy się obrażony i spostponowany słusznie rozsierdził i zaczął króla szczypać, nie oszczędzając i first lady of Poland. A kiedy ostrzegał poważnie przed szwedzką militarną preparadness i polityczną agresywnością, też go nie słuchali, a prowokowali Szwedów, sami nic się do wojny nie przygotowując („na Sejmach „kupy wielkie“, na kresach obrona w kilkunastu“). Pomimo tego, kiedy do nowej elekcji przyszło, pan z Sierakowa uproszony, przebaczający, choć na Karola miał apetyt, pod elekcją Jana Kazimierza się podpisał, za co król Orthodoxus i Don Jouan bardzo mu się nieładnie odwdzięczył. Najpierw, kiedy chodziło o kanclerstwo, po Radziejowskim wakujące, nie najzdolniejszemu i najświatlejszemu je dano, a jakiemuś zeru i figurantowi., którego jedni zwą Korycińskim, a drudzy Korytowskim, różnie, bo tak nic po

sobie nie zostawił. Drugi raz znowuż Majestat pozwolił sobie na afront już i perfidny. Kiedy stryj Łukasz, wielki marszałek i nestor rodu pomarł, a laska wielka zawakowała, Lubomirskiemu ją dała klika dworskich intrygantów, a małą laskę marszałkowską po Lubomirskim na złość i na przekór nie starszemu Krzysztofowi, a młodszemu Łukaszowi, aby nawet między braci rzucić kość niezgody. Po prawdzie mówiąc, Łukasz miał swoje plusy. Krzysztof był impulsywny, impetyk, nerwowiec, gorączka, i co na sercu, to w gębie na głos i na papier, aby sobie ulżyć. Łukasz stateczniejszy, flegmatyczniejszy, nieco kompromisowiec, a nieco i oportunista. Widać to pono z jego dzieła (De Gubernatione) „O sprawowaniu Rzeczypospolitej i sposobach odbywania i konkluzji Sejmów“. Nadto zasłużył się Polsce i Polakom w skali europejskiej, w narodzie popularność zyskując. Kiedy szkocki pewien reporter wydał książkę podróżniczą „Icon animorum nationum“, w ósmym rozdziale palnął sobie siarczysty paszkwil na Sarmatów i Sarmację, ówczesnemu „Manchester Guardianowi“ (ale z Edynburga) odpowiedź rąbnął drugi pan z Sierakowa. W Gdańsku wyszła: „Polonia contra Barclayum defensa“. Takie były plusy na koncie Łukasza Opalińskiego.

Przeciw Krzysztofowi zaś burzyła się brać szlachta, czerń szlachecka, „czerepy rubaszne“, tłuka sejmikowa, turba nobilium..., a to że przeciw „opresji chłopskiej“ wygaduje, a to że za miastami i mieszczanami ciągle ziemianów kopie (i kopię kruszy), a to że na szlacheckie trybunały i szlachecki wymiar sprawiedliwości urąga, a to że o opilstwo i kosterstwo brać szlagońską pomawia, a to że widzi dziury w moście, plamy na słońcu, kwiatki przy kożuchach, pustkę w mózgach, no i ciągle im tą Europą i tymi Holendra-

mi pod nos zajeżdża, docina, imponuje. Tak to już sejmikowiczów i tępogłowców drażniło i irytowało, że jakiś pętak aż spod Sochaczewa podsędek, wabiący się Nieborowskim, wiersz wystękał przeciw fundatorowi liceum Sierakowskiego w tej materii, że „zanadto rozmiłowan w obczyźnie", wciąż i latami całymi tę Europę i tę Holandię Sarmatom naśladować każe.

I tak też było istotnie. Pan z Sierakowa przez lat kilkanaście napisał moc artykułów i felietonów opozycyjno-krytycznych, które najpierw kursując w odpisach, wreszcie wydane były w pięciu częściach pt. „Przestrogi". Mówi się: w artykułach (i w felietonach), ponieważ tak zwane „Satyry" były w Starej Polsce tym, czym dzisiaj są głosy czołowców opozycyjnej prasy. Publicystyka opozycyjna. Z „poezją" miały wspólnego bardzo mało, czasami rytm, niekiedy rym, niekiedy kalwaryjski, przeważnie częstochowski. Satyry — to była krytyka i dydaktyka, pedagogia, czasem demagogia, czasami antydemokracja, przeciw prądowi, przeciw plebsowi szlacheckiemu, przeciw większości, przeciw uzurpacji, przeciw konwencjonalnym kłamstwom, obyczajom, regułom.

W starszym panu z Sierakowa zebrało się dużo rankoru, malkontencji, pesymizmu, ba nawet desperacyjnych nastrojów i afektów. Krzywda, jaka mu osobiście przypadła w życiu, szczęśliwym trafem rozbudziła talent twórczy i pchnęła go do wyładowywania swojej pasji krytycznej i reformatorskiej w publicystyce satyryczno - sarkastycznej. Niewdzięczność i mstliwy nietakt monarchy dały Polsce Juvenala takiego, na jakiego sobie zasłużyła, ani mniejszego, ani większego. Za Jana Kazimierza Opaliński był raz tym, czym za naszych czasów Świętochowski, a raz tym, czym Prus i tym, czym Szczepanowski („Nędza Galicji"), a i tym, czym Jeleński („Rola"!). Jego artykuły (i Satyry) dyktowane były dalekowzrocznym, przewidującym rozsądkiem, a genezą ich najprawdziwsza zawsze troska, najprawdziwsza miłość ojczyzny i najrzetelniejsza służba państwu. Ponieważ zaś w stuleciach żywota publicznego jednego plemienia i jednej rasy czy jednej nacji: plus cela change plus c'est la meme chose, — przeto wszystkie te omal co do jednego artykuły (Satyry) mutatis mutandis mają i dziś (anno: 1936) taką samiuteńką, dosłowną aktualność, jaką miały w 1636 r., kiedy były pisane. Mutatis mutandis.

Weźmy kilka przykładów.

Felieton VI-ty „O sposobie pomnożenia miast i na nierząd w nich". Wprost prośba i memoriał do króla apelujący:

„aby miasta swój honor, miejsce i poszanowanie miały, aby stan miejski nie był tak wzgardzon jako jest u nas, w Polszcze a zwłaszcza stołecznych."

O miastach niemieckich w czasie 30-letniej wojny, że:

„tylko w swych murach siedząc ledwie territoryi coś mając a przecie taki stan wytrzymawszy pod te przeszłe wojny zostały niezdobyte od nieprzyjaciela, w spustoszonym kraju wcale same siedzą...

No i w ogóle, aby miasta nowe „osadzać" i aby stan mieszczański rodzimy szanować! Aktualne?

O żydostwie w tychże miastach... Actualissima:

„Którzy są prawym molem, nieznacznie niszczącym miasta, tak we wszelkich towarach jako i rzemiosłach w oszukaniu, w zdradach i wymyślnych figlach, któż je wypowie albo wypisze? Nieznacznie to łotrostwo chrześcijański naród i tępi i wyniszcza oraz do ubóstwa przywo-

dzi. Przez pieniądze przystęp wszędzie mają. Tymi i sprawiedliwość i prawa i wolność nas chrześcijanów znoszą. Tymi i sędziego przerobią i wszystek świat oraz spraktykują."

Artykuły o niedoli chłopskiej. Specjalnie: trzeci. Że wszelkie ciężary chłopstwo ponosi. „Pić każą im piwo, którymby same diabły truć w piekle"... „Chłop z ubogiego spłachcia dawać musi ustawnie księdzu, Rzeczypospolitej, panom, żołnierzom, klechom, sługom pańskim, hajdukom. Stąd liczne i ciągłe „chłopskie bunty".

Ukraina! Nie ma Polska kolonij „jako mają małe Holendry", to musi pilnować Ukrainy, fortece i twierdze stawiać, żołnierza gotowego nuż na kresy posyłać. Tytuł artykułu: „Na ogołocone ściany".

Dalej artykuł pt. „Skarb". Polemika z ministrem (Leszczyńskim), że za dużo funduszu dyspozycyjnego podskarbi rozdaje dla podkupywania warchołów, waleronów i warchlaków, skoro gdy raz w sejmie (potakującym tylko ministrowi) jakiś opozycjonista coś pisnął, podskarbi Leszczyński powiedział wtedy słynne swoje: „A który to tam pan brat, com mu jeszcze nie dał?"...

„Na chromą albo raczej martwą praw naszych egzekucję". Aktualny czy nie?

Utracjuszostwo: „Które wżdy, proszę, kraje pod okręgiem słońca z naszymi porównują w zbytkach rozrzutności?" Na bankietach w królewskim zamku luksus". Iść nam za przykładem Włochów, „którzy się swą piędzią mierzą i w wydatkach oneż z intratą stosując"... Aktualne?

Bridżomania: „Karty grać do umoru"..., „warcabami kołatać"..., karty, kostki, kufle („pijanych in publicis ignominią karać i jako w Niemczech klatką")...

Osobny jeszcze artykuł: „Na złe życie małżeńskie i rozwody", zaczynający się od inwokacji: „Kto mi da sto języków, sto gęb oraz sto gardeł, abym tu wystawił małżeńskie zło dzisiejsze"...

Plus cela change, plus c'est la même chose.

I takich przestróg, napomnień, pouczeń, sugestyj, namawiań, perswazyj, było ksiąg pięcioro. Tendencje najmądrzejsze, najracjonalniejsze, najpatriotyczniejsze: praca organiczna, praca od podstaw, reformy strukturalne, stabilizacja, europeizacja. Gdyby był Opaliński z Sierakowa został kanclerzem i choć 35 pct swego programu zrealizował, Polska miałaby wyzwolone i majętne chłopstwo i silny stan trzeci mieszczański, a nie miałaby... takiego procentu Żydów, a miałaby... mocną monarchię... Choć się bowiem pan Krzysztof z królem Jegomością swarzył i na „Ortodoxa" boczył, to jednak potrafił oddzielić afekta od principiów i zdobyć się na najwyższy objektywizm w obronie idei monarchicznej, okazując się skrajnym... rojalistą (sic!), jeno czasowo na bakier z... Dworem. Z publicystyki (z „Satyr") pana z Sierakowa możnaby wybrać moc gotowych cytat, począwszy od tej lapidarnej: „żaden król nigdy Polsce nie wygodzi", a skończywszy niejako na auto-satyrze autora, wyszydzającego tych wszystkich, co królów chcą naciągać (na starostwa), a gdy im się nie powiedzie, obszczekują. W stosunku tedy totalnym tych dwóch ludzi, Don Juana Kazimierza do Krzysztofa, w stosunku regenta do działacza, publicysty, myśliciela, reformatora, męża stanu i Europejczyka, cała wina jest po stronie Jana Kazimierza, złego dostojeństw dystrybutora, którego neuropatologię najwierniej a intuicyjnie odtworzył (w „Mazepie")... Słowacki.

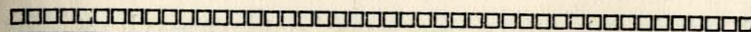
4*

Nie mają zaś racji ani Szujski, ani Szajnocha, ani torem ich dyskwalifikacji idący Sienkiewicz. W jednym rzędzie ze zdrajcami z Radziejowskim, J. Radziwiłłem, Rozwadowskim, Grudzińskim itp. stawiać go nie można. Załamanie się psychiki i zaparcie solidarności narodowej w krytycznym momencie (pod Ujściem) karygodne i na potępienie zasługujące, zaistniało. Ale było w całokształcie życia epizodem takim, jakim załamanie... Sobieskiego, Jana III (patrz Korzon). Ani o cal mniejsze lub większe.

Crimen był i zdrada stanu bezsprzecznie. Okupił: Pięcioma księgami „Przestróg".

Zdaniem naszym całkiem zresztą osobistym: brat Łukasz laski marszałkowskiej w danej koniunkturze, (kiedy Krzysztofa sabotowano i postponowano) nie powinien był przyjmować. Przyjął, no, to mniejsza z tym. Stare dzieje zapomniane, zagrzebane, proch z kości obydwu, nawet z nagrobków ani śladu...

W każdym razie z dwóch panów z Sierakowa z początków XVII wieku kolega publicysta satyryk sympatyczniejszy. Potknął się? Tak. Święty Piotr także, — trzykrotnie.



KTO NAM ODKRYŁ TATRY?



Różni różnie o tym mówią. Jedni, że już wspomina o Tatrach **Długosz**, ale **krótko**. Drudzy, że cesarz Henryk IV (Montes quibus nomen est Tatri). Inni, że polski władca Bolesław Wstydliwy raz je wstydliwie wymienia (Montes qui dicuntur Tatri). Następni opowiadają, że najpierw odkryto je Polakom ze... sceny i z teatru, i wymieniają zaraz Bogusławskiego (Wielkopolanina): „Krakowiaków i górali", albo znowu „Zabobon" J. N. Kamińskiego, gdzie znów figurują i Tatry i górale. Inni znów twierdzą, że ani Bogusławski ani Kamiński (Nepomucen nawiasem mówiąc) Tatr żywych i górali nigdy na oczy nie widywali, że natomiast Tatry odkryli poeci. I recytują zaraz Kniaźnina (wiersz o Babiej Górze), Brodzińskiego (Pobyt na Górach), kapitana Reklewskiego sielankę „Górale" i... Hugona Kołłątaja niepoety wiersz o Tatrach. Temu sprzeciwiają się natomiast i kontrują następnie inni, którzy zaklinają się, że Kniaźnin, Brodziński, Reklewski, Kołłątaj jako żywo nigdy w Tatrach nie bywali, że wobec tego ich odkrycie jest fikcją i farsą, a że Tatry odkryli inni także poeci, a mianowicie Józef Tetmajer, dziedzic Podhalańskiego Ludźmierza (dziadek

Kazimierza), który pierwszy z pierwszych wirchy i turnie opiewał (1829), po nim dopiero Goszczyński, który był tam w roku 1833, a opisał i wydrukował w 1853, po nim zaś Wincenty Pol, Polonus, który był tam i opisał odrazu w r. 1835.

A tymczasem rzecz się ma cała całkiem inaczej. Cesarz Henryk i Bolesław (Wstydliwy) coś tam słyszeli, że dzwonią, ale nie wiedzieli, w którym kościele. Poeci i jedni i drudzy rymy ładnie posklecali, ale że to czytywały tylko panie i panienki znajome, więc o żadnym serio odkryciu Tatr przez nich nie może być mowy. Goszczyński zatem i Pol, po czym w równym rządku: Chałubiński, Kantak, Matlakowski, po czym w drugim rządku równym Eliasz, Świerz, Pawlikowski (Gwalbertus) i Witkiewicz i Nowicki odkryli je, ale wtedy, kiedy już dawno były niezakryte.

Tatry odkrył Polakom ktoś znacznie inny i wyższego fasonu, a właściwie największego formatu i kalibru. Tatry odkrył jeden z najoryginalniejszych, najdziwaczniejszych wielkich ceprów czyli patałachów, jakich ziemia święta nosiła, jeden z takich ekscentryków, którychby nam nawet Wielka Brytania pozazdrościła względnie pozazdrościć mogła.

Bo i proszę to sobie poprzypominać i porozważać. Niby ksiądz i duchowna osoba, a nie ksiądz i po cywilnemu chodził. W tym bywał ultramontanus, a w tamtym Jakobin. Pałace wspaniałe budował i zostawił, a sam w dwóch spartańskich alkierzykach większą część żywota przemieszkał. Co nieco grafoman, przeważnie świetny pisarz a namiętny teatroman. Niby to republikant, a listy do niego osobiste pisywali i królowie i carowie, jako to Aleksander I i Fryderyk Wilhelm III (5. 11. 1804, Potsdam), choć tam właściwie żadnym dostojnikiem nigdy nie bywał. Statysta, ekonomista, mąż stanu, wiedzowiec, uczeniec, poważny i ważny jednym słowem człowiek, a tymczasem poemat rymem i rytmem na coś 10 czy 20 tysięcy wierszyków wykropił, i wydrukował. Ugodowiec nibyto, rządowiec („co cesarskie cesarzowi"), kompromisowiec, legalista, legitymista, a jednak mu ten poemat ciężki jak babia góra skonfiskowali jako że rewolucyjnych i wywrotowych a bezbożniczych myśli i pomysłów pełen. Antysemita w każdym calu i w każdym wierszu, a znowu, kiedy o jednego żydowinę chodziło, o niejakiego Abrahama Sterna, matematyka uczonego, to tak się w jego obronie zawziął (kłócąc się z tymi, których sam przecież antysemityzmu uczył), że się do dymisji z dygnitarstwa gotów podać, o ile jego osobistego żydowinę (Leibjude) aeropag do swego grona nie przyjmie. Ale jeszcze nie koniec na tym. Potrosze bowiem i aferzysta i właściwie geszefciarz „bankierem bezprocentowym" potocznie zwany, finansowa głowa pierwszej klasy i jakby nie polskiego autoramentu, kapitalista i kapitalizmu orędownik, a ni stąd, ni zowąd tu i ówdzie wprost komunistyczne zasady i teorie szerzy, na ten przykład:

„Często wielość prac z pierwszej ustawy towarzystw wynika. Tak w dzisiejszych społeczeństwach, w których każdy mieszkaniec osobną ruchomą i nieruchomą własność posiada, trzeba nierównie więcej praw niżeli ich było w tym towarzystwie, gdzieby każda własność do wszystkich wspólnie należała. Tam nie byłoby próżniaków którzy są jedyną przyczyną ubóstwa i nędzy. Tylko praca dzieliłaby każdemu potrzeby. Tam sukiennik nie dostanie w magazynie publicznym zboża etc., dopókąd nie odrobi pewnego wymiaru sukna, rolnik nie odbierze sukna etc., jeżeli nie odda swoją miarę zboża. Aby przyjaźń albo miłość osobista niesprawiedliwości w podziale nie czyniły, mogłyby same losy dzielić."

Tak jest: Staszic! Nie kto inny, jak Staszic scripsit. W „Przypiskach do przestróg", strona 42, takie komunizanckie idee rozsiewał sobie exksiądz, antysemita, a przyjaciel Abrahama Sterna, znamienity prozaista a autor skonfiskowanego, wprost grafomańskiego poematu o „Rodzie Ludzkim". Ale nie na tym koniec jego „niekonsekwencjów" pozornych i „sprzeczności", którymi raz po razie co tępsze spółcześniki się epatowały. Roztropek, racjonalista i utylitarysta, a równocześnie imaginatyk, fantasta, w realnościach marzyciel. Niby odludek i hipochonder, a wciąż z ludźmi, wciąż inicjator i organizator i „prezes" i zagajacz i orator. Harpagon a utracjusz... na publiczne cele. Zawsze przekora, udry na udry, zawsze przeciw prądowi i na bakier ze środowiskiem (przyjaźń z Zajączkiem, walka z Lubeckim, falanster i koop-rolna w Hrubieszowie), opinię przeciętników to drażniący, to wprost prowokujący, a jednak w swojej stolicy omal najpopularniejszy wśród ówczesnych wielkopolskich kolejnych faworytów Warszawy: Bogusławskiego, Kopczyńskiego, Kurpińskiego, w popularności par inter patres.

Ale nie na tym koniec. Bezżenny był, celibataire, stary kawaler z jedną tylko jedyną, ale za to ordynatową notorycznie romansik sobie uciął, w małżeńskie węzły czy więzy jako żywo nigdy nie popadł, a ileż to progenitury zostawił i to legalnej! ilu córkom żywot dał, bo ojcem był i rodzicielem, coprawda córkom o imionach dziwnych i do jego czasów nieużywanych. Był tedy ojcem Geognostyki polskiej, Fizjografii, Geologii, Mineralogii, Statystyki, Socjologii. I można jeszcze dodać: Alfabecji i Elementarii (Oświaty Ludowej). I można jeszcze dodać: dziadkiem Organizacji Pracy i Spółdzielczości, pradziadkiem Demokracji

Narodowej, a prapradziadkiem, co to ukrywać dłużej, przyszłej racjonalnej reformy rolnej. Na kopalnictwo, górnictwo i skarby pod ziemią śpiące on pierwszy zwrócił uwagę społeczeństwa „szczurów nadziemnych", a tymczasem sam był kopalnią niewyczerpaną, kopalnią idei i inicjatyw, haseł, programów i przedsięwzięć Od niedawna teraz modne godło: „Wyścig pracy" żaden tam z naszych rówieśników nie wysławił i nie wygłosił pierwszy, a tylko on, Staszic pierwszy. I on jest sam kopalnią cytat i wersetów właśnie, akurat aktualnych na dzisiejszą dobę.

Co do tych Tater zaś, czy Tatrów, to różni różnie tam sobie mówią Że niby pierwszy odkrył Francuz Hacquet i on się pierwszy na Opidową (Obydową), na Gubałówkę i na Nosala wydrapał (1788). Inni znowu, że Anglik Townson pierwszy zaszedł aż do P-strążyskiej Doliny i górali żywych zobaczył. Inni Tatr naukowe odkrycie (Fauna i Flora) przypisują Niemcowi, nazywającemu się von Koszistka („Die Hohe Tatra", 1864). Jeszcze zaś inni twierdzą, że Tatry wogóle dotychczas jeszcze są... nieodkryte.

Ani Matlakowski, ani Pawlikowski (pater Gwalbertus) jeszcze nie odkryli; „Na Przełęczy" Witkiewicza też Tatr nie odkryło. Nawet Rafała w „Cudach Polski" sumptem maecenasa-editora Wegnera z firmą Malczewskich wydana prześlicznie nowa księga jeszcze Tater nie odkryła. Tatry będą odkryte dopiero za trzy lata, kiedy będą 3 kolejki zębate, kiedy nastąpi pogrom protestantów profesorów rezerwatystów (Hryniewiecki, Siedlecki, Limanowski, Smoleński, Goetel, Wodziczko i Szafer), kiedy zwyciężą na całej linii Narciarze, kiedy trasy linowej kolejki połączą najwyższe turnie z najwyższymi wirchami,

kiedy na Myślenickiej stanie foksal (banhof) przesiadkowy, a na Kasprowym międzynarodowy luksusowy karawansraj z olbrzymimi neonowymi reklamami Tung-sram i Osram... to wtedy dopiero Tatry będą naprawdę odkryte, odsłonięte, uprzystępnione, oddane szerokim rzeszom u-lunaparkowane.

Dla nas starszejszych zrzędów i wsteczników Tatry są już dawno odkryte, może nawet o 50 procent za dużo i za szeroko. A odkryli je nie cesarz Otto i król Wstydliwy (Bolesław) i nie Tetmajer Józef ni Tetmajer Kazimierz i nie Gwalbert i nie Rafał i nie Pol lub Goszczyński lub Hacquet i Townson, ani wogóle żadne Galicjaki choćby z Kohngresówy, ale odkrył je Wielkopolonus i to z Piły rodem, mieszczański synek, prowincjusz a Europejczyk w każdym calu, z nielicznie interesujących Polaków jeden z naj-a-najoryginalniejszych. Staszic.

Z Widnia se wracał. A był wtedy rok 1798, więc już dość dawno.

Ze swoją ordynatową w tym Widniu dłuższy czas bawił, na giełdzie tam sobie wtedy szczęśliwie grał i dużo forsy przychwycił, co potem na Hrubieszów (kołchozy?) poszło, na Kopernika, na Towarzystwo Naukowe i na sto innych celów społecznych, filantropijnych i humanitarnych, i się rozeszło.

Z Widnia tedy duchowna osoba wracała i mimojazdem do Beskidów i Tatrów wstąpiła. Wydrapał się na Krzywoń czy Luboń, czy na inne gorce czy grapy. W skałki młotkiem stukał, „jarzec" na dłonie brał, humus cienki obwąchiwał, piargi zbierał. Juhase i bace musiały być wtedy takie same jak Komancze w wigwamach mieszkające, z tomahawkami w zębach; Pułaski w Rocky-Mountains w Ameryce, a Staszic oglądał naszych Indian czerwonoskórych może w Chochołowskiej Dolinie.

A co wszystko widział, to potem po latach opisał w „O Ziemiorodztwie Karpatów". Pierwszy to był ceper z dolin, co limbę i kosodrzewko zaboczył, pierwszy intelektualista, któremu wierzgające kopytkami harnasie zaśpiewały:

Abo mię zabijom, abo ja kogosik,
Bo mi się ... cupryna na góry podnosi ...

Tatry tedy pierwszy odkrył Staszic z Piły. A był to tylko jeden i to pomniejszy epizod w jego wszechstronnej, rozbujałej, niepohamowanej, owocnej, błogosławionej, kulturo-twórczej działalności.

Kiedyż wreszcie, Wielkopolsko, dasz znowu wielkiej Polsce nowego Staszica,

co zamiast ojca, pisał „oica"?

KOMU ZAWDZIĘCZAMY GRAMATYCZNOŚĆ?



Pod Tęcze musiały być rzucone granity.

Aby mogła tak wspaniale rozjarzeć się wielka poezja romantyczna i aby do takiej doskonałości mogła dojść proza polska w XIX wieku, musiały położone być przedtem podstawy prawodawstwa mowy ojczystej, musiała zaistnieć umiejętność językoznawstwa, musiał być stworzony całokształt reguł, zasad i prawideł poprawnego, ogół bez wyjątków obowiązującego wysławiania się.

Przodownikami i zakonodawcami w tej dziedzinie byli jak wiadomo: Kopczyński, a jak mniej wiadomo: Malinowski, Muczkowski, Cegielski i Małecki.

Czy też kto się zastanowił kiedy nad tym, że wszyscy czterej to Wielkopolanie a piąty nie-Wielkopolanin, gramatyką jako umiejętnością zajął się dopiero wonczas, kiedy w kręgu wielkopolskich uczonych w językoznawstwie się znalazł? A jednak to nie może ulegać zaprzeczeniu a jest chyba bardzo ciekawe, charakterystyczne, symptomatyczne i do pewnych refleksyj pobudzające. Granity pod Tęcze... Tęcze są z wschodnich kresów przeważnie, granit od Zachodu.

Przypomnijmy sobie kwintet tych najzasłużeńszych, dziś zapomnianych, rzucając na dwóch z publicystycznego „jupiteru" silniejsze światło. Małecki, który naszą generację uczył gramatyki, wcześnie poszedł do Lwowa i tam raczej przynależy. Muczkowski (napoleończyk) przyszedł znów do Poznania z Kongresówki i tu jako profesor przy Marii Magdaleńskim Gimnazjum dał swoją Gramatykę w r. 1825. Inny, profesor Hipolit Cegielski, ze wszechmiar zasługuje na pełną monografię nie tylko już jako lingwista i pedagog.

Dwaj atoli uzupełniają się wzajem jako tacy, którzy wykarczowali ziemię i wgruntowali pierwsze, z wielkopolska solidne fundamenty. Że zaś przy tym i dość oryginalne są dziwadła i nie z gatunku seryjnych i szarych zasłużeńców (benemerentów), przeto z dużą satysfakcją przypomni się ich tym, co z kretesem o nich zapominają.

Ojca Onufrego wcześnie zaakkaparowała stolica, gdzie z biegiem lat został jedną z najpopularniejszych postaci, możnaby powiedzieć nawet na warszawskim bruku, tylko, że bruków wtedy jeszcze nie było... Natomiast drugi uczony, kanonik z Komornik, mimo, że go Warszawa kilkakrotnie zapraszała, w żaden sposób i nijak nie dał się skusić i zwabić syrenom, ale w swojej plebanii księgami pod dach zawalonej pozostał, ósmy krzyżyk przekraczając.

Pijar i Pijarów lumen Kopczyński urodził się pod Gnieznem w Czerniejewie, które tym się tylko odznaczyło wogóle, że jakiś czas wabiło się Schwarzenau, co sobie pono Czerniejewianie przekabacili na Szwarżew podobnie jak Amsee (Janikowo) na Jamżę. Urodził się wypisz-wymaluj okrągło 200 lat temu. Tak Pijarów jak i Jezuitów przerzucają z końca świata na

koniec, więc także i uczony braciszek znalazł się między innymi i w Rzeszowie, gdzie przy gimnazji tamtejszej rzymską literaturę do łbów zakutych kładł, za co wynagrodzon szczodrze... Wiedniem i Paryżem, gdzie się tylko studiom statecznie oddawał. Pierwszy zwrócił na ojca Onufrego uwagę reformator szkolnictwa polskiego Konarski, drugi Potocki Ignacy, trzeci Potocki Stanisław i odtąd już był pod patronatem Potockich, co mu co nieco obywatelską karierę ułatwiło. Kolejno tedy profesorem w Collegium Nobilium, bibliotekarzem, spiritus rector w Towarzystwie Ksiąg Elementarnych, dalej szkół wszystkich wizytator (efor), dalej członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wreszcie złotym medalem nagrodzony jubilat, co mu oczywiście jak każdemu jubilatowi nieco i kres przyspieszyło. W międzyczasie jak każdy Polonus reprezentacyjnej rangi, posiedział też trochę w kryminale (Nikolsburg w r. 1794), a dłużej bo pięć lat na banicji.

Pierwszą Gramatykę dał Polakom w r. 1778 z przypisami, drugą wydano dopiero po śmierci (1817), a pierwszy „Elementarz" (wespół z kolegami) w roku 1784. Niektórzy twierdzą przemądrzale, że nie pierwszą, bo już w 1649 r. była pierwsza. Niech im będzie, ale są w błędzie, bo łacińską gramatykę polską dla cudzoziemców napisał Lotaryńczyk Mesquien („Meniuski"), a ojciec Onufer polską dla Polaków z godłem: „w gramatyce dla Polaków pisanej pierwsze miejsce ma polszczyzna". Jako dydakta, pedagog i elementarza pierwszy uczyciel renomę miał taką, że go Król Jegomość do Łazienek z uczniakami zaprosił, aby swą metodę przerabiania pierwotniaków na homo europeus mu sprezentował, po czym Wielkopolanina król orderem ozdobił. Kopczyński

broniąc czystości języka, jedną broszurę napisał przeciw germanizmowi „O duchu języka polskiego", a dwie przeciw galicyzmom francuskim („Nauka o dobrym pisaniu" i „O poprawie błędów w ustnej i pisanej mowie"), aczkolwiek sam mową Diderota i d'Alemberta tak władał, że raz dla użytku Sekwańczyków „Essay de grammaire polonaise practique et raisonné", a raz nawet wykoncypował polityczny memoriał na Kongres Wiedeński (1814), osławiony jak wiadomo pięknością dam, jurnością dyplomatów i... tańcami. Nie trzeba zatajać, że jego mądrym i czujnym doradcą był... generał Mroziński, a on znów był doradcą lexycografa Lindego.

Jeżeli teraz (1937) Polacy używają potocznie takich słów jak: imiesłów, spójnik, przyimek, nijaki (rodzaj: męski, żeński) równy, wyższy, (comparativus), najwyższy (superlativus), „liczba mnoga", liczba „pojedyńcza" i t. p., to zawdzięczają wszystkie te słowa intuicji i inwencji werbalnej Ojca Onufrego!! Wykrzyknik ! także wynalazł człowiek urodzony w byłym Schwarzenau (Czerniejewo).

Na jubileuszu Tow. Naukowego Warsz. (1816, jeszcze wtedy w lokalu na Kanonii) wiersz ku czci Kopczyńskiego wygłosił Kazimierz Brodziński tak prześliczny, że się niektórzy pobeczeli. A że prezesował pater patriae litterarum Staszic (rodem z Piły w Wielkopolsce), więc musiał i dzwonkiem dzwonić Staszic, żeby na głos nosów nie siąkano...

Specjalną popularność na... Krakowskim Przedmieściu miał Wielkopolus przez to jeszcze, że chłopaczyskom (pauper), którzy wołali: obarzanki! sprzedając obwarzanki, dawał po groszu, byle wymawiali czysto i wyraźnie.

Innego kalibru i stylu był znów proboszcz z Komornik. Oczywiście dziwactwa przemiłe miał także. Przede wszystkim urodził się w Prusach (Zach.) we wsi Gałubiu, a więc nie w samej Wielkopolsce, ale w każdym razie „spod Prusaka". Dalej: działalność jego przypada na czasy znacznie późniejsze, bo na wiek XIX-ty, skoro umarł w 1881-wszym. Kiedy on wydał swój standard-work, t. j. „Krytyczno - porównawczą gramatykę języka polskiego" (1869) miał za sobą a może pod sobą już czternaście gramatyk różnych autorów, między nimi Gramatykę H. Cegielskiego (r. 1843), podczas gdy Ojciec Onufer szczere pole. Ani pionierem ani squatterem czyli karczownikiem tedy nie był. W zamian za to był samoukiem, który z popularnego u nas dyletanctwa i amatorskiego zamiłowania dociągnął siebie do bardzo solidnej naukowej dyscypliny. Horyzonty rozszerzył sobie znacznie poza widnokrąg Kopczyńskiego a nawet Kopczyńskiego kilkunastu następców. Ojciec Onufry badał w głąb i wstecz językową przeszłość i ewolucję, ograniczając się tylko na swoich, podczas gdy pleban z Komornik studiował wszerz i planetarnie, to znaczy porównawczo w językach indoeuropejskich, aryjskich, opierając się głównie na wspaniałych rezultatach specjalistów germańskich.

Plebania w Komornikach powoli zmieniała wygląd na którąś ze sal British Museum, a jeszcze z kolei przychodziły paki z księgami, słownikami, leksykonami. Nadto był ks. Malinowski pasjonowanym poliglotą. Z biegiem lat uczył się coraz dziwaczniejszych języków aż i doszedł do tego, że z wikarym chciał rozmawiać po sanskrycku a z końmi od bryczki po litewsku. Po hebrajsku mówił jak Ben Akiba. Po arabsku expedite. Nie mówimy już o łacinie,

w której musiał być e x p e r t u s, jakoże przecież OO. Pijarów elew i prymus. W dziedzinie lingwistyki porównawczej wszystkie rozumy ks. Malinowski pojadł i wszystkie języki, idiomy, narzecza, gwary i polubił i pokochał.

Nie lubił natomiast i to serdecznie języka... Małeckiego. Ze znakomitym uczonym g e n t e Wielkopolanem szedł przy każdej okazji na udry.

Oprócz tego miał jeszcze kilka innych... fiołów w ogródku plebańskim i kilka zajączków... na księżych polach. Chciał wznowić starodawne, świętokrzyskie á pochylone. Miał manię poprawiania grafiki liter. Abecadło wszechsłowiańskie też mu się śniło często nad ranem. Poza tym jego „Gramatyka porównawcza" liczy sobie stron 660 a jeszcze jest do niej i późniejszy dodatek, tak że razem będzie 750.

W każdym razie lingwistą, etymologiem i gramatykiem był tak poważnym, że go Krakowska Akademia za excellencji Majera mianowała swym członkiem (1873) a „Warszawska Szkoła Główna" dwukrotnie proponowała mu profesurę. Nie przyjął. Był za młodu w stolicy, kształcił się tam w Collegium i u Bentkowskiego i u Osińskiego, do „Biblioteki Warszawskiej" stale pisywał, z uczonymi specjalistami korespondował i kłócił się (profani powiedzieliby: o bagatelki), ale na stałe miejsce pobytowe Warszawy nie chciał. Zanadto tam ceniono i cytowano tego „specjalistę od Słowackiego" a... „ignoranta co do spółgłoski j" (Małeckiego).

Kopczyński, Muczkowski, Malinowski, Cegielski, Małecki!

Bądź co bądź w k ł a d tej „prowincji" wcale wielki. Oni nauczyli Polaków czytać i pisać poprawnie po polsku.

FRYDERYK i EPHRAIM



W r. 1765-tym było w Polsce „krajowych cudzoziemców" wyznania i rasy M (Mojżesz, maximalizm, maskulinizm) wedle spisu ludnościowego 429,567. Jak tam ten spis zrobiono i czy tam wszyscy się rejestrowali, no, to Bóg ich raczy wiedzieć; ręczyć za ścisłość nie możnaby. Faktem jest, że pod koniec wieku XVIII-tego już było do sześciuset tysięcy. Niewielka z tego paczka dostała się po pierwszym d e m e m b r e m e n t pod panowanie Hohenzollernów, ale w każdym razie wystarczyła, by bądź co bądź rasowego „indo-germana" w koronie pruskiej wprawić w niesłychany niepokój, rozdrażnienie i irytacia in permanentia.

Opowiedział nam coś niecoś na ten temat ostatnio „znakomity historyk krakowski" (sic!) następca Szujskich i Smolków, dr Majer Bałaban z okazji stupięćdziesięciolecia śmierci Fryderyka, przypadającej na miesiąc sierpień 1936 Nie żywi żadnej sympatii dr. Majer do króla pruskiego, jak też i król pruski nie nosił w sercu rasy Bałabanowej. Nie taił się z tą animozją do nich Fryderyk, a motywów jego bagatelizacji, lekceważenia, a nawet nieskrywanej wobec Sarmatów pogardy należy, wedle jego własnych

enuncjacyj, szukać też w tej Sarmatów uległości, pobłażliwości, gościnności, lekkomyślności, nieporadności, dopuszczającej do wzrastającego zadrażnienia z dyzunitami, a równocześnie do pieszczenia i karesowania pożyczających gotówkę Geldhabów. Zrobiło to wreszcie tak z Polski historycznej, jak i z Polski sanacko-leguńskiej dzisiejszy masowy rezerwoar elementów rozkładu cywilizacji, co zresztą niedawno Nahum Sokołow zanaczył najwyraźniej w mowie swej londyńskiej:

W ciągu niektórych stuleci Polska była względem nas o wiele bardziej liberalna niż kraje sąsiednie. Polska nie splamiła nigdy swej historji wygnaniem Żydów. Przeciwnie, przez wpuszczenie dopływu Żydów z innych krajów Polska stała się masowym rezerwoarem dla świata żydowskiego i w ten sposób pozytywnie przyczyniła się do zachowania naszego narodu, bardziej, niż zdołał to uczynić jakikolwiek inny kraj.

Otóż to właśnie: „liberalne" „wpuszczanie", innymi słowy mówiąc, ta ociężałość, wygodnictwo, próżniactwo, utracjuszostwo, potem żebractwo u Szajloków lichwiarskich pożyczek, a w następstwie tego niewola u plutokratów, począwszy od Bolesława Pobożnego i od Kazimierza „Wielkiego", to prasarmackie ruere in servitium Israeli, to stało się też jednym z czynników motorycznych w dążeniu Fryderyka Pruskiego do demembrement Polski. Wyraźnie to zaznaczył król kilkakrotnie. Nie szanował i nie estymował narodu, który nie umiał się bronić czy leczyć z „plica polonica", ze swego „kołtuna", dosłownie i w przenośni. Zagrabione w pierwszym rozbiorze ziemie: Warmię, Prusy Królewskie, dystrykt Noteci nazywał „Kanadą", a tamtejszą ludność nabytą... Irokezami. W swej „Guerre des Confederés" wyśmiewa głównie pieniactwo, partyjnictwo, kłótliwość, pijaństwo, niesolidność, niesubordynację i te różne mankamenty, które zresztą piętnowali potem w wieku XIX nasi właśni historycy-samobiczownicy... przeważnie nie bez racji.

Najbardziej atoli irytowało go to słowiańskie w Polsce „niesprzeciwianie się złu" i ten... rezerwoar. Miał i on swoich w Berlinie, ale trzymał ich „na lodzie". Wedle „Judenreglement" z r. 1750 nie wolno było ani brać się do rzemiosł ani dostawać urzędów; mogli być tylko rytownikami, szlifierzami, hafty robić i handel, ale handel walutami i domokrążstwo zakazane. Podatki były ciężkie. „Schutzjude" musiał płacić „Schutzgeld", a jeżeli przejeżdżał tylko z jednej do drugiej prowincji, musiał płacić „Leibzoll". Aby się nie zanadto rozmnażali, żenić się mógł tylko jeden syn lub jedna córka. I wtedy dochodził jeszcze jeden dodatek do podatków (po dodatku na „Kalendarz Akademii Umiejętności"!) a mianowicie dodatek na... porcelanę. Każdy izraelit musiał składać w mennicy tyle a tyle, a dostawał za to z Królewskiej Manufaktury Porcelany (Gockowskiego) porcelanę wyprawową, serwisy, naczynia i figurki... Wybitny filozof i myśliciel, z którego reklama jerychońska zrobiła zaraz „Sokratesa żydowskiego", Moses Mendelsohn (proponowany na członka przez Akademię, a skreślony z listy przez króla) dostał kilkadziesiąt porcelanowych... małpeczek.

Żydów polskich zobaczył Fryderyk Wielki po raz pierwszy w Fordonie, kiedy przyjechał z pierwszą lustracyjną wizytą, a oni doń z hołdem i owacjami. Przeraził się tak pejsowatych chałatowców i „Betteljudów", że kazał natychmiast pakować Judów na tratwy i spławiać w górę Wisły do Sarmacji. Ziemia-

nie polscy, na mocy dekretu specjalnego, mieli nakazane zerwanie natychmiast wszystkich kontraktów z karczmarzami, młynarzami, browarnikami.

W roku 1780 był drugi raz w nabytych (bo nie zdobytych) ziemiach, tym razem w Grudziądzu i Bydgoszczy. Ponieważ biurokracja ze względów fiskalno-finansowych stawiała opór zbyt pośpiesznym i zbyt gwałtownym represjom, exmisjom i relegowaniom (do Polski), więc zniecierpliwiony król wpadał w pasję. Z tych czasów datuje się słynny potem aforyzm „zwei Tausend Juden sind maximum". Z tych też czasów list znany do wielkorządcy Domhardta (9. 11. 1780), gdzie król pisał:

Odnośnie do Żydów w Prusiech Zachodnich nie zmieniam swego zdania, że należy ich usunąć. Nie jest to jednak rzeczą jednego dnia, jak z Twoich słów zrozumiałem, lecz to winno postępować powoli, przede wszystkim jednak należy baczyć, aby Żydzi żebrzący z Polski nie wdzierali się do naszego kraju. Gdy się Żydów usunie, należy ich miejsca zapełnić chrześcijanami, lecz powtarzam, że to nie jest dzieło jednego dnia. Należy też starać się o usunięcie Polaków z granicznych miejscowości i zastąpienie ich Niemcami, gdyż w tych miejscach Polacy nie wiele są warci.

„W tych miejscach", to znaczy tam, gdzie dopuścili już wtedy (w r. 1780) do tego, że miasteczka Wieleń, Sępolno, Łobżenica, Złotów miały ludność w połowie semicką, a zarazem w całym Netze-District, istniała olbrzymia, przerażająca „twardych" Prusaków cyfra Żydów: 1421.

W pięć lat z trzech ziem usunięto i do Polski bezceremonialnie przesypano: 4430. Światowy rezerwoar wchłonął i te dawkę, omal że z pocałowaniem ręki.

Nie należy atoli ani myśleć ani przypuszczać, że Fryderyk Wielki, realista, commandingman, Führer,

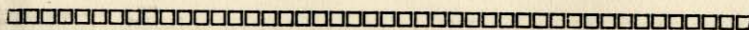
principe i duce di primo cartello nie miał „swoich" Żydów, swoich „Leibjuden", „Schutzjuden". Owszem, miał. Tak zwani: „ordentliche" (powyżej 1000 talarów majątku) i „ausserordentliche". Na wojnę siedmioletnią potrzebna była gotówka, Żydzi złożyli skarbowi 70.000 talarów i dostali za to przywilej na mnożenie się, to znaczy, że i drugie dziecko mogło odtąd wstępować w związki małżeńskie, byle wyprawową porcelanę kupowało w „Królewskiej Manufakturze". Najsłynniejszym anegdotycznym Leibjudem Fryderyka był genialny fałszerz pieniędzy Veitel Ephraim, który fałszywymi dukatami i obrzezanymi talarami zalewał z pomocą swoich agentów całą Polskę („eframki"). Są o Ephraimie prace naukowe i niemieckie i polskie.

Oprócz faworyta Ephraima byli jeszcze specjalnie protegowanymi Żydzi podgdańscy. Ponieważ osiedlanie się w Gdańsku było im zakazane ze względów konkurencyjnych, przeto Żydzi z Polski obsiedli gęsto przedmieścia Stolzenberg, Weinberg, Hoppenbruch, Langfuhr. Ponieważ zaś Gdańsk, szczególnie patrycjat i kupiectwo, notorycznie i manifestacyjnie trzymało się i ciążyło do Polski, przeto król, aby Gdańsk za karę zubożyć i zrujnować, handel i przemysł gdański podkopać i sparaliżować, użył do tego celu Żydów podgdańskich. Nazywało się to „nałożeniem okularów Gdańskowi". Żydzi zaś w Berlinie gnieceni, z Prus, z Warmii, z Bydgoszczy „na tratwach" Wisłą „relegowani", z ochotą jednak zgodzili się na tę rolę, wbrew interesom polskim, a dla ugięcia, spauperyzowania i skruszenia Gdańszczan. I odtąd wszelkimi siłami pracowali na benefis króla Fryderyka.

Za tę akcję i współpomoc w przygotowywaniu drugiego rozbioru dostali różne ułatwienia i przywileje, zresztą drobne. Ale za to musiały Geldhaby przedmiejskie dawać moc różnych podatków i dodatków do podatków.

Między innymi na... „Kalendarz Berlińskiej Akademii Umiejętności“ i na... porcelanę. Jedni tylko Żydowie z jednego Hoppenbruch musieli rocznie kupować naczyń z porcelany berlińskiej Gockowskiego za 1000 talarów!

Czy wśród tej porcelany królewskiej (i tandentnej) bywało i „to naczynie, o którym się nie mówi“ — Clio, muza historii... nie notuje.



KANONIK NAD KANONIKI



Niema dzisiaj w Paryżu autora, któryby w Polsce cieszył się taką popularnością w elicie intelektualnej i był tylokrotnie tłumaczony przez najmocniejsze tuzy i asy literackie, jak swego czasu, dość dawno, bo omal 200 lat temu, niejaki Wodopij, inaczej Boalowiusz, recte... Boileau.

W drugiej połowie XVIII-go wieku Oświecenia tłumaczono u nas Francuzów w ogóle wszystkich, a tłumaczono nałogowo, masowo, po kilka razy jedno i to samo dzieło aż do skutku, tj. aż do doskonałości. Z dzisiejszej perspektywy czasem się wydaje, że przed królem Stanisławem Augustem, za Stanisława i po Stanisławie kilkuset literatów literalnie noc i dzień tłumaczyło nowalie francuskie. Całego Woltera od a do zet (Alzyra-Żadig) każdy tom po kilka, po kilkanaście razy i wszystko, co contra Wolter, także. Z Encyklopedystów wszystko. Mably, Marmontel i Montesquieu, Delille i Lafontaine, Rousseau i Sieyes, Buffon, Florian, panna Scudery, pan Pirron. Wszyscy co cieszyli się europejską renomą i reputacją, tłumaczeni bywali stante pedante i to nietylko przez pedantów. Nie. Tłumaczyli Francuzów kasztelanowie i hetmanowie, wojewodziny i podczaszyce, Ojcowie

Jezuici i Ojcowie Pijarzy, ale także wielkie talenty i umysły twórcze, samorodne. W epoce Stanisławowskiej przyswajali Francuzów: Naruszewicz, Węgierski, Kniaźnin, Trembecki, Bohomolec, Zabłocki, Konarski, kilku Potockich, kilku Krasickich, Rzewuskich, Załuskich.

Satyryk „Wodopij", który zresztą nic nie miał wspólnego z alkoholiczną abstynencją w Sarmacji Hiperborejskiej, tłumaczów liczył sobie chyba z tuzin. A co nowszy, to lepszy. Nie napisał Boileau znów tak dużo, a wszystko, co nad Sekwaną napisał, nad Wisłą w te pędy było przekładane, przerabiane, parafrazowane, lokalizowane. Nadto i po dwustu latach doczekał się, że tak jego twórczością rymopiską, jak i polonizacją tej twórczości zajął się pewien uczony, rozmiłowany serdecznie w temacie, za czym dający o Wodopiju studia źródłowe interesujące, balastem pedanctwa nie obciążone. Był nim prof. Gabriel Korbut, w którego przedśmiertnym tomie „Szkiców i Drobiazgów" exhumowany też został ostatni, a zarazem największy polski „Boalista", po czym sprezentowany tak wyraziście, że mumia literacka jakby żyje i mocnymi oczyma na nas patrzy. Tym Boalistą zasię znów Wielkopolus, ale sui generis modelowego a wyjątkowego autoramentu, bo taki, co właściwie z granic Wielkopolski niby nigdzie nie jeżdżając („tam się pasł jeno jako w lesie zając"), a jednak życiem całej wielkiej Polski żył i w rozwój moralno - intelektualny stolicy ingerował wnętliwie, czujnie, aktywnie, choć pozornie poślednio i pośrednio.

O żywocie doczesnym Gorczyczewskiego Zoila dotychczas nadal wiemy minimalnie. Pochodzili z Gołęcina. Dwóch było znanych i to Janów z imienia. Jeden poseł na 3-ci Sejm do Berlina (1837), figuruje

w spisach członków wolnomularskiej loży „Świątynia Jedności", ale wśród „Braci Wykreślonych" (sic). Ten nas obchodzi tyle, co śnieg zeszłoroczny. Natomiast drugi, także Jan, ale Jan Kamil... bardzo. Księdzem był i doktorem, ale tylko filozofii. Jakiś czas protektorat szkół w Kaliszu. Magnum. aevi spatium przeżył jako kanonik poznański, kaznodzieja, pedagog, rektor sławetnego Liceum.

Literaturą parał się kanonik zdaje się i nałogowo i nieuleczalnie, tak jak zresztą przewielu przewielebnych z owych czasów sufraganów, przeorów i braciszków zwykłych. Debiutował jako tłumacz „Skotopasków" Virgiliusza Marona. Jako już ceniony i „z n a j o m y" homo literatus w r. 1805 został członkiem korespondentem „Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk". Ale ani tłumaczenia Virgilego ani Anglika Pope'a, ani paryskiego Delille'a większej „reputacji" mu nie wyrobiły, ani twórcy-odtwórcy w nim nie rozbudziły. Dopiero zetknięcie się, poznanie, skojarzenie i pobratymstwo z Boileau podnieciły wenę twórczą kanonika poznańskiego. Otóż kastalskie źródełko Hipokreny czy Helikon odnaleziony. Trafił frant na franta, zagrali kuranta. Już się od tego momentu nie rozstawał ten Polak z tym Francuzem. Wszyscy inni autorzy poszli w kąt i na strych poznańskiej plebanii.

Tak samo zresztą podkochiwali się w Boileau illo tempore Sarmatowie inni. Już przed Gorczyczewskim miał Boileau translatorów przednich: „Listy poetyckie": Krasicki, tenże parafrazy satyr: „Pijaństwo" i „Żona modna"; „Sztuka rymotwórcza" Dmochowski, „Organy" Węgierski, Naruszewicz, Feliński. A wśród nich znalazł się też i książę biskup krakowski J. J. Załuski, bibliofila brat, sam też bibliofil i ry-

marz tak zajadły, że nawet katalog Biblioteki Załuskich rymem układał. Ten to purpurat i dostojnik satyry Boileau też wziął pod gęsipiór parafrazy i lokalizacji, przy czym atoli pozwolił sobie na taką przemoc i multum słów sprośnych, nieprzystojnych, dosadnych (do sadu), tak przesolił, przepieprzył, przezegadłowiczył, że trzeba je było na gwałt wycofywać z obiegu, a Ojcowie Jezuici słusznie nimi tu i owdzie cum ostentatione w kominkach palili. Zanadto widocznie wziął sobie do serca słynną przysłowiową maksymę Boileau: „j'appelle un chat un chat et Rolet un fripon" i to w dziedzinie masculini et feminini generis (jurna Venus się parzy, kupidynek s... synek, d...ka, hołod...pka et cetera). Trzeba więc tedy było niedobrą renomę rzekomego plugawca co prędzej „Wodopijowi" naprawić. Żwawo zabrał się nasz canonicus do roboty, na Załuskiego sprośnika tak zirytowany, że wyliczając w przedmowie swych poprzedników w tłumactwie i w przekładańcach, nawet jednym słówkiem przewielebnego nie wspomina.

Boileau w sosie Gorczyczewskiego dwukrotnie był drukowany, w 1805-ym i kilkanaście lat potem w 1818-tym w dwutomowej edycji „Poezji przekładanych i własnych" z przypiskami, adnotacjami, z preface. Zachwalali je Kołłątaj, Dmochowski, Potocki Stanisław minister (i mistrz Wielki Wielkiego Wschodu), ksiądz Siarczyński, ksiądz Jezierski, lubelski rektor (autor „Uwag Jarosza Kutasińskiego" oraz „Katechizmu o tajemnicach rządu polskiego"), Konarski i Kopczyński takoż, Brodziński profesor też, a nawet sam bliższy rodak, bo z Piły rodem Staszic, jednym słowem: reformisty, toleranty, „libertyny", „Jakobiny" domowego chowu. Satyry Gorczyczewskiego zalecono oficjalnie dla bibliotek szkolnych.

Jedna z Satyr już nie tłumaczona z Boileau, ale własnej inwencji i kompozycji p. t. „Gotowalnia sentymentalna", zyskała sobie nawet dużą popularność. Kiedy kanonik Gorczyczewski pożegnał się z tym padołem płaczu (1824), jego bliższy rodak, prezes Staszic wygłosił na posiedzeniu „Towarzystwa Naukowego" żałobne hommagium.

Na czym tedy polegają walory kanonika Gorczyczewskiego i z jakiej racji godzien się stał wydobycia? Oto przede wszystkim i generalnie dla jego niepospolitej odwagi cywilnej i mówienia spółcześnikom stuprocentowej prawdy. Kanonik i weredyk w jednej osobie. Prawdy swojej nie obwijał Gorczyczewski w bawełnę, ale dawał ją, można powiedzieć, jędrną i nagą w doskonałej formie, w dostałym języku, z humorem, z dowcipem godnym wielkich ówczesnych warszawistów: Trembeckiego, Węgierskiego, Krasickiego. W strategii i taktyce satyrycznej szedł Gorczyczewski wedle wskazań swego pierwowzoru, przez Zabłockiego, również satyryka, tak sformułowanych:

Przede wszystkim zalecam ci, trzymaj się Boileau'a,
On kiedy gromi zbrodnie, imion nie ocala.
Inaczej nic nie zdołasz. Satyra nie taka
Zamiast poprawić jeszcze zabawi łajdaka,
A tu idzie o kraj twój, biedny oczywiście,
Będzie w nim lepiej, — tylko mocno! śmiało piszcie!

I kanonik poznański wziął sobie do serca ten imperatyw: mocno! śmiało! Satyry Boileau tłumacząc, tak je parafrazował, adaptował, lokalizował, umiejscawiał, do obyczaju sarmackiego, do „ładu" polskiego „naciągał" (dociągał), że właściwie stawały się w przetworzeniu czymś całkiem samorodnym. Atakował i insultował polskie wady, błędy, grzechy w ich osobowych indywidualnych personifikacjach.

Siebie i swe kampanie ironicznie tak charakteryzuje:

Strzeż się, mówi niejeden, tego dziwoląga,
Pełno on much ma w nosie, z wszystkich się urąga.
Zuchwały trefniś żartem wiersz by swój zbogacił,
Nie dba, choćby dla niego stu przyjaciół stracił,
Bodzie wszystkich i nie zna w swych szyderstwach braku...

Wzorem swojego arcymistrza wynajduje sobie najpierw cały szereg figur fikcyjnych na obśmiewanie zasłużonych: panie Dewocka, Łakomska, Umizgalska, Wyrocznicka, Mędrska, to sawantki, precieusy, modnisie, wampy, kokiety. Panowie często mają tylko imiona: Rafał, Marek, Sykstus, albo nazwiska: Sknerski, Libertynowicz, Wszędobylski, Weber.

Ale nie w tych Hogarthoskich obrazeczkach sarkastycznych leży główna forsa pisarza i jego waga kulturalna. To są igraszki i baraszki á la „Gotowalnia Sentymentalna". Właściwy Gorczyczewski wypowiada się dopiero w właściwie paszkwilowych atakach na reprezentantów intelektualnej miernoty i ciemnoty, na obskurantów, antagonistów „Oświecenia", prowincjonalistów, grafomanów, „bazgraczów", „gryzmołów", na ówczesnych „Lechickich" i Piróżyńskich.

„A jeżeli komu wolno i z mądrych dzieł szydzić
Za cóż mnie ma być zbronno głupich nienawidzić."

No i w tych dziedzinach, na tym froncie, jest kanonik poznański agresywnie wojowniczy, bez pardonu, no i najciekawszy. Takiej odwagi cywilnej i takiego furor satiricus nie mają ani Węgierski, ani Zabłocki. Wybrał sobie tutaj kilka poprostu ofiar,

które tropi i tępi bez litości. W Satyrze Czwartej tak dyffamuje nieudolnego kaznodzieję, tuż najbliżej w Poznaniu go irytującego:

Ojciec Chryzanty, w Tumie co w święta kazywa
Wielmożność kanoniczną wyręczając sobą,
Sądzi się być jedyną ambony ozdobą;
A gdy zapał gorliwy minę w nim nasroży,
Za nim, przy nim Augustyn, Chryzostom, Ambroży.
Cóżby się działo, gdyby jakowy zuchwalec
Dla przetarcia mu oczu ściągnął śmiały palec?
Gdyby mu to dał poznać, że jego kazania
Więcej ciągną szyderstwa, niźli zbudowania,
Że do tego rzemiosła wcale nie ma głowy,
Że w mowach jego braknie wątku i osnowy,
Że rzecz źle brana, podły styl, dzikie ruszenie
Sprawia w słuchaczach jego wstręt i obmierżenie?

Nie lada trzeba było odwagi cywilnej, żeby tak zmasakrować konkurencyjnego ale nieudolnego widocznie oratora.

Takich ofiar jak ojciec Chryzant ma satyryk Gorczyczewski w Krakowie i Warszawie spory poczet. W Krakowie ofiarą Gorczyczewskiego jest prof. Jacek Idzi Przybylski, polyglotta, tłumacz Miltona, osławiony w owych czasach produktor niezliczonych językowych nowotworów. Satyryk poznański układa w rymy girlandę tych dziwadeł słownych, po czym pisze:

Choćbym ja słowa nie rzekł, któż nie zna pisarza,
Co na złość rozumowi takie słowa stwarza,
Których przedmiot żadnemu z Słowian w myśl nie wpadnie,
A Polak ich znaczenia na wieki nie zgadnie.

Była to tym razem jednak omyłka satyryka, gdyż Polak nie tylko że „zgadł", ale moc nowotworów Idziego Jacka przeszła do normalnego potocznego języka. Utarła się.

Najważniejsze były atoli batalie, jakie przez lufy dział i armat Boileau staczał Gorczyczewski z potentatami warszawskimi, głównie z księdzem Łuskiną S. J. i z Surowieckim, Reformatem a reform wszelkich nieprzejednanym wrogiem. To byli dwaj Lechiccy Pirożyńce ery Stanisławowskiej i Wielkiego Sejmu. Dostawało się przygodnie i Jezuicie Wyrwiczowi, dostawało fałszerzowi i heraldykowi Wielądkowi, ba, nawet przelotnie i bez nazwiska, Staszicowi (za złe tłumaczenie „Numy i Pompiliusza“ Floriana), ale nad obskurantami Łuskiną i nad Surowieckim oświecony kanonik poznański formalnie się pastwił. Ksiądz Łuskina odziedziczywszy po Bohomolcu „Gazetę Warszawską“, zniżył jej poziom do normy brukowców (były już wtedy!), rozpisujących się szeroko o napadach nożowców (byli już wtedy!). W Satyrze o „Niewygodach (sic) Warszawy“ czytamy:

Biada więc, biada temu! Kto w skrętach ulicy
Pod noc idzie, choć z światlem, gdzie są rozbójnicy;
Świallo mu w ręku gaśnie, a kilku hultai
Krępując go, o worek rzecz swoją zagai:
Oddaj zaraz! Jeśli nie, to nie nasza wina,
Że twą śmiercią Gazetę powiększy Łuskina.

I temu Łuskinie dostają się najboleśniejsze cięgi za nietolerancyjne napaści na oświeconego i tolerancyjnego księdza Świtkowskiego, redaktora walczącego z obskurantelą „Pamiętnika“.

Największą atoli indygnacją i istną furią satyryczną wybucha kanonik poznański wtedy, kiedy mu przyjdzie demaskować... „Pythona“... Na pytanie, kto był Python, odpowiedź: Karol Surowiecki, mnich w stylu mnichów z „Monachomachii“ Krasickiego, wróg Konstytucji 3 Maja, Słowianofil, ale polemista warcholski pierwszej klasy, którego na najczarniej

malują Chmielowski i Smoleński, a którego wybielił i zapoteozował ksiądz biskup Nowodworski (1876).

Kiedy Stanisław Potocki, minister oświaty i mistrz loży W. Wschodu, wydał swoją antyklerykalną „Podróż do Ciemnogrodu“ i swoje „Świstki krytyczne“, kler napastowany musiał całkiem słusznie i normalnie się bronić. Ofensywy prowadził nie zawsze w bardzo kulturalny, rycerski i europejski sposób ex-reformat Surowiecki. Twierdzą „reakcji“ była wtedy Akademia Połocka zwana popularnie Smorgońską. Surowiecki działał w Warszawie i tu wydawał przeciw Potockiemu et Comp. (Franc—Masson) swoje repliki zajadłe: „Świstek wyświstany“ i... „Python“ itp. W polemikach obu stron dochodziło do niebywałej zażartości i obelżywości, przy czym po stronie reformistów, tolerantów, „Jakobinów“, „Libertynów“ stali Ojcowie Pijarzy, a przeciw koterii Potockiego byli Jezuici i zakony z epoki Saskiej, owocześni... „Lechiccy“ i Pirożyńscy.

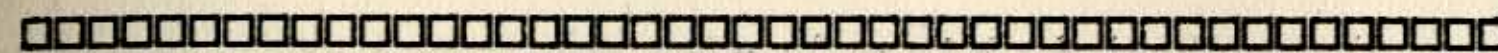
Ksiądz Gorczyczewski z Poznania stanął po stronie reform a przeciw Reformatom, z rzetelną pasją ciskając się na nieco nieokrzesanego Pythona. Specjalnego smaczku dodawało tym zapasom i to jeszcze, że na terenie względnie na tle Warszawy walczyli ze sobą i knockautowali się dwaj Poznaniacy, gdyż i bracia Surowieccy Karol i Wawrzyniec pochodzili z pod Gniezna. Może i ten szczegół jeszcze spotęgował werwę satyryczną księdza kanonika, podobnie jak dziś pojedynkują się raz po raz Mackiewicz z Niedziałkowskim, obaj Wilnianie.

Czyż się jeszcze wykręcisz z szyderstw na Pitona?
Książka ta sama nosi brudne swe znamiona.
Chlubna rzecz dla człowieka być obrońcą wiary;
Ale komu do tego ubliżone dary,

Kto z siłą Pigmejczyka, z Tersyta językiem
Chce naprzeciw Gigantom stawać zapaśnikiem,
Lepiejby cicho siedział. Dawid Goljata
Kiedy z procy pokonał, dał przykład dla świata,
Że przez siłę i zręczność w obronie Solimy
Może mały pastuszek zwyciężać olbrzymy.
Lecz gdy w miejscu obojga stanie żółć obrzydła,
Gdy kto za miecz słabego używa kropidła,
Gdy lichy procarz tylko błotem rzuca z dala,
Taki i nie zwycięży i sam się powala.

Jak widzimy z tych próbek i wycinków, podziw wzbudzić musi i forma doskonała i odwaga bezprzykładna, niemniej dynamika werbalna. Pozwolił sobie ksiądz Staszic rżnąć verba veritatis „lamom" i „bonzom" ciemnym jak tabaka w rogu Ciemnogrodu, no to pozwolił sobie i kanonik z Abdery... rżnąć „wielebne głupstwo", nieudolność i niezgrabstwo ówczesnych Pirożyńców źle przygotowanych, więc nie predysponowanych do walki z Behemothem i z Belphagorem (Wielkiego Wschodu).

A że czynił to w imię oświecenia i zdrowego rezonu, że czynił z gustem, ze smakiem, z wdziękiem godnym warmijskiego biskupa, przeto też zasłużył, aby był wydobyty z niepamięci czwartej generacji swych z bliskich najbliższych.



URODZIŁ SIĘ W GLINNIE



W okresie czteromiesięcznym (rok 1936) odsłonięto w stołecznym mieście Moszkopolis (nazwa J. U. Niemcewicza) a dawnym Ciemnogrodzie (nazwa St. K. Potockiego) dwa pomniki dwóch Wielkopolan. Jeden dłuta Jackowskiego, drugi Szczepkowskiego. Maj i wrzesień. Przy okazji wygłoszono kilkanaście mów, a wypisano kilkaset artykulasów. Wspomnieć atoli, że to Wielkopolanie, mało kto raczył. Mało kto, to znaczy nikt. Literalnie nikt. Dosłownie żaden. Ani gadacz, ani skrybent. Ani minister, ani ministrant. „Wygłupiali się", mówiąc po warszawsku, wszyscy, ale ani przy odsłonięciu monumentu Kilińskiego, ani przy Bogusławskim żadna osoba, ani żadna osobistość na ten szczególny zbieg okoliczności uwagi łaskawie nie zwróciła. Poznania na te uroczystości stolica, oczywiście, nie zaprosiła. Poznań się więc o swoje po swojemu nie upominał. Z dzielnicy, która obu opomnikowanych porodziła, żadnej delegacji, apelacji, rektyfikacji, rewindykacji nie było. Pod tym względem a b s e n s. No to niech tam! Jak się sami nie upominają, to widocznie mają swoje powody i racje. No to niech tam! O Kilińskiego („był szewcem, ocalił Warszawę, Moskaliskom sprawił weselisko krwawe") niech się kto inny upomina. Ale o kolegę — kolega.

Pomnik stoi. Nie w bardzo udałym i wydarzonym miejscu, ale za to sam udały i wydarzony. Stary trzyma w ręku cylinder i patrzy w świat suwerennie, mocny jak na sztychu Hopwooda. Rasowy jest, dystyngowany, barczysty, byczy i zwycięski. Swoje zrobił. Napracował się, naharował, namozolił co się zowie. W wierszykach to nawet spopularyzowano. Całe życie przeszło mu jak pionierowi, misjonarzowi, karczownikowi, organizatorowi, bojownikowi, a właściwie apostołowi Sztuki Teatru. Na pomnik tedy i to pomnik w stolicy (Ciemnogród — Moszkopolis) solidnie sobie zasłużył.

Pisało o nim wielu i wiele.

Normalnym torem i zwyczajem idąc, przepisywali jedni od drugich, a niekiedy ktoś coś i nowego dołożył. Z najbardziej zobowiązanych, to jest z aktorów: Rapacki i Kotarbiński. Z teatrologów i historyków Melpomeny: Brückner, Bernacki, Kucharski, Bruner, Tenner, Rulikowski, Zawistowski, Schillerek, Galle. Wnuk: Władysław Bogusławski. Heine w broszurze „O Polsce". Ostatnia publikacja o charakterze monografii wyszła spod pióra Eugeniusza Świerczewskiego, możliwie syntetyzująca, ciepła, serdeczna, miła. O „Bogusławskim w Poznaniu": W. Koryzna. Bibliomani przechowują na półkach z pietyzmem 12 tomów jego pism, tłumaczeń, utworów oryginalnych, dwanaście tomów wyszłych nakładem Glüksberga Natana (aryjczyk się nie znalazł w Ciemnogrodzie). Wszystko to atoli, co o „ojcu komedii", „ojcu opery", „ojcu dramatu" pisano dotychczas, to było biografstwo fasadowe, znaczy się dla narodu, dla szerokich warstw, dla dorastającej inteligencji, dydaktyka ad usum Delphini. Pogłębionego portretu psychologicznego dotychczas nie ma. Ani rozświetlenia różnych niejasnych

momentów życiorysowych... Ani vie romancée, ani... stosunków z masonerią... Ani nie rozwiązana zagadka, skąd i jak się taki wziął, z ziemiańskiego gniazda, spod Poznania, ni stąd, ni zowąd w teatralne życie... z kabotynami, z aktorkami, z cantatricami, z baletniczkami, a równocześnie Jego Królewskiej Mości faworyt i na Zamku gości często, no i w ogóle wśród Bogusławskich najpierwsza „błyszcząca kariera", nomen magnum, splendor familii? To wszystko nadal nierozświetlone, a na rozświetlenie czeka.

Organizacja psychofizyczna o bajecznej wprost dynamice. Energia i rozmach omal niepolskie. Turbogenerator. Pisze, przerabia, gra, tłumaczy, jeździ, przenosi się, zmienia locum, znów gra, znów pisze, znów przerabia, prowadzi administrację, finansuje, bankrutuje, organizuje na nowo, gra, pisze, przerabia, śpiewa, komponuje, tańczy, dziś we Lwowie, jutro w Wilnie, znów w Poznaniu, dla odmiany w Gdańsku, to w Krakowie, to znów w Warszawie. I znów gra. Jest Solskim w epoce rokoka, empiru, biedermayeru i biedermajorów. Aeroplanów jeszcze nie było, samochodów nie było, kolei nie było, więc pelegrinage w powozie, na wozie, często i pod wozem. A to się nazywało: „wóz Tespisa". A w środku tenorzy, amanci, czarne charaktery i dziewczynki, panienki, „aktorzyce", bywało, że ślicznotki. Odmawiać tego, to sobie też nie odmawiał. Pierwsza żona kuzynka Bogusławska, druga żona exnauczycielka Sigmundówna, w środku z lewej ręki małżonka ex-aktorka Pięknowska (nomen - omen) i z tej się cała progenitura, co przeżyła, wywodzi. Dzieci miał razem trzynaście legalnych, a jak fama twierdziła: drugi tuzin przypadkowo. Jednym słowem i do tańca i do różańca, ale jednak, zdaje się, franc-

mason i przez to bractwo (w którym wówczas bywali i kanonicy i prałaci) protegowany również mocno jak i przez królewską siostrzenicę comtessę Tyszkiewiczową, która się w nim do cna rozamorowała. Stąd też i pana Poniatowskiego fawory... Dwudziestosześcioletni bądź co bądź młodzianek dostaje w ręce kierownictwo Teatru Narodowego. 26-letni!

Jak do tego doszło, to w tym jest jakaś tajemnica. Bądź co bądź całkiem nieznany. W Warszawie królewskiej homo novus. Ani szambelan, ani „antrepreneur" jako inne Ryxy i Tomatisy. Rodzina go też nie popychała, bo biedneńka była. Trochę tam ziemi w Glinnie i ojciec rejentem. Matka Linowska de domo. Może więc po matce?...

„Vom Vater hab ich die Statur
Des Lebens ernstes Führen,
Vom Mütterchen die Frohnatur
Die Lust zum Fabulieren."

Trzeba więc tam poszperać po tych Linowskich, czy nie po nich idzie genialność pionierska i apostolska Wojtaszka. Buynowie też krewni. Może po Buynach? Z Goethem, dyrektorem teatru w Weimarze, ma też coś wspólnego nawet i na pomniku (die Statur). Z Lessingiem i z Ifflandem.

Edukowany był u Ojców Pijarów w Warszawie (Miodowa). Prefektem w tych latach był ksiądz Tadeusz Nowaczyński, tłumacz trzech sztuk... Woltera. Inni pijarzy też tłumaczą... Woltera, Crebillona, Rasyna, Cornela. W konwikcie pijarskim jest stały teatr studencki. Na to żaden z biografów nie raczył zwrócić uwagi, zestawiając to choćby z repertoarem Bogusławskiego, który z Woltera grał: „Orestesa", „Alzyrę", „Semiramis", „Rzym Oswobodzony", „Starostę Chińskiego", „Meropę" etc.

Z konwiktu pijarów (gdzie tłumaczono i grywano klasyków francuskich) przechodzi Wojteczek na dwór biskupa Sołtyka i zostaje paggio, czyli paziem. Potem wojsko, gwardia. W awansie pominięty (dlaczego?) bierze abszyt i wprost z kasarni za kulisy, w teatr. Tu należałoby określić, wyjaśnić i sprawdzić stosunek Bogusławskiego do księcia ordynata Augusta Sułkowskiego. Kiedy malec ma lat dziesięć, książę przenosi swój teatr nadworny z Rydzyny do Warszawy, na Nowy Świat. Wielkopolski magnat jest jednym z pierwszych mecenasów Melpomeny w Ciemnogrodzie. Czy to nie on orędował temu przejściu Bogusławskiego z gwardii do teatru? Odtąd zaczyna się kariera i wielka praca pionierska młodego gentilhomme z Glinna (herbu Świnka). Jej pierwszym kulminacyjnym punktem rola Almawiwy w „Weselu Figara" pana Beaumarchais, granym prapremierowo (1783) na rok przed premierą w ojczyźnie, w Paryżu. Następnym punktem kulminacyjnym jest „Cud". W Warszawie w roku 1662 grany był prapremierowo „Cyd" Corneilla, co było też jakby... cudem kulturalnym chyba. A teraz przyszedł Cud mniemany, czyli „Krakowiacy i Górale", wodewil z aktualnymi, narodowo-rewolucyjnymi kupletami politycznymi. Powodzenie wprost fenomenalne. Autorem okazał się aktor, polski Garrick, Talma, Devrient w jednej osobie.

Ile to jeszcze Bogusławski popisał i jak się popisywał, jak fundował filie Teatru Narodowego we Lwowie i Wilnie, jak kształcił młódź, jak dla narybku założył szkołę dramatyczną i w niej uczył, jak postawił na nogi polską operę, to już rzecz podręczników, encyklopedij, monografij i przyczynków. W każdym razie był tym pierwszym, który wszędzie znicz polskiego słowa na scenach rozkładał, zapalał, podsycał, przy

Moskalach przeciw Moskalom, a przy Prusakach na złość Prusakom. Stosunkowo najwięcej i najdotkliwiej przeszkadzał mu w jego akcji intronizowania i polonizowania teatru ten, którego pomnik stoi teraz o trzysta kroków od jego pomnika w Warszawie, to jest książę Pepi, a którego „koteria Poniatowska" wówczas (1800-1807) rezydująca na „Wyspie Cytery", ...„Pod Blachą"... przezwała repertoar polski i po polsku grany „patriotisme antichambre". Z nimi miał Bogusławski więcej kłopotów i zmartwień, niż z „antreprenerami" i konkurentami włoskimi, francuskimi, niemieckimi.

Z Poznaniem nie tylko kontaktu nie zrywał, ale bywał w nim często z trupą i bez trupy i na gościnnych występach. Pierwszy raz w 1800 r. w rajtszuli, gdzie sobie sam widzownię i scenę przebudował. W grubym swym „Pamiętniku" (Dziejach Teatru Narodowego) pisze:

„Nader miły był dla mnie pobyt w tym mieście, w którym z okien pomieszkania mojego patrzałem zawsze na przyjemny brzozowy lasek, należący niegdyś do majętności rodziców moich, w której pierwszy raz ujrzałem światło słoneczne".

Od Mycielskich z Kobylepola, gdzie też był dworski teatr z własną trupą, pożyczał dekoracyj i kostiumów. Za drugim razem grywał na przemian z Francuzami. Za trzecim razem na przemian z Niemcami (trupą Doebbelina). Króla pruskiego namówił, aby sypnął forsę na budowę gmachu teatralnego, który też wreszcie stanął i na placu Wolności nadal stoi. Wielkie powodzenie miała u niego sztuka patriotyczna Wielkopolanki, pani K. Łubieńskiej... o Wandzie („co nie chciała Niemca"). Jeszcze większe „Mendog", tragedia Słowackiego

Euzebiusza (ojca Juliusza). Ale największe (1814) „Szarlatan", do którego mu muzykę drugi Wielkopolus, Krupiński, napisał. Na widowni w loży siedział wtedy minister Breza... na galerii... ksiądz Staszic... Sami swoi... Oprócz tego wystawił oper i dramatów tysiąc, a napisał kilkanaście, przetłumaczył kilkadziesiąt, przerobił i zlokalizował także kilkadziesiąt, ról umiał na pamięć... kilkaset.

A że in puncto femina także nie ugorował i adeptkom („krowientom" wedle Zapolskiej) nie przepuszczał, za czym człowiek pełny, kompletny, „uomo universale".

Urodził się w Glinnie.

W Poznaniu uliczka. Ale ani tabliczki, ani pomniczka.

CZAROMYSŁ I MYŚLOCHWYT

undamenta gmachu kultury teatralnej dla całej Polski postawili dwaj Wielkopolanie. — Starszy urodził się w Glinnie pod Poznaniem, — młodszy we Włoszakowicach w powiecie wschowskim. Jeden umarł w Warszawie przy ul. Nowolipki, drugi niedaleko od niego przy ul. Żelaznej, w tejże samej Warszawie o trzydzieści lat później. Każdy z nich dał swej ojczyźnie i społeczeństwu maksimum pracy, inicjatyw, wysiłków, talentów, każdy żył życiem najbardziej wysilonym i wytężonym, można powiedzieć pionierskim, można powiedzieć misjonarskim. Jeden zostawił po sobie szesnaście tomów, drugi dwa tuziny, czyli dwadzieścia cztery oper. I nadto też kilka tomów...

*

O Bogusławskim Wojciechu każdy może wyczytać sobie sporo w encyklopediach. Oprócz tego pisano i przypominano niedawno z okazji stulecia śmierci nieśmiertelne zasługi „Ojca Sceny Polskiej". To, co w Niemczech zrobiło kilku — jak Iffland, Lessing, Immermann i t. p. — tego u nas dokonał, jak zwykle, jeden człowiek o niezwykłej dynamice i ekspansji twórczej. Pierwszy karczownik, antreprener, manager,

ewokator, organizator i animateur, ruszył z miejsca polski „wóz Tespisa" i pchnął go na drogi rozwojowe. Sam bywał na tym wozie, ale i pod wozem, gdyż kilka razy bankrutował ze swymi przedsiębiorstwami teatralnymi.

„Wóz Tespisa" polskiego bez niego z miejsca byłby nie ruszył i nie stawał kolejno we Lwowie, Krakowie, Poznaniu, Grodnie, Wilnie, ba — nawet dwukrotnie w Gdańsku, by wreszcie na stałe zatrzymać się w Warszawie przy Placu Krasińskich. W tym gmachu-budzie przy Placu Krasińskich przetrwał Teatr Narodowy lat 54 do roku 1833. O założonej przez Bogusławskiego pierwszej u nas Szkole Dramatycznej, „scenarzystów" czyli aktorów hodującej, już nie wspominamy, gdyż są to rzeczy zbyt znane. Również nie przypominamy jego przyjaznych stosunków z królem Jegomością i o współuczestnictwie w obiadach czwartkowych. Również nie wspominamy o tym, że omal sto sztuk z francuskiego, niemieckiego, włoskiego przetłumaczył i, mówiąc po ówczesnemu, „przedstawiał na widok P. T. Publice". Również nie wspominamy o jego „Krakowiakach i Góralach", którym on przecież w „Cudzie mniemanym" pierwszą reklamę i popularność w całej Polsce zdobył i zrobił. Ani o tym, że on pierwszy Polakom „na teatrze" Hamleta przerobionego, z happy endem (sic!) sprezentował.

Niesposób atoli nie wspomnieć tutaj i nie położyć nacisku na jego szczęściu do ludzi i to w podwójnym tego słowa znaczeniu. Po pierwsze w trafnym ludzi doborze, czyli w t. zw. o d k r y w a n i u talentów. Wśród licznej plejady odkrytych twórców i odtwórców, tzn. autorów i aktorów, śpiewaków, śpiewaczek, fletrowersistów, basów, basistów, tancerzów, kuplecistów, solistów, mezzosopranistek, na pierwszym miejscu jeszcze przed „nadobną" Aszpergerową, „lubą" Truskolawską, „czarowną" Pięknowską (sic), postawić należy dwóch ojców opery polskiej, tj. Ślązaka gente, kompozytorę Elsnera, oraz mistrza nad mistrze (rzecz prosta w skali lokalnej) Karola Kurpińskiego. Zapewne, że już przedtem miała opera swojska dwóch ojców, a raczej dziadków, tj. Stefaniego i Kamieńskiego. Ten drugi atoli z pochodzenia Słowak, tylko po niemiecku umiał mówić i mimo nazwiska rodzimie brzmiącego, nigdy się spolszczyć nie potrafił. Szybko spolszczył się natomiast papa Elsner, dostawszy za żonę dzielną pannę Drozdowską, z profesji śpiewaczkę, podobnie jak śpiewaczka była i żoną największego wynalazku Bogusławskiego, słynnie urodziwa Zofia Elwira z Bzowskich Karolowa Kurpińska.

Odkrycie miało miejsce u Lwowi. Tam stacjonowała pod te lata Opera, ale niemiecka, gdzieś w jakiejś rajtszuli ogrodem od ulicy odgrodzonej... Tam jeden Wielkopolanin natknął się na drugiego Wielkopolaka. Był wtedy młody Krupa „sekundariuszem", ale nie po dzisiejszemu w szpitalu, jeno „sekundariuszem kapeli", czyli dworskiego kwartetu pokojowego czyli kameralnego u jaśnie pana starosty Polanowskiego z Moszkowa pod Lwowem. W mig poznawszy się na muzycznych talentach „rodaka z pod Prusaka", zaangażował go do Warszawy, powierzając Kurpińskiemu batutę drugiego kapelmajstra. Elsner był też odnaleziony we Lwowie, ale już się starzał, już kapcaniał i jako kompozytor... wyczerpał. Czekało na niego miejsce dyrektora przyszłej Wyższej Szkoły Muzycznej, tj. konserwatorium. Tylko młoda nowa siła mogła podołać nowym piętrzącym się obowiązkom.

Trzeba tu teraz przypomnieć, że nadchodziła era w operowej twórczości tak olbrzymiego rozkwitu, jaki

obecnie przeżywamy w dziedzinie Muzy Filmii. Jak teraz jesteśmy świadkami wprost renesansowej nieoczekiwanej potęgi sztuki kinematograficznej, wchłaniającej najtęższych muzyków, genialnych reżyserów, wielkich wizjonerów malarskich i imponujących kompozytorów tekstów, scenariuszów i librett, tak na czasy Bogusławskiego, a jeszcze więcej Kurpińskiego, przypada pierwszy rozrost twórczości operowej. Wystarczy przypomnieć ówczesne wielkie firmy kompozytorskie: Rossini, Spontini, Cingarello, Cimarosa, Mercadante, Paesiello, Grétry, Gluck, Mozart, Weber! Dla kapelmistrza Kurpińskiego otwierało się tedy wielkie pole działalności. W Poznaniu skromnym nigdy nie mógłby był rozwinąć tak szeroko swych skrzydeł. I oto pokazało się, że odkryty przez Bogusławskiego muzykant, który ongiś był zwykłym sobie organistą, wykazał wielki talent... organizacyjny. Przekształcił, rozszerzył, zwielokrotnił kapelę teatralną i sam śpiewak - bas utworzył personel śpiewaczy z takimi „wiekopomnymi tuzami" jak Świeżawski, Szczurowski, Zdanowicz, Kaczkowski, Polkowski, Dmuszewski, a wśród primadon taka gwiazda jak Aszpergerowa! Więc też pod batutą Wielkopolanina Kurpińskiego poznała stolica Polski, a za nią potem cała Polska po raz pierwszy „Tankreda" Rossiniego i „Westalkę" Spontiniego, „Niemą z Portici" i „Białą damę", „Corteza" i „Wilhelma Tella", „Don Jouana" i „Roberta Diabła", „Cyrulika" i „Wolnego strzelca", „Włoszkę w Algerze" i „Flet zaczarowany". Cały ten żelazny kapitał każdego instytutu operowego każdego „Teatru Lirycznego" w Europie dostała stolica z rąk muzykanta spod Rawicza. Nie brakło wśród nich i „Żydówki", która od swej prapremiery aż po dziś dzień zawsze w pełnym sezonie gromadzi w so-

boty tłumy wiernych, dygocące ze wzruszenia, kiedy pada na widownię potężne „Rachelo, kiedy Pan, w miłości swej niepojęty"...

*

Ale to była tylko jedna karta z działalności Kurpińskiego, wzmożonej jeszcze od czasu, kiedy został pierwszym kapelmistrzem (r. 1833).

Ważniejszą jest oczywiście twórczość kompozytorska. I tu stwierdzić należy, że o Kurpińskim jako muzyku dotychczas też niema żadnej monografii, jak zresztą nie napisano dotychczas i normalnej jego biografii. Znacznie mniejszy w wymiarach i w dorobku Elsner znalazł swego Hoesicka i swego Joteykę. Twórca 24 oper, które przez pół wieku utrzymywały się na repertoarze, dotychczas jeszcze czeka na profesora Jachimeckiego. I w ogóle przepomniany z kretesem. Co jakiś czas, co 10-lecie wywlekają na afisz „Krakowiaków i Górali" z kupletami, a z Kurpińskiego tylko od czasu do czasu gdzieś przewinie się jakiś polonez i na tym basta. Nad oceną jego twórczości zwyciężyło jedno ze zdań w jednej z recenzyj, które w ówczesnej prozie brzmiało:

„Pośród zawiłych przechodów muzycznego wątku snują się tu co moment obcych dzieł przypomnienia"...

Wielkopolus był bowiem Rossinistą zapalonym i zażartym. Im więcej w kawiarni „Pod Kopciuszkiem" schodzące się tam kompany podkpiwały sobie z jego „włoszczyzny", im częściej nazywano go „piccolo Rossini", albo „Rossinski", tym Kurpiński upornie bierniej dał się hypnotyzować urokom słodyczy Rossinioskiej i persyflował wielkiego Italiana, Verdiego, czy raczej Pucciniego przedromantycznej ery.

We wszystkich utworach maestra każdy expert od pierwszej już strony natrafi odrazu bez szukania na motywy Rossinioskie. Pomimo tego są to opery „rodowite" i naskie i z tej racji raz przynajmniej tytuły ich choćby wymienione być powinny. „Pigmalion" i „Dwie chatki" to są pierwsze debiuty. A potem sypią się już jak z worka (Amaltei). Jest więc „Aleksander i Apelles", „Hero i Leander", „Mars i Flora" (balet). Jest jeden „Zamek" (... na Czorsztynie"), jedno „Oblężenie" (Gdańska) i jedne „Ruiny" (Babylonu). Są cztery kobiety już w tytule: „Cecylia Piaseczyńska" i „Marcinowa z Dunaju", „Jadwiga" i „Hagar na puszczy". Jest „Jan Kochanowski" i „Kopernik" (kantata), Zbigniew i książę Józef („Cień"...). Jest „Nagroda" i „Łaska imperatorowej" i dwie nowości („Nowe Krakowiaki" i „Nowa Osada"). Najoryginalniejszy tytuł brzmi: „Kalmora" (libretto Brodzińskiego), a największy sukces miał „Szarlatan" (libretto Żółkowskiego-Momusa), bo szedł z rzędu 23 razy w r. 1814.

Nam dzisiaj ta muzyka przez cały wieczór „egzekwowana" smakowałaby jak letnia woda z malinowym sokiem. Faktem atoli jest, że niektóre z tych „operacji" zachwycały... Paganiniego i podobały się pani Catalani, nadto upajały... Niemcewicza i Mickiewicza, J. H. Dąbrowskiego, Staszica, Mochnackiego, Lelewela, Kniaziewicza, Skrzyneckiego, Słowackiego... a rozbawiały... nawet Chopina. Tylko komponista omszałych operów („Król Łokietek" i „Leszek Biały") stary pan Elsner krzywił się i wydziwiał „Pod Kopciuszkiem" nad... dysharmoniami... modernisty.

*

Wszystko dobrze. Ale do czego i tu przyczepione w tytule te dwa słowa: „Czaromysł" i „Myślochwyt"?

Otóż „Czaromysł" to tytuł jeszcze jednej, z rzędu dwudziestoczwartej opery mistrza z Włoszakowic.

A „Myślochwyt"? No to... z tym... z tym... związany jest mały bziczek wielkiego pracownika w Winnicy Pańskiej.

Kurpiński ku utrapieniu swego stolika w Cafe „Pod Kopciuszkiem" lubił także pisywać normalną prozą, a potem to w kawiarni przyjaciołom odczytywać. Raz nawet wydawał krótko własne pismo, p i e r w s z e muzyczne w Polsce („Tygodnik Muzyczny" 1820). Po wojażu europejskim spisał „Wspomnienia", które pięknie wydał w r. 1911 prof. Jachimecki. Wykoncypował dwa podręczniki, p i e r w s z e muzyczne podręczniki: „Zasady harmonii" i „Szkołę fortepianu". Wypisał też autobiografię p. t.: „Nekrolog", gdzie o sobie mówi zabawnie przez trzecią osobę „pan Karol", „nasz pan Karol", „wówczas Kurpiński" i t. p. „obdarzon medalem od narodu", „nasz pan Karol został kapelmistrzem nadwornym króla Saskiego i Polskiego" i t. p.

„Myślochwyt" zaś czyli „rzut nieporządny (sic) z różnych myśli zaczęty od dnia 1 czerwca 1814", jest to w rękopisie istniejący dalszy ciąg drukowanych i wydanych „Myśli Urywkowych" (1819) to jest zbioru, zbieraninki strzępów myślowych, aforyzmów „wyższej filozofii", rozważań teoretycznych i refleksyj, życiowych urywków, paregrów, allotrii, doświadczeń i pouczeń doświadczonego praktyka i myśliciela. Głębokie one nie są. Cośkolwiek pono przypominają księgi aforyzmów J. P. Webera. Do Schopenhauera równie daleko, jak do Larochefoucaulda. Recepta na pisanie opery wygląda na ten przykład następująco:

„W kompozycji oper trzeba uważać (sic) na wiek osoby,iey godność i charakter, na czas czyli wiek, w jakim

się rzecz dzieje i na działanie w tymże czasie natury np. pogoda czyli zaburzenie, lato czyli zima, jesień czyli wiosna"...

*

Jak widzimy z tego, wysilić to się tam „stary Krupa" nie wysilił. Dość się już bowiem nawysilał przy komponowaniu dwóch tuzinów oper i baletów i kantat i przy ich „reprezentowaniu" „na Teatrze". W każdym razie przy organizowaniu opery heroicznej i „Teatru Lirycznego" i Teatru w ogóle — nasz były organista ze Sarnowy (pod Rawiczem) zasługi położył olbrzymie. I są jeszcze polonezy i mazury maestra, w których krew żywa pulsuje, i których słucha się po dziś dzień z wielką satysfakcją. Podobnie jak Bogusławski, tak i ten Wielkopolanin, który w Warszawie zrobił olśniewającą karierę, majątek po sobie zostawił nieduży. Nie było bowiem już Augusta, więc nie było i Maecenasów. Magnaci, książęta parający się muzyką, melomani Radziwiłł Antoni, czy Ogiński Kleofas jakoś się z pańskimi darami, dotacjami i subsydiami nie kwapili. W stosunku tedy do trzydziestu dwóch lat pracy syzyfowej, do zasług, sławy, działalności, scheda po mistrzu i kapelmistrzu wypadła nie tak znów wielka. Było tego bowiem w gotówce 57 rubli, a że i nieco długów no i koszta pogrzebu dość wielkie, więc pozostał deficyt w „sumie resztującej 163 rubli".

Po sprzedaży mebli wszystkie zaległości uregulowano.

FISZEREK



Chyba już doszło i do Poznania, że tajnym królem dzisiejszej kawiarnianej cyganerii warszawskiej jest od lat już bez mała pięćdziesięciu Franc recte François, nie... Villon, a Fiszer.*) Właściwie przewodzi on już trzeciej generacji pięknoduchów, poetów, malarzy, knociarzy i kiczowników. Nie znudził się dotychczas poddanym, ponieważ co jakiś czas znika i przesiaduje po wsiach, po dworach u znajomych i przyjaciół, a do Warszawy zjeżdża na sezon, na gościnne występy, i aby zapoznać się z nową kupą rodzimych geniuszów. François Fiszer figuruje opisany w kilku powieściach i w kilku komediach. Odstawiał go na scenie najwierniej K. J. Stępowski. Ma swój najspecjalniejszy façon d'être, swój gatunek anegdot, swój styl dowcipów i aforyzmów, swój słynnie dobry apetyt i swój śmiech tubalny (tz. ricando). Co pięć lat zmienia się w Warszawie lokal modnej literackiej kawiarni, w której François Fiszer siaduje, otoczony świeżym narybkiem, i rządzi. Za moich czasów była to tzw. „Udziałowa". Z zawodu, z profesji jest... czytelnikiem, to znaczy czyta wszystko, co przepływa, co modne, co en vogue, czyta i entuzja-

*) W międzyczasie Franciszek Fiszer zmarł.

zmuje się, po czym po przeczytaniu całego autora unicestwia go i druzgoce. W ten sposób kolejno Bergson, Stendhal, Joyce, Proust, Balzac, Barrès, Bierdajew etc. etc. byli jakiś czas „boskimi", po czym „skończonymi jołopami", „definitywnymi kretynami", „beznadziejną makulaturą".

Anegdot o Fiszerze i „powiedzonek" Fiszerowskich w kawiarniach literackich warszawskich kursuje tyle, ile swego czasu o Tristan Bernardzie lub Marku Twainie. Sam skomponowałem ich kilka... kilo, rewanżując się za jego anegdotki biograficzne, robione o mnie.

Fizycznie Franc Fiszer, mimo swoich siedemdziesięciu wiosenek, trzyma się kapitalnie, rosły jak tur, rosochaty, wysoki, a na tle gromady karłowatych, okularowatych, myrmidonowatych, niedonoszonych, a przeważnie obrzezkowatych myszuggeniuszów (szengeistów i szengojów) wygląda jak Rübezahl, jak Walter von der Vogelweide, jak Tannhäuser, jak Hagen, jak Odyn. Jest bowiem ten syn, ten wnuk ziemian sieradzkich powrotnie czy wstecznie w sylwecie i w czaszce znowu nieprawdopodobnie... pragermański. Niekoronowany król warszawskich bohemienów świetnie by wyglądał w burszowskim stroju z „Alt-Heidelberg", z „deklem" i „rapirem", a jeszcze świetniej jako bożyc z Wahlhalli, z rogami byczymi na głowie, z niedźwiedzią skórą na nagim grzbiecie, z oszczepem w kosmatej dłoni... I ten to prachtexemplar rasowego prateutona jest najsubtelniejszym, najwyrafinowańszym i najautentyczniejszym koneserem francuskiej literatury, którą kocha ponad wszystko... nawet ponad kuchnię francuską, ponad kulinarny kunszt francuski.

Oto o tym to François Fiszerze powtarza się (jak powtarzało się zawsze) młodym adeptom, którzy mają mu być sprezentowani: „Nie zapominajcie, że to prawnuk generała Fiszera!"

Adepty z każdej kolejno generacji robiły wtedy głupiodomyślne miny, że niby oczywiście wiedzą, o co chodzi i o jakim generale mowa. A nic a nic nie wiedziały. Czy to ci z 1888, czy ci z 1898, czy z 1908, czy z 1918, czy wreszcie z 1928. Tak samo więc i tym ostatnim (Karpiński, Uniłowski, Breza, Bąk, Gojawiczyńska) mówi się: „Pamiętajcie, że to wnuk generała Fiszera!" A oni tak samo: nic. Kiwają głowami, że dobrze, ale... nic. A dlaczego nic? Bo nie ma w Warszawie pomnika takiego generała. Ani z nim się nie można było spotkać w powieściach Żeromskiego, ani w dramatach Wyspiańskiego. Ani na kartkach pocztowych. Ani w jego biografii nie odkryto żadnego skandalu. Nawet nie był homoseksualistą. W ogóle coś nieciekawego. Za czym całkiem nieznany.

Wobec tego ta „okoliczność", ten detal, że roi de Bohème Franc Fiszer był prawnukiem w prostej linii brata tego generała, który swego czasu z Wielkopolski przeniósł się w Sieradzkie, ten... detal... w powiększeniu, aureoli i prestiżu genialnego Franca nie grał żadnej roli. Dla cyganów, dla pięknoduchów, dla knociarzy i kiczowników i koczowników i myszuggeniuszów...

Otóż chodzi teraz o to, aby następne pokolenie epigonów jednak już wiedziało, dlaczego przy prezentowaniu nowego narybku i przychowku sędziwemu monarsze, podszeptuje się utalentowanym pętakom, że to wnuk generała. Nie o co innego chodzi. A tylko o to. I dlatego cokolwieczek o „Fiszerku" sprzed lat... stu.

Fiszerek bowiem historyczny to najwyższe cis, to symbol, to najczystszy, najpełniejszy, najspiżowszy, najmonumentalniejszy wyraz starodawnej omal cudownej, przedziwnie szybkiej, kompletnie pełnej asymilacji żywiołów niemieckich z pochodzenia w polszczyznę, w sarmatyzm.

Wszystkich tych, co noszą niemieckie aryjskie nazwiska, a zapisali się złotymi głoskami na kartach dziejowości i kultury w Polsce ten napoleoński generał Fiszer powinien właściwie być patronem, tarczą, godłem, szyboletem, hasłem, „zewem". Jak są związki hr. Gobineau w Niemczech, jak „Liga Disraelego" w Anglii, jak „Klub Steubena" w Stanach Zjednoczonych, tak w Wielkopolsce przynajmniej na jakiś okres powinien zawiązać się „Klub im. gen. Fiszera", który za cel sobie postawi przypomnienie spółczesnym i potomnym prawdziwego Polski Bayarda.

„Większych zmartwień pan na dzisiaj nie ma?"

Owszem, są, ale na razie niech wystarczy to, które stosunkowo jest i najmniejsze i najlżejsze i szybko przejdzie...

Polszczyli się Niemcy w Sarmacji od niepamiętnych czasów. Szły takie ciepłe fale atmosfery asymilacyjnej, kiedy to polszczenie odbywało się masowo i bez bólu, automatycznie, organicznie. Całe miasta, całe warstwy. I od razu z nich materiał bywał patriotycznie najdynamiczniejszy. Całe rodziny, całe klany. Takie Herburty i Morstyny, takie Fuggery i Bonary. Co by było z katolicyzmem w Polsce bez Hosego i bez Giesego? A pierwsi historycy, a pierwsi drukarze? A królowie i królowe? A pierwsi bibliotekarze? słownikarze? encyklopedyści? A Flemingi i Platery, Unrugi i Weyssenhoffy?

W Wielkopolsce było w stylu i w tempie tego polszczenia się coś specyficznego, coś cudotwórczego, wzruszającego, zniewalającego, frapującego. I też od niepamiętnych czasów i też raz fale cieplejsze a raz chłodniejsze. Weźmy historię rodziny Kalkszteinów i historię rodziny Unrugów. Fenomen szwedzki: Engestroem. Całe dynastie i klany: Libelty, Szumany, Leitgebry, Zimmermany, Mittelstaedty, Wolszlegiery, Szmity itp. Uczonych weźmy: Nehring, Wegner, Szulc, Liske... I rzecz dziwna, zbliżała się jakaś wojna, jakiś bój o niepodległość, napoleońska epopea, rok 31, 48, 63 i opór europejskości przeciw nawale Dżingischamstwa, to wtedy rośnie temperatura asymilacyjna, moc Niemców staje się combattantami, po czym się polszczą. Takich, jak Krauthofer w 1848, było wielu i w powstaniu Listopadowym.

Zastanawiającym i zdumiewającym jest czynny aktywny współudział w powstaniu Styczniowym. Dynastia, rząd, gabinet, armia pruska idą ręka w rękę i na rękę z Moskalami względnie z Kurlandczykami, stanowiącymi wówczas całą dyplomację i całą generalicję carsko-rosyjską. A tymczasem z Wielkopolski idzie „na powstanie" moc Niemców także i rdzennych. Kronikarze i pamiętnikarze notują: von Ostena (powieszony w Pyzdrach), barona Kranicha, poległego pod Kleczewem, Berlera, co zmarł w katordze nerczyńskiej, Seyfrieda, Seydewitza itp. junkrów. Ale jakżeż długi spis Polaków niemieckiej prozapii, Polaków o niemieckich nazwiskach, w pierwszym lub w drugim pokoleniu dopiero spolszczonych, często prymanerów z gimnazjów, rzemieślników, wyrobników, zecerów, szewców, kupców! A iluż lekarzy polowych? Ot, krótki wypis z pamiętników tych powstańców z Wielkopolski: Engel, Kreutzer, Rieder, Kessler, Rutt, Stie-

ber, Schneider, Schide, Schapp, Thiele, Schupp, Kratz, Müller, Herbst, Wilhelmi, Raden, Riter, Preuss, Kisswalter, Linder, Roehr, Fidler, Freytag, Ewald (rozstrzelany), Neuman, Neustuppe, Neugebauer; Szrajerów było dwóch i dwóch poległo, Schmittów trzech a dwóch poległo, Leitgebrów dwóch, Zimmermanów 5 (pięciu) z Trzemeszna, wśród których jeden ksiądz (zginął), jeden lekarz i to kulawy, jednemu kula nogi oderwała pod Kobylanami (słynny „Cymek").

O Unrugach właściwie mówić w związku z tymi wyliczonymi powyżej nie ma racji. Ten stary rycerski ród, protoplaści dzisiejszego popularnego komandora z Gdyni, spolszczyli się już w XVI wieku, wtedy, kiedy Herburtowie, Morsztynowie, Bonarowie. Godzi się jednak przypomnieć, że dwóch Unrugów braci poległo w dwóch powstaniach: jeden w 48-mym pod Miłosławiem (Ludwik), a drugi w 1863 pod Pyzdrami, mając 29 lat, zaraz po zdaniu wszystkich egzaminów prawniczych.

Tych to wszystkich o niemieckich nazwiskach bohaterów i bojowników sprawy narodowej prototypem i arcytypem jest i za takiego powinien być uznany generał Fiszer. I Bayardem polskim, jeżeli ktoś już ma być koniecznie, to raczej po stokroć „nieznany żołnierz" generał Fiszer, najmniej zaś najpopularniejszy faworyt upomnikowany, umonografowany, aszkenazyjsko kanonizowany „książę Pepi". Poruwnując kariery i... charaktery Poniatowskiego i Fiszera, nie sposób nie odnosić się z krytycznym sceptycyzmem do kultu księcia z „Pod Blachy", który fortunnie wygrał nieśmiertelność, topiąc się w Elsterze, ale nie sposób równocześnie z najwyższym respektem, czcią, szacunkiem, podziwem nie odnosić się do najczystszego i najniezłomniejszego z plejady starodawnych wodzów. Nie żywot Poniatowskiego kwalifikuje się do „Żywotów polskiego Plutarcha", ale żywot generała Fiszera. Nie na upomnikowanym „damskim kawalerze" Poniatowskim powinny się urabiać indywidualności naszych młodych wodzów i strategów, a na generale Fiszerze.

Dlaczego?

Dowodzić byłoby tu za długo. To jest tom do napisania przez któregoś z wielkopolskich młodych Stracheyów.

Są w tej biografii sceny wprost przepiękne... Przyjaźń z Dąbrowskim... Dwa pobyty w Gdańsku... Jak płacze na spektaklu „Kabale und Liebe"... Ranny pod Raszynem... Organizowanie Legii Nadwiślańskiej... Odrzucanie darów i prezentów... Jak w Paryżu omdlał z głodu na ulicy... Organizowanie armii W. Księstwa Warszawskiego... Kniaziewicz i Kościuszko odprowadzają go do Anglii... Odebranie Gdańska Prusakom... Kula armatnia w odwrocie pod Borodinem i śmierć na polu chwały.

Najpiękniejsza atoli jest scena w Petersburgu. Rok 1797. Po klęsce Maciejowickiej. Więźniami carskimi są Kościuszko, Wawrzecki, Niemcewicz, Fiszer... Badania śledcze przeprowadza generał Samoiłowicz. Kościuszko, Niemcewicz i Wawrzecki załamują się; zeznania ich wypadają blado i kompromisowo. „Denegują".

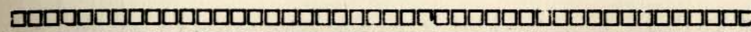
Generał Fiszer niczemu nie zaprzecza, do wszystkiego się przyznaje. Więzienie mu obostrzają. I do Niżnego Nowogrodu na zesłanie skazan. Jest w nędzy. Nie przyjmuje pożyczki ofiarowanej nawet od Kościuszki. I tak kilka razy w życiu. Zawsze jest w stosunkach z ludźmi... twardy, „niesłowiański", cokolwiek

rzymski. I zawsze w biedzie, choć tak wcześnie, bo już w 1808 generałem brygady! Kryształ.

I ten to generał Fiszer, Poznańczyk, syn pułkownika artylerii konnej, ulubieniec Kościuszki, związany z Wielkopolską, wracający zawsze do Wielkopolski, ożeniony z Kwilecką, mający za adiutana Heliodora Skórzewskiego, jest jako historyczna osobistość w Wielkopolsce literalnie całkowicie nieznany... „nie tutejszy". Portret (Kłobukowskiego) nie wisi w Poznańskim Muzeum...

W trzytomowej „Historii Wielkopolski" nie wspomniano o nim jednym słówkiem...

„Fiszerkiem" zdrobniale nazywał go Kościuszko.



HEINE U BREZÓW



Nowa monografia słynnego ironisty-diabolisty, „słodkiego" liryka pióra praskiego semity Maxa Broda rzuca całkiem niespodziewanie światło na pobyt Heinego w Polsce, w Wielkopolsce. Pierwszy zwrócił uwagę na wagę tego „epizodu" polskiego w „światopoglądzie" Heinego historyk rosyjsko-żydowski Dubnow. Monografista Heinego przed M. Brodem, Heinrich Plothe cały nacisk w malowaniu tej Arystofanesowskiej indywidualności pokładłszy na jej żydowskości („Heinrich Heine als Dichter des Judentums". Drezno 1930). W latach ostatnich, kiedy hitleryzm dochodził do władzy, pojawiła się moc publikacyj negatywnie odnoszących się do autora „Melodii Biblijnych" jako do destruktora, deprawatora komunisty i wroga Niemiec nacjonalnych. Stwierdzono też między innymi, że „czarujący" romantyk był tajnym agentem Metternicha, że równocześnie pobierał subsydia od Ludwika Filipa i równocześnie nałogowo naciągał Rotszyldów i równocześnie pisywał skrajnie rewolucyjnie, słowem coś z Józefa Flawiusza.

Odbronzowanie i demaskowanie poszło w przyśpieszonym tempie i „klasyk romantyzmu" Heine został w wyniku „śledztwa" po prostu wyeliminowany

z kultury niemieckiej a nawet skazany in effigie na banicję. W rezultacie tego przytuliło znów żydostwo wcześnie wychrzczonego, niezbyt i współwyznawców oszczędzającego kosmopolitę, asymilanta i Weltbürgera, przemalowując marnotrawnego syna na oddanego żydostwu duszą, ciałem, sercem i intellektem.

W 1918 roku zrobili z Heinego na podstawie cytat z niego prekursora komunizmu, podobnie jak z Mickiewicza E. Haecker w przedmowie do nowowydanych artykułów z „Trybuny Ludów" („Biblioteka Narodowa"). W r. 1930 i w następnych Heine wypływa dla emigracyjnego i po za niemieckiego żydostwa jako narodowiec i patriota żydowski. Dla udowodnienia tej z nowej rewizji wypływającej nowej prawdy o Heinem apologeci przytaczają głównie te dzieła, w których Heine atakował oświeconych asymilantów, „zwyrodniałą reformację", berlińskich wychrzczeńców a więc: „Damaskusbriefe", „Bäder von Lucca" (postać markiza Gumpelino), „Hebräische Melodien" (radca Hitzig recte H. Itzig), dalej „Rabbi von Bacharach", no i wreszcie najważniejsze „Reise in Polen" czyli „Ueber Polen".

No i teraz przychodzi rewelacja Maxa Broda, idącego linią biografa Dubnowa.

Max Brod bowiem stawia tezę, że Heine zżydział, że Heinego „najgłębszym przeżyciem żydowskim", że Heine wrócił duchowo do żydostwa, że Heine poczuł się z powrotem rasowo Żydem dopiero w... Polsce i przez pobyt w Polsce, ergo przez gościnę u Brezów w Świątkach, u Wołłowiczów w Działyniu, przez odwiedzenie Gniezna (może i Swarzędza) no i Poznania. Tu dopiero zetknął się raz pierwszy z „masą" (sic!) czystego rasowego żydostwa o jednolitym życiu wewnętrznym, „pełnym i swobodnym", co go oczarowało,

ujarzmiło i otworzyło mu oczy na słabość, połowiczność, tchórzliwość i nicość oświeconych asymilantów berlińskich. Wtedy to dopiero rzucił Heine pierwszy hasło o „rozbudzeniu siły żydowskiej" (Aufregung der Kraft), a więc podłożył podwaliny renesansu także i syjonistycznego.

Wobec tego godziwe chyba poznać się z tym, co Heine o Żydach polskich w „Ueber Polen" pisał i jak przyszło do jego... nawrócenia w czas wizyty w Wielkopolsce.

*

W krótkim stosunkowo czasie na przestrzeni kilkunastu lat odwiedzili wtedy Poznańskie trzej wybitni Żydzi. Był na gościnnych występach znakomity tragik niemiecki, z Polski pochodzący, Bogumił (sic!) Dawisohn, przyjmowany w Poznaniu owacyjnie, deklamujący Fredrę i Mickiewicza, wieńcem obdarzony, na bankiecie wytoastowany, owacyjnie wprowadzany i odprowadzany, za co wdzięcznością szczerą się odpłacający.

Był przed Dawisohnem Ryszard Otto Spazier, pierwszy chronologicznie historyk powstania Listopadowego, tłumacz późniejszy „Pana Tadeusza" a wówczas gość rodzeństwa Moraczewskich, Bibianny i Jędrzeja, zbierający materiały do „Polen und seine Helden". Ten swoją „Podróż do Polski" drukował w piśmie niemieckim „Ost und West" (1835) i za gościnę też wywdzięczył się bardzo pięknie. Bądź co bądź pochodził z Polski Spazier i po polsku mówił tak zresztą jak i Dawisohn.

Heine był pierwszy przed nimi w Poznaniu i nie można powiedzieć, aby się okazał za gościnę niewdzięczny. Wprost przeciwnie.

*

Zaprosił go Breza. Ten Breza Eugeni to dziwny jakiś gość a skomplikowana i problematyczna osobowość, jakiś przedwczesny chyba dekadent i schyłkowiec. O cztery lata młodszy od Heinego poznał go w Berlinie zdaje się nie tyle przy studiach uniwersyteckich, ile w gościnnych salonach słynnych emancypacyjnych Izraelitek. Młody hrabia Breza, ministra syn, miewał widocznie już wtedy sny i apetyty literackie, które z czasem rozwinęły się w krzepką grafomanię, tym uciążliwszą i niebezpieczniejszą, że i mówił i pisał, i to biegle w trzech językach. Znacznie później, bo dopiero w latach czterdziestych, po długoletnim pobycie w Paryżu i całkowitym duchowym sfrancuzieniu popełniał Eugeniusz Breza opowiastki stale o jakiejś fikcyjnej pannie Dziubińskiej: „Babie lato panny Dziubińskiej", „Medytacje panny Dziubińskiej" (zbiór aforyzmów), po czym jakieś niepotrzebne nikomu broszury polityczne: „La Russomanie dans le Grand Duchesse Posen" (1841). „Lettres adresses à la Comtesse Radolińska".

Nie siedział na wsi, ale w Poznaniu i paryskim obyczajem cały dzień to w traktierniach, to w konfisseriach u Wassala, gdzie znajomych bawił i drażnił aforyzmami i paradoksami. Że była wtedy moda na wielkopański radykalizm, więc podobnie, jak synowie i wnuki Targowiczanów (ks. Branicki lub Leon Rzewuski), czy znowuż hrabia Worcell i inni, głosił zasady najradykalniejszego przewrotu, aż się wreszcie uwikłał w polemikę z Kierskim z „Gazety Poznańskiej" (X. 1842), po czym jeszcze gorzej, bo w pismo, z funduszów berlińskich wydawane, w rewolucyjnego (sic) „Przyjaciela Chłopa", aż się wreszcie, wyobcowany i bojkotowany, w r. 1856 do Warszawy przenieść musiał. Przez Bibiannę Moraczewską zestawiany bywał aż ze zdrajcą Gurowskim.

Taki to był w późniejszym swym rozkwicie ten Breza, syn Radolińskiej a Heinego gospodarz z dominium Świątki pod Gnieznem. Że sam kawaler, więc młodego poetę musiał zawieźć zaraz do najbliższych krewnych, do ożenionego z Brezianką Wołłowicza, późniejszego ułana z r. 1831. Tu zatem u Wołłowiczów, po czym w Gnieźnie i w Poznaniu musiał Heine poznać te urodziwe Polki, którym potem w „Ueber Polen" poświęca ustęp hommagialny, tylokrotnie w licznych językach cytowany:

„Teraz jednakże klęknijcie, a przynajmniej uchylcie kapelusza: mówię o kobietach Polski. Ulatuję duchem nad brzegi Gangesu i szukam kwiatów najmilszych i najbardziej delikatnych, by je porównać z Polkami. Ale czymże są wobec tych istot nadobnych wszystkie wdzięki Malaiki, Kuwalai, Oszaddi, świętych kwiatów lotosu, i jak tam one się wszystkie nazywają: Kamalata, Pedma, Kamala, Tamala, Strisza itd. — Gdybym miał pędzel Rafaela, melodię Mozarta, mowę Calderona, być może udałoby mi się wywołać w piersi waszej uczucie, którego byście doznali, gdyby prawdziwa Polka, ta Afrodyta wiślana, zjawiła się cieleśnie przed waszymi zachwyconymi oczami. Ale czymże są barwne kleksy Rafaela wobec tych pięknych obrazów z ołtarza, które żywy Bóg malował radośnie w najweselszych snadź swych godzinach! Czym jest Mozartowa brząkanina w porównaniu ze słowami, co jak najsłodsze cukierki dla duszy, płyną z różowych ust tych słodkich stworzeń! Czym są wszystkie Calderonowe gwiazdy ziemi i kwiaty niebios wobec tych uroczych istot, które z Calderonem nazywam aniołami ziemi, gdy samych aniołów zwą Polkami nieba. Tak, przyjacielu, kto spojrzał w ich

oczy gazeli, ten wierzy w niebo, choćby był sam najgorliwszym wyznawcą barona Holbacha."

Drukował te swoje listy z podróży literacko-debiutujący Heine w styczniu r. 1822 w piśmie „Gesellschafter".

*

I byłoby wszystko mu się udało i cały wypad w Wielkopolskę skończył ku obopólnemu zadowoleniu, gdyby nie był zaczepił i potknął się o... teatr. Uszło mu na sucho, że pisał o niewolnictwie i nędzy chłopskiej, o alkoholiźmie i hungaricum u szlachty, i o tym, że język polski w śpiewie jest nieco szorstki. W warszawskiej prasie z pierwszego kwartału r. 1822 chwalono nawet te nie podpisane anonimowe korespondencje z berlińskiego „Gesellschaftera". Ale teatr. W mieście, liczącym 27 000 mieszkańców-mieszańców, grały w lecie r. 1821 dwie trupy: polska i niemiecka, a recenzent do tego był jeden, ale za to potentat. Tak nad teatrami poznańskimi, jak nad wszechwładnym Arystarchem Heine sobie co nieco rozpuścił paszczę, prowokując na siebie wyjątkowo gwałtowną replikę, którą przed wojną (1911) z pedantyczną dokładnością zrelacjonował prof. dr. Warschauer, gość Warszawy z czasów okupacji Arystarchem w tym maleńkim miasteczku był redaktor w dwóch językach wychodzącego pisma „Posener Stadtzeitung", członek masońskiej loży „Świątynia Jedności", muzyk i kompozytor, słowem Schoengeist Idzi Stefan Raabski „polnischer Abstammung", ale piszący się przez dwa a: Raabski. Skądinąd wiemy jeszcze szczegóły inne. Niemiecka trupa teatralna Koblera grała na Szelągu, Osiński z gościnnymi występami ze Zwierkowską i z Werowskim grał wielki repertoar: „Ludgardę", „Otella", i słynny melodram z muzyką „Kościuszko nad Sekwaną", a Idzi Stefan Raabski rozdawał na prawo i lewo to pochwały, to przygany i tronował.

W to spokojne, ciche życie wmieszał się berliński „Gesellschafter" ze swoimi Heinoskimi kąsającymi złośliwościami. Ośmielił się Heine napisać: „Oprócz teatru jest tu i recenzent tak, jakby tego nie wystarczyło, i to recenzent, godny samego Lessinga". Tym zdaniem ironicznym rozwścieklił parafialnego krytyka, który był i cenzorem i prefektem i asesorem w sumie intelektualnym dyktatorem, a pisał równie biegle i po polsku i po niemiecku.

I sypnęły się na Heinego w r. 1823 w Poznaniu podobno takie same epitety, jak w sto lat potem w hitlerowskich Niemczech w r. 1933, a więc: „skryba", „frywolny", „błędna gwiazda", „Federheld", upośledzony... W ferworze lokalnego patriotyzmu odsądził Raabski nieznanego korespondenta od czci i wiary, jako „koczownika" (Nomade). A nigdy mu nawet przez myśl nie przeszło i nigdy się nie dowiedział, że w „Gesellschafterze" pisał gość wakacyjny Brezów i Wołłowiczów, a przez całe stulecie najpopularniejszy poeta Niemiec, autor bezlitosnego „Deutschland, ein Wintermärchen". Koczownik!

Heine, przysypany taką lawiną wymysłów i bezsztaniny, przycupnął i nie replikował. Bogiem a prawdą, nie miał znów racji zapalczywy asesor aż tak się ciskać, skoro omal owoczesna podróż po Wielkopolsce J. Ursyna Niemcewicza jest znacznie oschlejsza, a dopiero Wężyk dał konterfekt Wielkopolski i Poznania życzliwy, serdeczny a wprost świetny.

*

Najważniejszym momentem z tego całego epizodu jest oczywiście to nawrócenie się Heinego w Wielkopolsce do żydostwa, to jego „je suis revenue a Jehova".

I oto kilka wyjątków i cytat, a raczej... wyjątkowych cytat z tego „nawrócenia“:

„Ich schätze die polnischen Juden weit höher, als so manchen deutschen Juden, der seinen bolivar auf dem Kopfe und seinen Jean Paul im Kopfe trägt. In der schroffen Abgeschlossenheit wurde der Charakter der polnischen Juden ein Ganzes.“.......

.......„Der polnische Jude mit seinem schmutzigen Pelze, mit seinem bevölkerten Barte und Knoblauchgeruch und Gemeinheit — ist mir noch immer lieber, als mancher in all seiner staatspapiernen Herrlichkeit!“

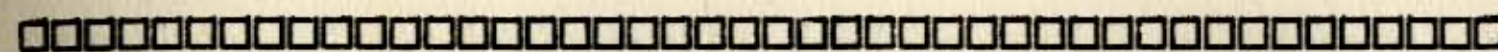
W jednym z późniejszych wierszy tę samą myśl wyraża nieco sarkastyczniej:

„Die Neuen (Juden) assen Schweinefleisch,
Zeigen sich widersetzig
Sind Demokraten. Die Alten
Sind vielmehr aristo-krätzig.“

Ci drudzy tedy, polscy Żydzi z Gniezna, Poznania, może i Swarzędza okazali się Heinemu ostoją żydostwa, zmagazynowaną potencją rasy. Pod wrażeniem ich wiekowego plemiennego konserwatyzmu autor „Atta Troll“ nawrócił się do żydostwa, aczkolwiek pozornie był gościem i przebywał w ziemiańskim środowisku... „Krapulińskich und Waschlapskich“. I tak już pozostało. I tak trwa nadal.

I dziś nadal tu przyjeżdżają do Polski, aby utwierdzić się w swym jestestwie narodowym, religijnym, rasowym.

Max Brod ma rację, choć się to wydaje paradoksalnym: Heine wrócił do żydostwa, znalazłszy się w gościnie polskiej.



BECK I SZEMBEK



Takich dni tryumfu, takiej popularności, takiego „Kapitolu“ nie miał w swoim życiu ani jeden Szembek, a co więcej — nie miał ani jeden z wodzów i generałów polskich przez cały okres powstania i wojny z Rosją w roku Pańskim 1831.

Trwał ten „Kapitol“ od 3 grudnia przez cały styczeń aż do końca lutego, i skończył się po bitwie pod Grochowem — jak każdy Kapitol. Tarpejską skałą i tragicznym krachem. Jest rzeczą zdumiewającą, że ta tragedia ani nie została napisana, ani też żadnego śladu nie zostawiła ni w sztuce ni w literaturze, ani w poezji gminnej, ani w piosence, ani w obrazie choćby Kossakowskim, ani w wierszu choćby Or-Otoskim. A jednak to jest temat „wdzięczny“ i kapitalny, nie tylko dla historyka monografisty, ale i dla plastyka artysty.

A tak o nim mało, tak mało! tak nic właściwie. Konwencjonalnie o każdym gdzieś ktoś coś wie. A to z „Panoramy“, a to z „Warszawianki“, a to z Mochnackiego lub z Śliwińskiego, a to z albumów czy z Aszkenazów, z „Kordianów“ i „Chamów“. Niekiedy i całkiem błędne legendy i mity. Dzieci na przykład deklamują taką „Redutę Ordona“. A to fikcja. Nic

w tym prawdziwego. Był w baterii 4-tej lekkiej artylerii konnej b. gwardii podporucznik Konstanty Ordon (raz piszą: Gordon) z Ukrainy, mianowany 2-go września komendantem artylerii w szańcu nr 54 pod Warszawą, 6 września wzięty do niewoli. Żadnej reduty nie wysadził, ani siebie. Ze służby polskiej po roku 1836 przeszedł do artylerii belgijskiej. Legendę niwelują i prawdę przywracają „Pamiętniki" kapitana Patelskiego (Wilno 1921 drugie wydanie, od strony 163 do 166). Z pochwyconych pogłosek i opowieści Mickiewicz dla odzyskania sobie sympatii powstańców napisał perłę heroiczną, z prawdą historyczną literalnie nic a nic nie mającą wspólnego.

Wielkopolski generał Szembek natomiast wprost nikomu nie jest znany, niczym się nie przypomina, incognito, abest, vacat. Chłopickiego jeszcze znają, Skrzyneckiego, Emilię Plater, Emilię Sczaniecką, piosenkę Delavigna, jeszcze coś i jeszcze raz Kossak i na tym koniec.

O współudziale w powstaniu Wielkopolan i to olbrzymim, bo kontyngent galicyjski przewyższającym, wie się w inteligencji reszty Polski literalnie minimalnie, czyli po prostu nic.

Nie ma dramatu o generale Umińskim, nie ma powieści o Dezyderym Chłapowskim, ani Tytusa Działyńskiego na rumaku nie szkicował żaden batalista, ani nikt nie podniósł pod specjalne światło, jak to poszło w bój o Warszawę pięciu Mielżyńskich, trzech Szymańskich, trzech Żychlińskich, czterech braci Mycielskich, siedmiu braci Radońskich, i jak to o powstaniu... powstania w momencie najkrytyczniejszym decydował jeden i jedyny „der kleine Szembek", jak go nazywały... Becki.

Zapewne, że w pierwszych dniach insurrekcji, to jest w ostatnich listopada, nie Szembek był na pierwszym planie. No, i to także pewne, że już od dnia 25 lutego zaczyna się jego upadek, 21 marca dymisja i bohater-bożyszcze szybko idzie w zapomnienie, w cień, i w tym cieniu przeżywa resztę dni i lat dość długiego żywota († 1866). Ale i to nie ulega kwestii i jest niezbitym faktem, że w pierwszym planie to on o powstaniu decydował, i on rozstrzygnął o wypowiedzeniu wojny Rosji, ...„mein kleiner Szembek", jak mawiała żona.

Wobec więc dzisiejszej aktualności, że tak powiemy tak Becków jak i Szembeków, nie będzie tak całkiem od rzeczy nieco „Monubodzieja" przypomnieć i tym, co nigdy o nim nie zasłyszeli.

„Monubodzieju" — to było ulubione Szembeka powiedzonko. Inni mawiali: mociubodzieju. On mawiał stale i do każdego, przy każdej okazji i... do Becków włącznie: monubodzieju.

Finansowo było krucho. Coś tam mieli w Małopolsce, Porębę pod Wadowicami, a nieco więcej w Wielkopolsce: Siemianice, Słupię, Wysocko. Tytuł hrabiowski dostali w r. 1816 od Hohenzollernów. Peterchen, jak go nazywały Becki, wcześnie wstąpił do Akademii Wojskowej Berlińskiej. Po Jenie z wojska pruskiego jako porucznik do armii polskiej przeszedł i wnet adiutantem samego Dąbrowskiego został. Generał z adiutantem najprawdopodobniej szwargotał po niemiecku, gdyż po polsku w tych latach mówił „unter Hund" (poniżej piesa). W jedenastym pułku piechoty odbył kampanię moskiewską; przy obronie Gdańska przestrzelona ręka, potrzaskana noga, Virtuti Militari, Legia Honorowa, no i oszalała z miłości Gdańszczanka. Ożenił się z Niemką syn Niemki, generał Dąbrowski, to „za twoim przewodem" stanął też

na kobiercu ślubnym ze swoją Fredericke i kapitan Graf Peter Szembek. Becków wtedy kilka kupieckich rodzin było i w Poznaniu i w Gdańsku. No i stało się tak, że kiedy przyszły bohater spod Woli, legendarny i istotny Sowiński, żenił się z Niemką i do tego kalwinką, z Wittwe Schroeder, to mały ale czupurny i rogaty Szembek wiódł do ołtarza o głowę pono wyższą od siebie Fräulein Beck. Sam był brunet, ona blonde Hestie...

Po upadku Napoleona nie wiedzieć było, co robić. Poza wojskowością nic się nie umiało, jak tabaka w rogu. — Monubodzieju — powiedział raz sam Czartoryskiemu, kiedy go po dymisji chciał wciągnąć do rządu: — mam zadek do siodła, a nie głowę do rady! I utrafił w sedno. Wobec tego, kiedy po Kongresówce zaczęli grasować angielscy agenci i Napoleończyków werbowali do East India Company (1000 funtów, 12 lat kontraktu), „der kleine Szembek", i głównie Fredericke, już skłonni byli ulec pokusom. Peterowi ofiarowano rangę generała. I wtedy ożeniony z panną von Rackel J. H. Dąbrowski namówił go, żeby został. Dołącza się Ruś i Litwa, wojsko będzie jak się patrzy. Zostać! I zostali. Bohater narodowy dość szybko pożarł się z Konstantym i poszedł. Szembek został, i zaraz „postąpił" (avancer) na dowódcę 1 pułku strzelców pieszych. Generałowe i pułkownikowe Niemki musiały wtedy trzymać się razem. Ale podczas gdy Sowińska spolszczyła się w kurcgalopie i stała się patriotką polską w dziesiątej potędze, Fredericke nie mogła się szwargotu oduczyć. W Płocku, gdzie jakiś czas pułk konsystował, stale z Szwabami (po okupacji zostało rodzin bardzo dużo), a z Warszawy, dokąd potem pułk przenieśli, kapitan Patelski zdaje sprawę w tych słowach (str. 13):

„Przybywszy do Warszawy w połowie grudnia 1821, wyszukałem zaraz mieszkanie pułkownika Szembeka, a dzięki rekomendacjom, które przywiozłem z Poręby, zostałem łaskawie przyjęty i przez panią pułkownikową, urodziwą Gdańszczankę, z którą jednak po polsku dogadać się nie umiałem, filiżanką kawy ugoszczony".

Po polsku więc jakoś dogadać się wtedy gdańskim Beckom było widocznie trudniej.

Stosunki Monubodzieja z naczelnym wodzem ułożyły się z czasem doskonale, ale po dwóch grubych i zabawnych hecach. Ponieważ pułk był samych omal wiarusów, co to znali i Tyber i Ebro i Berezynę i Sekwanę itp., więc choć Monubodziej był prześwietnym organizatorem i instruktorem, pierwsza prezentacja i defilada na Placu Saskim wypadła tak żałośnie, że Konstanty po prostu się wściekł, i małego męża wielkiej Fryderyki „skudłał", schepał, zwymyślał, zrugał i wypędził, omal z placu wykopsał. W kilka dni potem nastąpiło słynne pogodzenie Romanowa z Szembekiem. Wycałował go, wyściskał z konia, a po tym „dla figlów", na znak serdecznej przyjaźni zdjął mu szybko but z nogi! I Monubodziej został w onucach, a jak inni opowiadali, z gołymi nogami. Oczywista ryk śmiechu na placu Saskim, oklaski, i odtąd — przyjaźń, egalité, fraternité, caffe i herbathé... w Belwederze. I tak dotrwało aż do 1830, a pułkownik, obozujący stale w Sochaczewie, był jednym z najoddańszych dowódców obok Potockiego Stasia, Rautenstraucha, Skrzyneckiego, Krasińskiego, Kurnatowskiego, Paca, Chłopickiego i trzydziestu innych...

Właściwie chciał w krytycznych dniach końca listopada Monubodziej jako żołnierz i nie tylko żołnierz pozostać wiernym. Było przecież przysłowie: „Wierz Szembekowi, Szembek cię nie zdradzi"! Zresztą, co by

na to powiedzieli Becki, familia, Fredericke! Jeszcze niezdecydowany pognał do Wierzbna, do karczmy historycznej, gdzie Konstanty z Joanną właśnie konferowali z delegacją, wśród której czwartym był... pan Lelewel. Monubodziej wracał ciężko zafrasowany. Nie na jego mózg były tak ciężkie problematy i dylematy. „Mam zadek do siodła, a nie głowę do rady"... Z Warszawy już było wiadomo, że siedmiu generałów padło ofiarą „zemsty ludu"... A tu przed kwaterą pułkownika w Sochaczewie czekali na powrót delegowani z Warszawy agitatorzy dym. pułkownik Kicki, z wielkopolskich ziemian bratnich podporucznik Koszutski, no i cały do wymarszu pułk gotów, fertig. Argument generalny: motłoch szykuje rewolucję à la Paryż! królu ratuj chrześcijaństwo! No i coś „do słuchu" półgłosem, że w razie czego kulka w łeb, jak Stasiowi Potockiemu...

Trąbki zagrały, kapela na czoło, i marsz.

O drugiej rano byli przy rogatkach. Za jego przewodem ruszyli z miejsca zaraz po tym Krukowiecki od Rawy, gen. Klicki z Łowicza, no i to, co jeszcze wytrwało z Polaków przy Konstantym w Wierzbnie, więc gwardia, grenadiery...

Trzeciego grudnia rano pułk I. strzelców pieszych im. J. C. Mości W. K. Mikołaja Aleksandrowicza wchodził do Warszawy.

Chłopicki, Skrzynecki, W. Krasiński, którzy dotychczas ukrywali się w mieszkankach i nie wychodzili z „rezerwy", teraz zeszli na dół na miasto uradowani i już zdecydowani.

„Der kleine Monubodzieju" przechylił szalę. Bez niego i bez I p. st. p. insurrekcja byłaby 3 grudnia zlikwidowana przez powrotne wkroczenie Konstantego na czele... polskich i rosyjskich gwardyjców.

Szembek powstanie uratował i ugruntował. Wjazd do Warszawy miał charakter tryumfalnego wjazdu Napoleońskiego. Przecież był kawalerem także i Włodzimierza, i order miał Carowej Anny! A do powstania akces zrobił! I wtedy rosyjskie pułki zaczęły się wycofywać spod Warszawy. I wtedy der kleine Peter „postąpił" na generała dywizji. Od kiedy zaś pojawił się w pełnej gali na klubie rewolucyjnym w Redutowych Salach przy placu Krasińskich, i palnął mówkę monubodziejską, stał się bożyszczem. Kapitol.

Co na to Beckowie i Fredericke (de domo Beck), historia nie mówi Że nie odnosiła się do rewolucji tak jak Platerówna, jak Działyńska, jak Sczaniecka, jak pułkownikowa Sowińska primo voto Schroeder (kalwinka) — to więcej niż pewne.

Od Kapitolu do „Tarpejskiej skały" sztuk drogi, jak wiadomo, mały. W pułku Szembeka służył także niejaki Mochnacki. I ten potem Monubodzieja nieco wyidealizował i „postąpił". Żołnierz i instruktor, komendant był z Petera świetny, ale pantoflarz także, i zbyt często do swej.. Becki uciekał. 25 lutego podczas słynnego uderzenia jazdy polskiej nie znajdował się przy dywizji i nie przechylił zwycięstwa.. Skrzyneckiego zwycięzcy spod Dobrej i na Grochowie nienawidził jak stu diabłów, jeszcze do tego podjudzany przez ambitną magnifikę. Lekko skompromitowany i zmonitowany za pokpienie sprawy, złożył dowództwo 4-tej dywizji i podał się do dymisji. Do września się tu i ówdzie jeszcze pętał i plątał, służąc nawet jako ochotnik zwykły pod Różyckim.

Sic transit gloria marjażu Szem i Beck.

W 49-tym roku był krótko prezesem takiej „Ligi Polskiej" w Poznaniu. Potem gospodarował zapewne, ale się nie wybił jakoś, i nie dużo o nim było słychać.

„Miał zadek do siodła, ale nie głowę do rady", jak sam mawiał o sobie. Przy Beckach nie zmądrzał i Fryderyka z niego niczego wielkiego się nie doczekała. Ten mariaż w niczym nie był podobny do małżeństwa Sowińskich... Ale sympatyczny Monubodziej to był in summo gradu, no i miał w życiu moment do pozazdroszczenia!

PAN MINISTER Z PLEWISK



Był taki, był, tylko nie za naszych czasów oczywiście, nie w odrodzonej Polsce, w której Wielkopolanie są od ośmnastu lat permanentnie na indeksie „państwotwórczości" jako niepełnoletni, ubezwłasnowolnieni i niepewni. Był taki minister z Plewisk (pod Komornikami), ale ongiś, dawniej, sto lat temu.

Nazywał się Szaniecki. Chyba Sczaniecki? Nie. Właśnie że Szaniecki. To chyba nie Wielkopolanin? Właśnie że Wielkopolanin. Ale tu u nas takich nie ma; nawet u Karwowskiego w lokalnie encyklopedycznej „Historii W. Ks. Poznańskiego" (1918) żadnego Szanieckiego nie ma. No, to trudno. Nic na to poradzić nie można. Był taki, z Plewisk rodem, w Komornikach chrzczony i w Warszawie tekę ministerialną dzierżył, i to nie byle jaką, bo sprawiedliwości, co prawda krótko, bo zaledwie... kilka dni, ale dzierżył.

Nazywał się też na początku co prawda cokolwiek inaczej. Kiedy go do chrztu trzymali (1784) Grabski z Żebrowską, noworodek Johannes po rodzicach nosił jeszcze nazwisko Olrych. Ale generosus. Nobilitacja niedawna. Sroce też spod ogona nie wypadł. Matka Schmittówna, babka Wichlińska, stryj kanonik

katedralny w Poznaniu, i Olrychy bliskie krewieństwo, co to gadać, z Taczanowskimi. Nawet się dobrze mieli, tylko że dziecisków było blisko tuzin. Więc kiedy jakiś poznański bankier, ich interesami się zajmujący, zbankrutował i ich naderwał, stary Olrych, posessor advocatiae pleviscensis ze zgryzoty do klasztoru wstąpił i braciszkiem został, Opatrzności Boskiej los familii powierzając.

Miał wtedy dziewięć lat przyszły minister. Ale się nie dał i nauki pokończył. A że obok mieszczańskiej i rycerska krew w nim płynęła, więc po Jenie jako prosty kanonier do wojska się wpisał, kampanię odbył, dzięki rodzinnej kolekcie w Warszawie studia prawnicze szybko odwalił, po czym aplikantura sądowa i do prokuratorii, gdzie godność prokuratora generalnego piastował kuzyn z Wielkopolski, Taczanowski. Już w r. 1809 awansował Jan Olrych na prokuratora i w tymże roku poślubił kuzynkę Teresę, siostrę g. prokuratora Taczanowskiego, z którą harmonijnie przeżył ćwierć wieku. Słowo: „harmonijnie“ ma tu duże znaczenie i jest superlatywnym, skoro się zważy, że biednej pani Teresie, primo voto Olrychowej, przyszło w życiowej kolei, jak mało której z Taczanowskich, być i na wozie wysoko i jeździć powozami i karetami, by potem znaleźć się pod wozem, a nawet iść piechotą i na tułactwie po wielkich dostatkach ciężką biedę klepać.

Lecz nie uprzedzajmy wypadków. Z prokuratorii przerzucił się młody jurysta bardzo wysoko do adwokatury. I tu dopiero rozbłysnął, rozpostarł skrzydła, znalazł się w swym żywiole i zdobył zasłużone laury. W galerii wielkich adwokatów, cywilistów i oratorów warszawskich przed powstaniem Listopadowym stał się Olrych szybko pierwszym tuzem i asem. Kiedy

przed wojną europejską w r. 1912 powzięto w palestrze stołecznej myśl wydawania „Materiałów do dziejów adwokatury w Polsce“, jako pierwszy tom nakładem Koła Prawników Polskich wyszedł „Pamiętnik Jana Olrych-Szanieckiego“ z wstępem i przypisami... prof. Handelsmana.

Dlaczego inkryminowany wzwyż prof. Handelsman koniecznie i specjalnie zajął się i zapalił do takiego bądź co bądź niekoszernego Wielkopolaka, to wnet się w toku wspominków dokładnie dowiemy. Tu tylko trzeba położyć nacisk na to, że oprócz pana Handelsmana jeszcze drugi starozakonny, tj. bł. p. senator (P. P. S.) Stanisław Posner w tymże samym 1912 r. też się mecenasem Olrychem zaopiekował i wydał ze swoim także ciepłym wstępem korespondencję Olrych-Szanieckiego z Lelewelem pt. „Dole i niedole“ (także u Wendego i Spółki).

Ten patronat i ta protekcja Handelsmanów i Posnerów dawały już wtedy dużo do myślenia, i istotnie też nie były bez „kozery“ i bez myśli wytycznej. Zanim to wyjaśnimy, zaznaczamy pobieżnie i przelotnie, że to w tych latach właśnie (przed 1912) w carskiej Rosji poseł żydowski z „Dumy“, Hercenstein, pierwszy podniósł sztandar i hasło wywłaszczenia ziemiaństwa na rzecz chłopstwa (i na benefis żydostwa), i że prof. Handelsman jest tym samym Handelsmanem, który wydał wówczas pracę historyczną o Demczyńskim, „chłopie“, z czego całą osnowę powieściową zaczerpnął znany beletrysta krakowski do powieści antyziemiańskiej i antyszlacheckiej pt. „Kordian i Cham“. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, i nie tak znowu daleko od Hercensteina do Handelsmana.

Ale nie uprzedzajmy wypadków i przypadków J. Olrych-Szanieckiego.

Kancelaria adwokacka rodaka z Plewisk stała się pierwszą w stolicy. Od klienteli aż się roiło, nieprzymierzając jak dzisiaj u Szurleja (Słupia p. Jarocinem). Oddawano mu najtrudniejsze i najzawilsze postępowania spadkowe. Szlagoneria i hreczkosiejcy przepadali za tym prowodyrem palestry. Nic dziwnego, że do niego udali się też i posiedziciele dziewięciu kluczów Gonzaga-Myszkowscy-Wielopolscy z propozycją sanowania bałaganu majątkowego, który, kolosalny w terenach, bardzo mało przynosił w gotówce. Chodziło o przecięcie gordyjskiego węzła i wynalezienie wyjścia z labiryntu. Mecenas Olrych wreszcie znalazł. Ordynat był uratowany finansowo, fideikomis poszedł między ludzi, czyli ziemian jednofolwarcznych i obszarniczych drobnoludków, a Olrych z Plewisk, kanonier z r. 1807 i biedaczyna, wyszedł po kilkoletnim ślęczeniu (3 tomy rozpraw o majoracie Myszkowskim) z siedmioma wsiami i miasteczkiem Pinczowem! Staszicowi z Piły dostało się Hrubieszowskie, Olrychowi z Plewisk Ziemia Pinczowska, a wśród wiosek jedna z nazwą: Szaniec. Bezdzietny margrabia dostał moc gotówki na spłacenie olbrzymich długów i wywinął się z matni i z mafii wierzycielskiej... Młody zaś i genialny adwokacik warszawski został obszarnikiem, nuworiszem i objektem zazdrości i zawiści kolegów palestrantów, za czym z pozwoleniem Króla Jegomości Saskiego (r. 1813) od wsi Szańca ... z Olrycha: Szanieckim.

Były to lata szczytowe, w których pani Teresa z Taczanowskich mogła jeździć po Warszawie najmodniejszym powozem... I pewnie jeździła. Natomiast nowy dziedzic na pewno do swych majątków, do Szaniec, do Rogowa, do Pinczowa, jeździł na... wozie. Dlaczego? Z jakiej racji? Z tej racji, że nowy

dziedzic był co się zowie skrajnym demokratą, chłopomanem, liberałem, „jakobinem", i na tej dudce grając i te doktryny głosząc i drukiem w gazetkach publikując, wszedł jako deputowany ze Stopnicy do Sejmu, gdzie mu przyszło omal przez dziesięć lat tkwić, gadać, perorować, mętlić i mącić, a wreszcie w rewolucyjnym sejmie r. 1831 ważną rolę odegrać.

W serdecznej i szczerej miłości do stanu wieśniaczego nie doszedł co prawda do takiego extremizmu, jak jego koledzy poseł Szreder lub Żukowski (natychmiastowe zniesienie pańszczyzny i wywłaszczenie), jak Zwierkowski, Trzciński, Czyński, Boski, ksiądz Puławski, Krempowicki albo poeta Kantorbery Tymowski. Poseł Szaniecki do klubistów czerwonych nie należał, do „Honoratki" rzadko zachodził. Ani się też nie ubierał i nie paradował w chłopskiej sukmanie, jak jego bliższy rodak... Józef Gołuchowski. W swoim programie emancypacji kmiecego stanu szedł raczej umiarkowaną szeroką linią czy torem Kołłątaja, Łukasińskiego, Mochnackiego, w kontakcie raczej luźnym z Frankistami: Krysińskim i Wołowskim, a wierzył w ideologię raczej starszej daty reformistów, tych z Wielkopolski, w Staszica, w generała A. Kosińskiego („Uwagi nad polepszeniem bytu włościan", 1813), no i skroś genialnego T. Morawskiego, haniebnie mało znanego publicysty, autora już na emigracji pisanych „Quelque mots sur les paysans sur les intentions de la dernière revolution polonaise á l'egard des paysans".

Po wsiach u siebie bratał się z ludem jak równy z równymi, zakładał szkółki, spółki, związki gminne, w ogóle staszicował, ułatwiając chłopom kupowanie gruntów na wieczne dziedzictwo i zarabiając sobie w opinii sąsiadów na markę niepoczytalniaka, ekspe-

rymencisty, podżegacza, wprost wariata i najskrajniejszego demagoga.

W sejmie „rewolucyjnym“ w miarę pogarszania się sytuacji na frontach, Olrychowi-Szanieckiemu czerwieniał istotnie koguci grzebień i nuworisz wypowiadał się radykalnie, omal socjalistycznie. W zestawieniu z jego wtedy sejmowymi występami artykuły Mochnackiego prezentują się jako umiarkowanie konserwatywnego rzecznika raczej posiedzicieli. „Niepodległość może wywalczyć tylko powstanie en masse“, a do tego celu tylko zniesienie pańszczyzny i oddanie ziemi wieśniakom. Pisywał i przemawiał oczywiście za rządem cywilistów (i gadułów), a przeciw Skrzyneckiemu i przeciw dyktaturze. Po Ostrołęce w imieniu ciężko chorego czytał jego petycję wywłaszczeniową poseł Wężyk. Pienili się nasi posłowie konserwatywni i Czartoryszczycy, gromił go basem Ledóchowski, nie wciągano jego filipik w „Dyarusz Sejmowy“. Skompromitował się doszczętnie w oczach normalnych patriotów obroną w słowie i w piśmie („Dzienniku Powszechnym“) terorystycznego bestializmu tłumów w nocy z 15 na 16 sierpnia, za co jednak najniefortunniejszy premier powstaniowy o imieniu „Bonawentura“... właśnie ofiarował mu tekę ministerialną. Kiedy tragicznego 6 września (Moskale już na Woli) jeszcze po adwokacku i po kabotyńsku gdakał w Sejmie, aby bronić miasta, dalej odwołując się do „ludu“, do ulicy, zirytowany patetyczną gadaniną twardy Prądzyński wyszedł, demonstracyjnie trzasnąwszy drzwiami. Tak go tani „heroizm w gębie“ deklamującego mecenasa zirytował.

Pan Minister znalazł się na Emigracji.

Na Emigracji przeszedł były minister przez dosłowną gehennę. Chciał wrócić do Wielkopolski, nie pozwolono mu (T. Morawskiemu pozwolono). Tułał się tedy po Niemczech. Przechodzili z żoną skrajną biedę, aż mu wreszcie umarła Taczanowska po 25 latach pożycia.

W Paryżu osiadłszy, popadł szybko w potępieńcze swary. Z zaparciem się siebie, żyjąc za 16 sous dziennie, wydawał własne pismo „Polska“, ale że umiarkowane i koncyliacyjne, więc narażał się na dzikie znów napaści z lewej: z „Dziennika Polskiego“ i „Nowej Polski“ Czyńskiego et consortes. Prawica oczywiście też nie ufała jako protektorowi i obrońcy teroru z 16 sierpnia i chłopskiemu demagogowi. Kiedy zaś zaufanie „rodaków“ obdarzyło go prezesurą i skarbnikostwem „Komisji Funduszu Emigracyjnego“, znów naraził sobie „rodaków“ przez udzielanie zapomóg bez względu na przynależność partyjną. Z najlepszym przyjacielem Leonardem Chodźką i jego magnifiką, panią Olympią (amoureusą Murgera!) popadł w zażartą walkę, bo jeden wydawał „Polskę Malowniczą“, a drugi konkurencyjne album „Polskę Ozdobniczą“. Z Ledóchowskim po skandalu o mało nie doszło do pojedynku z powodu błahej dyskusji.

Uwikłany w moc „komerażów“, głodzący się chory suchotnik, przemęczony emigranckim Inferno, szarpany z prawej i lewej, zmarł pewnego dnia poprostu ze zgryzot i utrapień. Nad grobem w Montmartre przemówiło żałobnie „rodaków“ kilku, bo i płk Chotomski, i mecenas kolega Wołowski (Frankista), i patologiczny „Ibuś“ (J. B. Ostrowski), ale i ksiądz Miesiączek. Rzecz prosta, że wszyscy prześcigali się w komplementach, superlatywach i żałościach (21 lutego 1840). W akcie zejścia wyraźnie: „ancien ministre (agé de 57. ans, né à Plewisk).“

Nie jest to znowu taki Wielkopolanin, którego nadal możnaby przemilczać. Wprost całkiem przeciwnie. Kwalifikuje się w pełni do poważnej naukowej, źródłowej, grubotomowej monografii z aktualnymi akcentami i walorami.

Z wielkim uznaniem pisze o nim B. Limanowski w „Szermierzach Wolności" jako o „kuratorze praw włościańskich na Sejmie Rewolucyjnym". Z wielką rewerencją i respektem odzywa się z drugiego brzegu równie poważny myśliciel polityczny, Włodzimierz Spasowicz.

Jan Olrych-Szaniecki pozostawał w zażyłej i długoletniej przyjaźni i korespondencji z Joachimem Lelewelem.

Z Mickiewiczem zaprzyjaźnił się w Choryni u Taczanowskich, gdzie się znalazł w pierwszych tygodniach banicji popowstaniowej. Planowali wtedy wspólny wyjazd do Ameryki, który nie doszedł do skutku.

Pokryli przemilczeniem i zataili jego działalność parlamentarną i jego dynamiczną współpracę w powstaniu Listopadowym nawet niektórzy przyjaciele (Lelewel, Chodźko, Straszewicz), ale nie przemilczał Barzykowski.

Wyciągnęli Olrycha z niepamięci dwaj żydowscy warszawscy intelektuele (Posner i Handelsman), nakładając w swych portretach moc farby czerwonej i prezentując go jako protagonistę wywłaszczeniowego, omal Marxistę, omal judofila. Opierali się nie bez pewnych tricków (szwindlów) na dwumiesięcznym epizodzie jego działalności „tempore insurrectionis" (lipiec, sierpień), kiedy ze względów militarno-obronnych patriotycznych doszedł w reformistycznych poglądach do maksymalizmu w swym radykaliźmie

(„nie ma rewolucji narodowej bez rewolucji socjalnej"). To obu Gidów mentalnie stuprocentowych, skusiło i oczarowało. Taki Poznaniak im konweniował, bo im przypomniał... Herzensteina z „Dumy".

Trzeba więc wreszcie przypomnieć tego „patrona" palestry warszawskiej, wyzwolić spod patronatu nachalnego (i kahalnego) i odczerwienionego i nieco wybielonego oddać ściślejszym rodakom.

Owszem. Olrych-Szaniecki w pewnej erze swego życia przypomina... Żeromskiego bohaterów, może nawet Barykę. Owszem. Olrych-Szaniecki w zetknięciu z mocną egoistyczną, feodalistyczną, ciemną, krótkowzroczną, ekonomską, jednofolwarczną ciżbą kolegów sejmowych (Mazurkiewicz, Posturzyński, Klimontowicz, Słubicki) o nazwiskach nie bardzo karmazynowych i magnackich, dochodził do furii omal rewolucyjnej i w tym co mówił i co pisał. Cielęce mózgi mogą rozdrażnić nawet cierpliwego wołu, a cóż dopiero temperament wprost byczy. I wtedy szły od niego te prowokacje jakby wyjęte z tomów Owena, Benthama, Saint Simona („ziemia własnością jest niczyją"). To były atoli momenty: indignatio fecit versum. A życie składało się z lat, z lat 57... W tych latach tworzył, pisał, bronił, walczył, rozdawał nabyte cudem dobra, budował szkoły, zakładał związki „Obrońców Równości", zakładał „Korporacje rolniczo-handlowe", filantropił, samarytanił, staszycował. Nadto on pierwszy w Kongresówce zniósł w swoich dobrach patriarchalną chłostę cielesną. No, i on pierwszy złożył parlamentowi polskiemu projekt zniesienia pańszczyzny. To dość chyba ważne? To wystarczy?

Poznaniacy powinni się z nim zapoznać, choć to nie Sczaniecki, a Szaniecki. Ani z soli, ani z roli. Ale

od S z a ń c a... Że zaś w pamiętniku ministra nieznanego jest nieco co nieco za duża porcja samochwalstwa, to i tym nie trzeba się zrażać. Megalomania prześladowcza bywa często kosturem, na którym musi się podpierać osobowość utykająca. Dokuczano mu za życia zbyt dużo za to, że i antagonistom i antypodom politycznym niekiedy przyznawał rację (Czartoryskiemu). Tego „rodacy" (rodactwo) nie lubi. Może zresztą przewidział, że nawet Taczanowscy o nim docna zapomną, a w Plewiskach nie będzie jednego jedynego bliźniego, któryby choćby ze słychu-dychu znał to nazwisko.

Szaniecki, nie Sczaniecki!

BRAT ADAM I BRAT JULIUSZ



Gdy tylko wionęły pierwsze cieplejsze podmuchy nadchodzącej wiosny („Wiosny Narodów"), tym razem już w początkach lutego, Brat Adam szybko wyruszył do Rzymu. Impreza polityczna obmyślana była na wielką skalę, a cokolwiek właściwie według wzoru... „Kordianowego". Chodziło ni mniej ni więcej — o nawiązanie stosunków i o skonwinkowanie dla Sprawy samego Papieża Piusa IX. Wielki plan Legionu, któremu patronował ekscentryczny graf Xavier Branicki, a który reżyserował za kulisami archispryciaż frankista L. Wołowski, wyłożył Mickiewicz w listach także do pewnych osób w Wielkopolsce, a także do płk. Kamieńskiego. Przeciw wszelkim zbrojnym ruchom wyzwoleńczym w kraju samym zadeklarował się niedwuznacznie i najstanowczej; szczególnie przeciw powstaniu w Wielkopolsce. Rzym miał być centrum propagandy wolnościowej. Do pułk. Kamieńskiego pisał:

„Ojczyzna żąda od nas, abyśmy wrócili do niej nie jako szukający przytułku, spoczynku, lub poniektórzy podpory materialnej, ale abyście jej przynieśli ziarenka organizacji"...

Do Towiańczyka Juliana Łąckiego w Wielkopolsce (w Posadowie czy w Swiniarach?) już całkiem wyraźnie:

„Jeżeli Mistrz do Włoch przybędzie, główny węzeł rozwiąże, przez to milionom Słowian droga utorowana"...

Mistrz? Słowian?

Najszczerzej do Konstancji Łubieńskiej:

„Mylnie mniemałaś, że miałem iść na wojnę, nie jestem wojskowy, inni mnie tam lepiej zastąpić mogą. Moim obowiązkiem jako przewodnika narodowego było zrobić układ z rządem włoskim i wszystko ułatwić co mogło zawadzać formacji."

Z Niemcami, z Prusakami, doradzał autor „Konrada Wallenroda" całkowitą zgodę i ugodę. Wyglądało to bardzo dziwnie, skoro przecież pisał niedawno, że „plemie germańskie jest fabryką, która wyrabia w mózgach gazy zdradzieckie, mające zabić wiarę i ducha ludzkości".

Pomimo tego wszelki opór przeciw „prawowitej" królewskiej władzy w Wielkopolsce potępiał i, widząc tylko w Rzymie i w legionie polskim w Italii cel swego posłannictwa, swej misji, swego apostolatu — tak się pani Konstancji Łubieńskiej zwierzał, zatajając jednak tym razem wszystko, co miało związek z „Mistrzem" Towiańskim:

„Wyruszyłem z zamiarem Legii, mimo oporu rodaków i rządów. Dalej nasz pochód będzie już łatwy i nawet tryumfalny. Zbieramy się i zorganizujemy pod chorągwią naszą w Mediolanie. Wystawiałem rodakom, a między nimi byli i obywatele Księstwa Waszego, że tu we Włoszech jedynie jest stanowisko, i że z nami łączyć się należy, zostawiając rodakom w kraju tak działać, jak im z toku rzeczy wypadnie. Tego nie przyjęli. Pobiegli do Was sami w mącie, pobiegli mąt zwiększać. Żałuję ich i was."

Ten list jest z datą 9 maja 1848.

Do tych, co sami „w mącie pobiegli" mąt zwiększać... w Wielkopolsce należał i Juliusz Słowacki. Ale czy sam Brat Adam nie był w mącie i nie pobiegł mątu zwiększać w Rzymie? Dzisiaj już znamy detalicznie cały żałosny przebieg tej romantycznej imprezy, która przepięknie wygląda w najdowolniej fantastycznej wizji Wyspiańskiego („Legion"), imponująco też w biografii, w legendzie, w mitologii, ale fatalnie w korespondencji Z. Krasińskiego, a najautentycznej w mało znanej książeczce Wandy Odrowąż (pseud.) pt.: „Kilka chwil we Włoszech", gdzie w pamiętnikarskim stylu spisywany jest dzień po dniu tej całej nieszczęsnej afery politycznej a więc i ta plątanina z tą dziś zdemaskowaną babą prowokatorką Makryną, i te pochody z czerwonym sztandarem, i to zerwanie stosunków z Bratem Adamem młodego Norwida, i ta audiencja u Papieża z kompromitującym zachowaniem się i kopiowaniem „Kordiana"... i ta allokucja „wrzaskliwym" głosem do Piusa IX, że „duch Boży jest w bluzach paryskiego ludu", i to ojcowskie łagodne Ojca św. (liberała): Piano! Piano! — no i to zerwanie wszelkich stosunków z Wieszczem Braci Zmartwychwstańców, po czym potępienie przez kongregację (IV) wydanych po francusku prelekcyj paryskich (L'Eglise Officiel et le Messianisme) no i wreszcie powrót nowy na łono Towiańszczyzny, upokarzające rozejście się i rozpadnięcie włoskiego Legionu (ukarabinionej cyganerii), po czym opuszczenie Legionu i nagły ni stąd ni zowąd powrót do Paryża już 11 lipca.

Tak. Ten epizod rzymski to był mąt i mętlik w całym tego słowa znaczeniu. Wystarczy dla przekonania się o tym skonfrontować listy Krasińskiego

z listami, pisanymi przez Brata Adama do pani Konstancji, gdzie się czyta takie autoekstazy jak: „pochód nasz był ciągłym tryumfem...." gromady nas do Mediolanu odprowadzały..." „żaden monarcha tak nie był przyjmowany"... itp.

Pan Słowacki do swej jedynie i dozgonnie najukochańszej matuli pisał znacznie ciszej (piano) informując ją skromnie, dyskretnie o tym, co on znów ze swoimi przedsiębrał, kiedy nadeszła wiosna roku 1848, złudnie jako Wiosna Narodów przyjęta. W nim też ciążyło nad sumieniem poczucie winy za niespełniony w r. 1831 normalny obowiązek. „Biada nam, zbiegom, żeśmy w czas morowy, lękliwe nieśli za granicę głowy..."

To też już w marcu dał się słyszeć „Głos Brata Juliusza". A ponieważ tradycyjną polską formą zrzeszenia była Konfederacja, przeto spisano akt konfederacyjny, podsygnowany przez siedmiu zwolenników aktywnego akcesu do ruchu, który wszczął się w Wielkopolsce. Pięciu z nich extrapocztą dojechało do Poznania 11 kwietnia. Wśród nich dwóch braci Milewskich, późniejszy arcybiskup, wtedy młodzieniaszek Szczęsny Feliński, Dzwonkowski, Andrzej Fredro i poeta „Grobu Agamemnona".

Był już wtedy ciężko chory na astmę, na płuca, na ogólne osłabienie i jak się wnet okazało, tylko kilka miesięcy oddzielało go od śmierci. Stale pokaszliwał, pocił się, nocami nie spał. Już tak daleka podróż trzęsącą się pocztową kariolką musiała fatalnie wpłynąć na zdrowostan szczuplutkiego, drobniutkiego, anhelicznego człowieczka. A tarapaty czekały jeszcze większe.

Wyprawa do Wielkopolski była więc wielkim hazardem, i to z wielu względów. Odradzać mu atoli

nie byłoby sposobu. Tym razem chciał bezwzględnie spełnić swój obowiązek i, choćby samą swoją obecnością, propagandą, natchnionym słowem — budzić energię ziomków, zapał niecić, entuzjazm rozpalać. Chciał na miejscu uczestniczyć w wyzwoleniu tylko polskości, nie żadnej tam Słowiańszczyzny, bo ta podejrzana „Słowiańszczyzna" na emigracji bardzo go mało obchodziła („strach bierze, jak wśród nas dużo jest ruskich"). Ale, że kiedyś, kiedyś pośpiesznie przed „męką" wyjechał, więc teraz zdecydował tę absencję odrobić i, choć schorzały, sterany, fizycznie i organicznie nijaki i żaden, to jednak wspódziałać jako przykład, jako prorok i derwid, zbrojny ruch rodakom apostołujący. Przecież nawet Mickiewicz teorytycznie uznawał ważność zbrojnej kontrakcji, skoro jeszcze w 1832 r. w liście do Lelewela (z 23 maja) pisał (co prawda w dość poziome sprawy wciągając Najwyższą Instancję): „Bóg nie pozwolił mi być uczestnikiem jakimkolwiek w tak wielkim i płodnym na przyszłość dziele". W każdym więc razie wyraźnie: „wielkie i ważne na przyszłość dzieło".

Teraz z wiosną r. 1848 wielkość i ważność tego dzieła znów widział nie w szykującym się w kraju powstaniu, ale w Rzymie i poniekąd w zdobyciu Watykanu dla moralnego poparcia przede wszystkim... Towiańszczyzny. „Mistrz" Towiański zaś, jak potępiał wielką akcję przeciw Garatowi, tak samo całkiem nieprzyjaźnie był usposobiony do powstającej przeciw pruskiemu panowaniu Wielkopolski.

Nasz Brat Juliusz przechodził fazę energicznego wyzwalania się spod suggestii osławionego hypnotyzera i magnetyzera, grasującego w tych miesiącach w Szwajcarii. I kiedy tylko pękły okowy w Berlinie i rozwarły się bramy więzienia w Moabicie, kiedy

przedświt wolności zajaśniał, pośpieszył ku Poznaniowi „jeden z pierwszych“ na „ziemię ojczystą“, jak to zaznaczył w nekrologu Słowackiego nawet stale mu wrogi ultramontański, Koźmianowski „Przegląd Poznański“. Jak musiał głęboko odczuwać ciężar niewoli i ugniotu niemieckiego, stanąwszy po siedemnastu latach rozłąki na polskiej ziemi, rządzonej przez Prusy, to można sobie wyimaginować, przypomniawszy, co w „Mindowem“ w akcie pierwszym mówi Litawor:

„Zmuszony żyć wśród Niemców, męczę się i żyję.
Lecz nienawiść do tych rozkrzewia się w duszy,
Kiedy jestem przy Niemcach, tak mi serce bije,
Że mi się kiedyś w piersiach od wzgardy rozkruszy.“

Teraz tu w Poznaniu, między Niemcami a Polakami panowała harmonia i zgoda.

Aczkolwiek miesiąc kwiecień należał jeszcze do miodowych miesięcy zgodnego przyjacielskiego, omal bratniego pożycia z Niemcami, to jednakże już generałowie ściągali większe „detachement“ do garnizonu (6 000 na 42 tysiące mieszkańców). Iluzja wspólnego frontu przeciw absolutyzmowi z możliwością wspólnego „Drang nach Osten“ i wojny z Caratem jeszcze trwała. Kokardki jeszcze noszono, ale patrzono się na siebie już z podełba i ukosem, a z szczególną nieufnością traktowały władze oczywiście tych Polaków, którzy przybywali ze zrewolucjonizowanego w lutym Paryża. To też i piątkę towarzyszów Słowackiego potraktowano bezceremonialnie. Fredrę wprost przyaresztowano, a Słowackiemu położono areszt na sakwojażach i samego poddano stałej inwigilacji. Trzeciego dnia po przyjeździe miał się zgłosić na policję po odbiór paszportu. Chorym i ciężko zmaltretowanym

uciążliwą drogą „eil-pocztową“ musiał zaraz zająć się doktór Matecki, znakomity hydropata (z siostrą K. Libelta ożeniony).

Czy pan Słowacki zamieszkał początkowo u profesorostwa Libeltów na pensjonacie studenckim, przy Świętym Marcinie nr. 56, to nie stwierdzone. Profesora w Poznaniu tego dnia nie było. Właśnie bowiem ze Stefańskim pod Środą podpisywał z generałem Willisenem słynną konwencję Jarosławiecką i dość miał z tą utrapioną sprawą kłopotów i zgryzot. Zdaje się, że poetą zajęła się chyba Bibisia Moraczewska, siostra historyka Jędrzeja, anioł opiekuńczy i Egeria wszystkich literatów i artystów. I zdaje się, że to ona też odstawiła go na Piekary numero dwanaście, gdzie na pierwszym piętrze mieszkali majorostwo Bukowieccy i był wolny „absteigekwatir“ dla różnych intelektualistów. Właściwie to miało być na krótko, bo pan Słowacki planował wnet jazdę do Krakowa, ale rozciągnęło się na cały miesiąc, z jazdy do Krakowa nic już nie wyszło, skoro Galicja w solidarnej akcji insurgenckiej zawiodła całkowicie. Dlaczego „ausgerechnet“ niby czerwonego, niby radykała, od którego wionęło Centralizacją Wersalską, umieszczono we familii „białej“, antypowstańczo zorientowanej, u tzw. „petycjonistów“ czyli „jednawców“ (kompromis), to też nie wiadomo.

Gospodarz był zresztą figurą półoficjalną, bo lantratem pow. wyrzyskiego, i z tym stanowiskiem przeżył i przetrwał nawet późniejszą represyjną erę Flothwella. Majorostwo datowało się z Napoleońskiej kampanii, w której jako adiutant marszałka Davousta odbył Smoleńsk i Berezynę, a z wielkim Fredrą leżeli w jednym szpitalu w Wilnie u Sióstr Miłosierdzia; Sybir miał też za sobą (Wiatka 1816), więc godny

człowiek o pięknej wojennej karcie i Virtuti Militari. Że z literaturą też się parał, dowodem redagowanie periodyku „Krzyż i Miecz“ w roku 1850. Bukowieccy należeli do Kalwinistów. Syn Augusta i Józefy, piętnastoletni gimnazista Julianek, był tym, który głównie zaprzyjaźnił się z Juliuszem, był jego ciceronem po Poznaniu, a cośkolwiek z tego opisał w r. 1881 w „Dwutygodniku Kobiecym“ („Z moich wspomnień“). Pytania, teraz nastręczające się, to rzecz prosta: czym się zajął Słowacki w Poznaniu? z kim się zadawał? czego dokonał od 11 kwietnia do 10 maja, i jakie były owoce tej eskapady?

Odpowiedzi na te pytania nie będą zbyt konkretne, wyczerpujące i definitywne. Najpierw trzeba sobie zrekonstruować pana Słowackiego możliwości i dane prestiżowe, jego pozycję literacką i jego autorytet w kraju i w dzielnicy. Personalia fizyczne wedle wiarogodnego opisywacza: figurka niepozorna, szczupły, chudy, nos duży, niespokojne ruchy... „robił wrażenie kancelisty czy kupczyka“. Mówił cicho, ciężko oddechał, męczył się. Nic tedy z tego imponującego wrażenia, jakie sprawiał o jedenaście lat starszy lwiogrzywy Wajdelota, Wieszcz, Demiurgos zdrowy, barczysty, mocny, Jowiszowy. Do porywania tłumów, do mów ognistych na wiecach patriotycznych, do narzucania i przeforsowywania swoich poglądów w salach, gdzie obradowały komitety, starszyzna i zbuntowani bourgeois się nie nadawał.

Teraz pozycja literacka, duchowa, ideowa, moralna. Był jednym z mało tu znanych pisarzy emigracyjnych paryskich. Jedne pogłoski mówiły, że Towianista, inne — że skrajny radykał, inne — że zuchwale przeciwstawił się raz Wieszczowi, a raz hrabiemu Krasińskiemu, pieśniarzowi „Psalmów“. Z twórczości

poetyckiej znano go tutaj mniej, niż bardzo mało. A trzeba wiedzieć, że znano tu wtedy wszystkich, bo poziom kultury literackiej był wtedy w Poznaniu największy w Polsce. Tu było centrum duchowego życia Polski między latami 1839—1849, dziesięciolecie Aten nad Wartą. W czterdziestodwutysięcznym mieście istniało trzynaście księgarń, wśród których takie firmy nakładcze, jak Żupański, Lange, Stefański, Munck, Heine, Reizner. W czterdziestodwutysięcznym mieście (z czego 8 tysięcy Żydów) wychodziły cztery periodyki literacko - naukowe: „Tygodnik Poznański“ (od 1839), „Dziennik Domowy“ (od 1840), „Rok“ (od 1843), „Przegląd Poznański“ (1845), wreszcie „Orędownik“, dalej „Przyjaciel Ludu“ w Lesznie. W poznańskich tygodnikach, miesięcznikach drukowali pisarze z Warszawy, Wilna, Krakowa, Lwowa, Paryża.

Tu było centrum, tu była agora polska, tu ścierały się wszystkie poglądy, wiary, orientacje. I magnateria i ziemianie i mieszczaństwo wielkopolskie, wiedzieli pierwsi, kto Cieszkowski, a kto Trentowski, a kto Hoene-Wroński. Witali i gościli Pola, Lenartowicza, Syrokomlę, Balińskiego, Brzozowskiego. Krakowianin Wasilewski, warszawski Kolberg, kresowiec Siemieński tu czuli się, jak w domu. Tu drukowali swe pierwociny Kraszewski i Korzeniowski. Tu najpierw znany był Gosławski, tutaj Norwid. Tu poważni uczeni Maciejowski i Kremer. Tu dramaturg Magnuszewski i publicysta Bentkowski. Nie było nazwiska początkującego i debiutującej firmy literackiej, która by tu była nieznana. Henryk Rzewuski także i Fredro, grany w teatrze najwcześniej na przemiany z Korzeniowskim. Poznań był tym ogniskiem, z którego promieniowały samowiedza i samoistność myślowa. Było tu co czytać, było o co się spierać.

Słowacki Juliusz stosunkowo bardzo mało był czytany i znany. W każdym razie rangą i popularnością mniejszy od Pola, Lenartowicza, Berwińskiego, Syrokomli. Na dobitek jeszcze ze wszystkimi grupami właściwie na bakier. Początkowo najbardziej związany z Czerwieńcami Wojtkowskimi. W ich „Tygodniku" drukował po raz pierwszy (1838) „Smutno mi Boże". Z nimi korespondował. Kiedy drukował „Święcone u Radziwiłła Sierotki", w spisie figuruje autor jako **L.** Słowacki. Po czym i z nimi zaczęło się psuć, od czasu jak zamieścili korespondencję o paryskim pojedynku improwizacyjnym, tak że w nr 6 tygodnika w polemice już się pisze ostro „dziwi nas, że pan Słowacki" itp. Recenzent J. N. Sadowski surowo osądza „Żmiję", „Bieleckiego", „Kordiana" a o „Lilli Wenedzie" werdyktuje, że nie „zrozumiała" (sic). Po Beniowskim „Dziennik Domowy" (1842) pisze: „widać, że nasi starzy mieli rację, gdy poetów szaleńcami zwali. **Pan** Zal(eski?), **pan** Mickiewicz i **pan** Słowacki u nas tego dowodzą". „Przyjaciel Ludu" w szesnastu swoich rocznikach ani razu nie wspomniał o istnieniu twórcy „Króla Ducha". Ultramontański „Przegląd Poznański" w ogóle to sztywnie, to bagatelizująco odnosił się, ale po ataku na Krasińskiego („A tyś zląkł się syn szlachecki") przejechał się bez ceremonii wymyślając od Herostratesów! Jak przyjęto „Beatrix Cenci" (z motywem incestu) dodawać nie potrzeba.

Stosunkowo najcieplej, najsumienniej i najrówniej, choć też strofując i karcąc, odnosił się do Słowackiego od samego początku Karol Libelt. Ten piękny człowiek poznał się od razu na Pięknie najczystszego poety z trójcy romantycznej. Chwalił szeroko „Ojca Marka" w „Dzienniku Domowym" (1844), chwalił „Mazepę" w „Roku", to jest najpoważniejszym i najkulturalniejszym organie Wielkopolski.

Reasumując, można stwierdzić, że kiedy Krasiński był już wielbiony przez prawicę i konserwatystów, a Ryszard Berwiński stał się championem radykalnego postępu, węglarzy, karbonarów, jakobinów i ruchowców, i kiedy Pol był wschodzącą gwiazdą, a kiedy uczono się na pamięć wierszyków nawet E. Dembowskiego, Wolskiego, Zmorskiego, Goszczyńskiego — to Słowacki albo nieznany całkiem, albo z fragmentów i przypadkowo, albo tępiony, ba, nawet wyszydzany (Rymarkiewicz) także i za to, że ośmielał się rywalizować i nadstawiać... Wieszczowi.

Libelt w tych latach atoli Wieszcza nie lubił i nie trawił. Już od czasów Berlina i prelekcyj Heglowskich. Przy końcu życia to się zmieniło, ale przez jakie dwadzieścia lat trwało. O prelekcjach z literatury słowiańskiej „Rok" pisał bez pardonu:

„Widać, że nasz sławny poeta przygnieciony jest ogromem ciężaru myśli, którym już dzisiaj kierunku nadać nie może"... Tego rodzaju są wyroki i zdania jego o filozofii w ogóle a w szczególności niemieckiej, rzuca imionami, wyrazami, formułami, o których tylko zasłyszał."

Bywało i jeszcze surowiej i ostrzej. Po wmieszaniu się Mickiewicza w proces Moabicki w sensie suggestii skrajnie ugodowych i filopruskich (orędzie do więźniów, wysłane na ręce Konstancji Łubieńskiej), Libelt zawrzał nie pohamowanym, rzetelnym oburzeniem obywatela, patrioty, żołnierza, powstańca (i ojca powstańców). Taki dla rozmaitych dywagacyj, ekscentryzmów i egocentryzmów Wieszczych w swym sumieniu kantoskim wyrozumienia mieć nie może. Stąd

też, zdaje się, szło także i to Libeltowe ostentacyjne protegowanie twórczości poetyckiej biednego zamierającego Ariela.

Kiedy więc mało znany a raczej nieznany (poza garstką literatów) poeta zjechał z Paryża, liczyć mógł właściwie tylko na Libelta. Żadnych tu stosunków nie miał, ani żadnych takich wielbicieli - protektorów, mecenasów wśród magnatów, jakich miał Mickiewicz aktualnie w r. 1848 w Ksawerym Branickim (dał na legion włoski 100.000 franków), przed tym w Rzewuskich, Sobańskich, w Ostrowskiej, a tu na miejscu w Poznaniu, ongiś w hojnym dlań dobroczyńcy hr. Edwardzie Raczyńskim. Pan Słowacki zanadto był rogaty i dumny, i żadnych ni mecenasów, ni protektorów nie potrzebował, nie szukał, nie znajdywał. Inna rzecz, że profesor Libelt byłby się przydał, by rodakom wytłumaczyć i wyjaśnić, kto zacz ten chudziaczek z czarną czuprynką. Libelt atoli był całkowicie zajęty polityką, organizacją powstania, wydziałem wojskowym, pertraktacjami z generałami, i zgryzotami, związanymi z bezładem zawsze każdej akcji rewolucyjnej towarzyszącym. Bibiannę Moraczewską zaprzątały znów szpitale i lazarety dla rannych.

Nieznany pan Słowacki musiał sam sobie radzić i sam siebie pilotować. Zaopiekował się nim głównie dr Matecki, który go po „sztrapacach" podróży zdołał przede wszystkim na nogi postawić. Dopiero cokolwiek podleczony, zaczął się nasz literat z Paryża pojawiać tu i ówdzie.

Jakichkolwiek śladów atoli jego działalności, choćby tylko klubowo-krasomówczej, choćby tylko w Komitecie Narodowym, właściwie nie mamy dotychczas żadnych. Kogo poznał, z kim się zadawał, gdzie przemawiał, w czym interweniował — nie pozostało śladów. W kolisku Mielżyńskich, gdzie przy panu Macieju tylu było artystów i poetów, Słowackiego nie widzimy. W grupie prof. Cegielskiego w świeżo zmontowanej „Gazecie Polskiej" — nie widzimy. Czy wszedł w kontakt z najbliższym ideowo Berwińskim, nie wiadomo. Czy odwiedził Rogalin lub Miłosław, Pakosław (Sczaniecka), Marcelin (K. Łubieńska), nie wiemy. Musiał się chyba widywać z takimi wodzami powstania, emisariuszami z Emigracji, jak z Brzeżańskim, z Florianem Dąbrowskim, no, i z samym Mierosławskim. Mottego Marcelego znał z Paryża. Może to Słowacki wpływał na pewne inicjatywy mecenasa Krauthofera i księgarza Stefańskiego, które miały charakter zbyt fantastyczny i poetyczny?

Że nie był za ugodą z Niemcami, a za „l'action directe" i „elevement en masse", za partyzantką i za guerrillą (gerylasówką), to widać z tych zdań, z tradycji ocalałych: „Czy się wam zdaje, że dzisiaj potrzeba jeszcze jak dawniej armat i pułków i ofiar, żeby zwyciężyć?" „Kozikami Kernwerk zdobędziemy". „Przechodziłem dzisiaj przez plac Bernardyński i ujrzałem mnóstwo maluczkich chłopców mustrujących się, widać że już na dzieci duch zstąpił". W każdym razie musiał pan poeta działać aktywnie, zagrzewać do walki i oporu, budzić ducha, energię, zapał, entuzjazm, musiał ostatkami sił żywotnych jeździć po Księstwie i po obozach, skoro w liście do Stattlera (z Wrocławia) pisze: „znużony wędrówkami, w których Bóg mnie strzegł", a w liście do matki: „na czas wszędzie stawałem", „pola przyległe pełne są ruchu przy ogniskach nabożne pieśni śpiewają, ofiarują się, ciała kładą za ducha nieśmiertelność"...

Tak istotnie było To śpiewali kosynierzy, gwardia akademicka, Palacze, Palacze!

W drugiej połowie kwietnia idylla wspólnego wolnościowego frontu z Prusakami już się szybko kończyła. Na miejsce paktującego z Polakami generała Willisena przychodzili haudegeni — sadyści: Colomb, Wedell, Brandt i inni podobni. Po zwycięstwach i sukcesach zaczęły się klęski, po czym represje, prześladowania, okrucieństwa, bombardowania, pożary, ścigania, dręczenia. W Paryżu po poecie Lamartinie krwawy generał Cavaignac, w Poznaniu ogłoszony Standrecht, sądy wojenne, egzekucje. Pan Słowacki widział, jak ze wszystkich stron zwożą, taszczą młodych szlachciców do policyjnych więzień, Obcokrajowcy, jako „lästige Ausländer", musieli się wynosić. Pan Słowacki oczywiście także.

Z państwem Bukowieckimi żegnał się serdecznie. Tuż przed wyjazdem zdarzył się z majorem pewien incydent, o którym szerzej opowiada w swej książeczce o „Słowackim w Poznaniu" prof. Wojtkowski. Incydent był w związku z zarzutami majora do dawno zmarłego ojczyma Juliusza do dr. Bécu adresowanymi*). Wpakowano kiedyś tego doktora Bécu do

---

*) Dr Bécu był profesorem patologii i higieny na uniwersytecie Wileńskim i przyjacielem dziekana X. J. Mickiewicza, stryja poety. Na Litwie miał wielkie zasługi pierwszy propagując ochronne szczepienie ospy. Napisał dzieło o wynalazku dr Jennera. Aby dostać szczepionkę w Wiedniu, musiał starać się o poparcie imperatrisy Marii Fiedorowny. Dostawszy, dzięki jej protekcji, zaczął przesadzać w ugodowości i serwiliźmie, jak zresztą wielu profesorów. Ospę szczepił całej młodzieży, więc także Filaretom i Filomatom. Poślubił wdowę po prof. E. Słowackim, i tym samym stał się ojczymem Juliusza. Mickiewiczowie, stryj-dziekan i poeta, bywali często w domu gościnnym prof. Bécu Tym boleśniej odczuł Słowacki wpakowanie ojczyma w arcydzieło, tym niesprawiedliwsze, że znacznie jaskrawszym ugodowcem był np. rodzony brat Adama, prof. uniwer. w Charkowie. Franciszek Mickiewicz...

„Dziadów", najniepotrzebniej upokarzając najdotkliwiej biednego bezbronnego, a chorobliwie ambitnego rywala. Przypomnienie tego ojczyma przypadkowe Słowackiemu w rozmowie przez sympatycznego majora gospodarza było jeszcze jedną kroplą goryczy do kielicha udręczeń i rozczarowań, przepełnionego przez naoczne oglądanie tego, jak się tu tragicznie „Wiosna Narodów" kończyła...

Odprowadzał wielkiego Poetę Polski do karetki pocztowej, która go miała wieźć do Wrocławia, już tylko jeden jedyny młody prymaner, Bukowiecki Juliusz.

Tego 10 maja bowiem Poznaniacy tyle mieli ciężkich sensacyj! (8 maja napad Prusaków na Rogalin)! Tylu „insurgentów" rannych z pod Wrześni, Sokołowa, Książa przywożono do lazaretów, tyle pogrzebów, tak wielka depresja ogarnęła wszystkich, że kto tam mógł myśleć o odprowadzaniu i żegnaniu Wieszcza..., który jeszcze był wtedy tylko przeciętnym literatem „panem Słowackim".

Reasumujmy. Z historycznej perspektywy pobyt miesięczny Poety w Poznaniu był nikły, nijaki, a właściwie szary i smętny. Gdzież tu porównać z efektownym, wspaniałym, dekoratywnym występem Brata Adama w Rzymie, z czerwonymi sztandarami na tle Colosseum, z nietyle audiencją, ile wizytą u Papieża! z tylu melodramatycznymi scenami „al fresco"! z tymi ciągłymi „tryumfami"! Kiedy Mickiewicz pisze do przyjaciółki Konstancji (w omal przez sto lat ukrywanych listach): „żaden monarcha tak nie był przyjmowany". to Słowacki (za bezbożnika czy heretyka obmawiany) skromnie do swej biednej matuleńki 10 maja:

„Wola moja z dopuszczenia Bożego spełniła się...
„Oczy moje łez pełne, sercem odpowiedzialność przed Bożą Męką wielką czuję.
„Ostrzegamy przez Boga we wszystkim" itd.

Kiedy lekturą Słowackiego w Poznaniu było stale (jak to stwierdza dr Wojtkowski) Pismo Święte, Brat Adam zrywa z Kościołem, występuje przeciw ziemskiej władzy Papieskiej, idzie na index, popada w sprzeczność z dogmatami katolickimi, wpada w konflikt dozgonny ze Zmartwychwstańcami (których sam ongiś powołał do istnienia), po czym niestety, znużony tym lucyferycznym Kordianowym szamotaniem się, rzuca to wszystko, zostawia „ukarabinioną Cyganerię" na pastwę srogich losów, wraca do Paryża, pisząc lekko do Konstancji: „lecz w Paryżu główny trud". Tam montuje, mówiąc szczerze, rewolucyjno-komunistyczną „Tribune", by zresztą po przebrnięciu swego ideowego i myślowego „Czerwonego Morza" lądować w... skrajnym Bonapartyzmie i w... Arsenale. Ta era Rzymu i „Trybuny" w żywocie Wieszczowym wzbudziła za naszych czasów fanatyczny entuzjazm „uczonych w Piśmie" prof. Biegeleisena („Mickiewicz jako rewolucjonista) i redaktora Haeckera (wstęp do polskiego wydania „T r i b u n e d e s P e u p l e s"), tak, jak znów Towianizm Wieszcza szczególnie entuzjazmował pp. Muttermilcha i Baumfelda...

Słowacki z góry nie wierzył w wyzwolenie Polski przy pomocy Legionu włoskiego, i wyraźnie zaznaczył, że „miejsce Mickiewicza jest nie we Włoszech, lecz na ziemi polskiej". W myśl swojej dewizy — „pójdę gdzieindziej i lud pójdzie za mną" — choć ciężko już chory, poszedł w Wielkopolskę, znalazł się wśród walczących orężem, aby dodawać ducha i w miarę sił zamierających kierować ruchem. Eskapadę rzymską,

która pochłonęła 100 000 franków, a skończyła się fiaskiem i kompromitacją, uznawał z góry za „drogę kłamną".

Na tę wiosnę roku 1848 znów nabierał przedziwnej aktualności pewien dawny wiersz poety-żołnierza, Maurycego Gosławskiego, napisany „podczas wojny narodowej" 13-go czerwca 1831 do Mickiewicza „bawiącego w Rzymie":

„Zbudzony tej pieśni echem
Śpiesz, dalekie rzucaj Rzymy,
Śpiesz, bo jeśli zwyciężymy,
Wstyd będzie bez zasługi polskim tchnąć oddechem.
Jeśli padniem pod gruzami,
Wtedy w gorzkich łzach boleści
Niewart grobu dzielić z nami,
Kto nie dzielił krwi i cześci."

Juliusz Słowacki pospieszył. Nie wiele tam i zdziałał nasz Ariel, bo resztkami sił żywotnych, mało znany, mało znaczący zdziałać wiele nie mógł. Bóg „w skutkach nie pobłogosławił" — skarży się do Stattlera. W każdym razie ani ludzi ani pieniędzy nie roztrwonił i kompromitacją się to, jak w Rzymie, nie skończyło. W sumieniu spokojny umierać mógł w ramionach towarzysza wyprawy poznańskiej, bohatera spod Miłosławia a późniejszego arcybiskupa warszawskiego Szczęsnego Felińskiego.

O Wielkopolanach do jedynej ukochanej, do matuchny, pisał prześlicznie, może egzaltując, może idealizując, ale wzruszająco:

„Lud zarodem epoki nowej" „ma wielkość Leonidasową i Napoleońską."

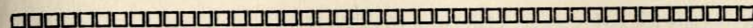
„Miesiąc ten życia mojego pełny cudów. Spotkałem się z ludźmi, z którymi spotkanie się było życia mojego zadaniem..."

Tak pisał po miesiącu pobytu z małego pokoiku na Piekarach, nie doznawszy od ludzi tamtejszych specjalnie nic dobrego, nic owacyjnego, nie znalazłszy ani akolytów ani Maecenasów.

Brat Adam osiemnaście lat temu przebywał osiem miesięcy w Wielkopolsce, w Poznaniu trzykrotnie. Noszony był na rękach. Zyskał sobie swym niepospolitym urokiem osobistym moc wielbicieli, wielbicielek, Maecenasa (E. Raczyńskiego), nakładcę (Muncka), przyjaciół, i przyjaciółkę dożywotnią. Normalną pospolitą wdzięcznością atoli nie odpłacił. W listach do Konstancji Łubieńskiej wyraża się przykro, kostycznie, nawet... zmorowato. O całym swoim pobycie w Wielkopolsce syntetycznie wypowiada się raz i to po francusku: „une existence animale ou plutôt vegetale dans le foret de Posen". Pochlebne to i miłe do słuchu nie jest ani dla współczesnych, ani dla potomności. Że zaś ta „existence animale" przypadła na czas powstania Listopadowego i „wojny narodowej", przeto jak tę „existence vegetale" pogodzić z listem do Lelewela z 23 maja 1832 i wzywaniem imienia nadaremno: „Bóg nie pozwolił mi być uczestnikiem jakimkolwiek w tak wielkim i płodnym na przyszłość dziele"?...

W wielkim i płodnym dziele Powstania w r. 1848 Bóg (nie „tego stworzenia co pełza") Juliuszowi Słowackiemu uczestniczyć pozwolił.

Czas tedy, aby stała się sprawiedliwość i dług wdzięczności dzielnicowej był Mu wypłacony.



CZARNA SUKIENKA



Tak zwano pannę Sczaniecką w Warszawie przez cały rok 1831 aż do września, do kapitulacji.

Pierwsza wyrwała się do zrewoltowanej stolicy dziedziczka z Kórnika, Działyńska z domu, zamężna Potocka, niedawno poślubiona hrabiemu Bernardowi, synowi tego co nieco wariata a co nieco genialnego Jana Potockiego z Ukrainy, wojażera i romanciera, co się sam życia pozbawił z melancholii w swojej Uladówce.

Comtesse Claudine pierwsza zgłosiła się do grona tych pań, które porzuciły salony a wobec i powstania i cholery (morbus) równocześnie przeszły do szpitali i lazaretów i zapisały na Szarytki. Przewodziły wśród nich: powieściopisarka Hoffmanowa, magnatka Biszpingowa, pułkownikowa Sowińska, ordynatowa Zamoyska, excentryczna panna Teresa Kicka z Pałacu Karasia; pracowało kilkadziesiąt a potem kilkaset pań i panien „z miasta".

Roboty było moc od świtu do zmierzchu. Kiedy panna Sczaniecka przyjechała i natychmiast zgłosiła się do znajomej sobie rodaczki dzielnicowej, szpitale już były pełne. Siostry Miłosierdzia, ubrane w swoich szarych szatach, panie i panny rozmaicie. Panna z Pa-

kosławia od razu stanęła do służby w czarnej sukience. I w takiej czarnej tualecie została już lat... 66 (sześćdziesiąt sześć), albowiem Opatrzność tak długi żywot jej przeznaczyła: lat dziewięćdziesiąt i dwa.

W Warszawie tempore belli jej raczej zapowiadało się krótsze życie, bo taka była chudziutka i szczuplutka, nie zaradna, spłoszona i przerażona straszliwością tragedii wojennej; nadto przecież sierota i bez rodziców chowana omal od dzieciństwa. Mocniejsza od niej hrabina Klaudia zaopiekowała się panną z Pakosławia i wtajemniczyła ją w pierwsze sanitarne zabiegi. Przede wszystkim trzeba było obciąć sobie włosy. Sto lat temu uchodziło to albo za nieprzebaczalną figlarność i paryskie zalotnictwo, albo było oznaką przeżytej tragedii np. po stracie męża. W tym wypadku tak u Klaudii jak u Emilii oznaczało się zrzeknięcie się wszystkiej kokieterii i światowości, poświęcenie, ofiarę, no... i żeby fryzowanie po prostu nie zabierało czasu w pracy samarytańskiej.

A ta szpitalna praca to jednak były nie przelewki, coraz cięższa. Rannych lekko i potwornie, kulami podziurawionych jak rzeszota, przewożono we wózkach i wozach wprost kopami Spod Stoczka, spod Serocka, z Brudna i z Saskiej Kępy, spod Wawra, spod Dębego Wielkiego czy spod Ostrołęki. Czy wygrana czy przegrana, zawsze rannych było co niemiara, niekiedy jakby stosy leżących wzdłuż i w poprzek, a czasem i choleryczni wśród rannych. Na początku to nie dobrze się robiło ziemiańskim córkom, wychowanym po pałacach i dworach; kilka razy nawet je zemdliło od fetoru cielsk pokiereszowanych i krwi krzepnącej. Ale z czasem się oswoiły i już w kwietniu pracowały bez obrzydzenia, szybko i wprawnie. Bywało, że trzeba opatrywać i rosyjskich żołdaków, Kozaków i Czerkiesów, ale bywało, że i polskim najwyższym szarżom trzeba było rany kartaczowe przemywać. Chłopicki generał sam miał raz mocno potrzaskane nogi, a znów generał Prądzyński ze zgryzoty z powodu tych kłótni i sporów generalskich aż się i pochorował.

Poznanianki obie były ciągle razem. Pokochały się i zaprzyjaźniły jak dwie rodzone siostry, jak bliźniaczki. Jedna nosiła medalion z miniaturą drugiej na łańcuszku. Razem popłakiwały z radości, gdy było gdzie zwycięstwo i razem popłakiwały, gdy już od sierpnia zaczynały się klęski jedna po drugiej, gdy cywilne gaduły sejmowe w komisjach mieszały się do strategii lub gdy antypatyczny „Krukowiec" został naczelnym wodzem. Razem też służyły wszystkim paniom i pannom z lazaretów za wzory skrupulatności, punktualności, porządku, czystości, co szczególnie w pawilonach dla choleryków odgrywało rolę.

Panna z Pakosławia miała oprócz zmartwień, wszystkim patriotkom wspólnych, jeszcze bolesną troskę całkiem osobistą...

Gdzieś tam na Północy, niewiadomo już gdzie, aż na Litwie przy sztabie w dywizji generała Chłapowskiego (Napoleończyka) lejbmedykiem naczelnym był człowiek, dla którego żywiła bezgraniczny kult. Może było w tym i jakieś rodzące się uczucie innej natury, ale w każdym razie dla działacza, dla ideowca, dla mówcy i dla cudotwórczego lekarza był kult. A ten lekarz o dość pospolitym nawet nazwisku (Marcinkowski) był akurat w samym centrum cholerycznego dopustu Bożego i przy dywizji najbardziej naciskanej, skąd zaczęły już dochodzić wieści hiobowe, że będą musieli przejść pruską granicę, żeby się ratować i muszą złożyć broń przed wrogiem.

Ale tymczasem i pod Warszawą już się psuło fatalnie. 18 sierpnia już byli Moskale pod Nadarzynem w Błoniach, w Piasecznie pod Ostrołęką klęska, pod Wawrem operacje niewydarzone, na szosie Brzeskiej panika. Skrzynecki zdegradowany, Rosen pod samą Pragą, a wreszcie w pierwszych dniach września szturmy, 6 września dwugodzinne zawieszenie broni, wreszcie kapitulacja.

Co te dwie młode Poznanianki przeżyły wtedy w Warszawie, można sobie wyobrazić. Już im z tego powaga, przygnębienie i trwały smutek pozostały na całe życie. Warszawę zalała dzicz zwycięska i generałowie rosyjscy, prawie wszyscy z niemieckimi nazwiskami. Trzeba było starać się o pozwolenie wyjazdu i wydobycia się z piekła. Dopomóc musiała ta, która wszystkim wtedy dopomagała: z Rzewuskich Sobańska Karolina (Mickiewiczowska, Krymska). Biograf wyraźnie pisze: „po wzięciu Warszawy ułatwiono im wyjazd za pośrednictwem i wpływem gen. Witta..." (Benzelstjerna Engeström). A tenże sam hrabia Skarbek, który potem demoniczną Rzewuską ostro w komedii obsmarował („Laura")*) w Pamiętniku swoim (199 strona) tak Warszawę z tych dni wrześniowych opisuje:

„...ze znaczniejszych mieszkańców nikogo po ulicach, wszyscy w domach swoich zamknięci. Jedynie Żydzi w świątecznych sukniach (bo była sobota) z wesołymi twarzami przechadzający się swobodnie po mieście..."

*) Sam się do tego w swoim Pamiętniku przyznaje w słowach: Stosunek ten (Sobańskiej do de Witta) nastręczył mi myśl napisania komedii w 3 aktach pt „Laura", którą po trzechkrotnym jej wystawieniu w r. 1833 na scenie Teatru Warszawskiego zakazano.

Wyjeżdżały obie w jednym powozie, tak jak zresztą na jednym wózku wyjeżdżali wtedy dwaj bracia Mochnaccy z... Al. margrabią Wielopolskim. A po drodze jeszcze miały incydent, przez Engeströma opisany:

„W tej chwili Żyd jakiś spostrzegłszy wyjeżdżających gromadkę i domyślając się uchodzących, począł wskazywać na nie, krzyczeć, grożąc pięściami i obsypując obelgami. Wobec tego, widząc zagrożone kobiety, oficer rosyjski odpędził napastnika Żyda i szedł przy powozie i odprowadził bezpiecznie za rogatki."

I teraz stanęło przed Klaudią Potocką i Emilią Sczaniecką szeroko rozwarte życie. Dla jednej bardzo już krótkie, dla drugiej niezwykle długie, dla każdej smutne, ofiarne, bezprzykładnie piękne.

Klaudia przepędziła tych lat niewiele na wyżynach wśród ludzi szczytowych, oddana filantropii, w służbie emigracji, ale wzamian za to przynajmniej otoczona dziękczynnym uwielbieniem wprost jak święta. Tak w Dreźnie jak i w Paryżu otaczały ją najwyższe duchy i intelekty polskie, generałowie, dyplomaci, poeci. I opiewali jej ofiarnictwo, wierszem i prozą: Garczyński, Lenartowicz, Pług, no a przede wszystkim i najentuzjastyczniej Mickiewicz, którego jej niewysłowiona anielska dobroć „godziła z rodzajem ludzkim". Po jej śmierci (1846) elita emigracyjna jeżeli już nie przybrała żałoby, to w żałobie i rozpamiętywaniu jej świętości długie miesiące przepędzała.

„Czarnej Sukience" długie dziewięćdziesięciodwuletnie życie przeszło znacznie poziomiej i prozaiczniej. Najpierw musiała borykać się z rządem pruskim, który bohaterskiej sierocie chciał cały majątek skonfiskować i tylko dzięki interwencji samego króla zaprzestano szykan i represyj. A potem się zaczęła sza-

ra, normalna codzienność. Tak intelektualnie, tak pod względem erudycji światowo-literackiej, jak i w wyrobieniu artystycznych gustów i smaków panna z Pakosławia nie osiągnęła tej wyżyny, na której świeciła i olśniewała „Druidessa“ Klaudyna. Jeżeli Potocka była biblijną Marią, obmywającą broczące krwią rany „Polski ukrzyżowanej“, to Sczaniecka była Martą, zmuszoną „troszczyć się około wiela“. Klaudia przesunęła się przez nieboskłon historyczny jak meteor, Emilia musiała stale świecić ożywczym jasnym światłem.

Pozostała w swym Pakosławiu sama z intencją i z planem, aby ze swego dworu zrobić takie ognisko kulturotwórcze, jak Kórnik, jak Turwia Chłapowskich, jak Miłosław Mielżyńskich, jak Oporowo Kwileckich. Gospodarowanie na wsi wyrobiło w niej męskie zalety raczej i z femme forte z biegiem lat stała się nawet hic mulier. Wolała raczej towarzystwo mądrych mężczyzn, niż pięknych kobiet.

Wśród najbliższych jej przyjaciół i doradców obok Feliksa Wizego był oczywiście i doktór Marcinkowski od czasu jak powrócił z za granicy. Omal cztery lata nie było go po powstaniu w Poznaniu. Wypuszczony z więzienia magdeburskiego, jakiś czas przebył w Paryżu, a potem w Anglii. Zawsze mu tę Anglię zalecał jego wódz Dezydery Chłapowski, który sam tam półtora roku przepędził i anglomanem gorącym potem został. Takim też wrócił i Marcinkowski, pełen mądrych doświadczeń, pomysłów i inicjatyw. W realizacji tych jego nowych zamierzeń dopomogła mu teraz i „Czarna Sukienka“ z Pakosławia.

Musiała często bywać na Starym Rynku nad apteką Kolkowskiego, w skromnym mieszkanku, gdzie się zbierali wszyscy społecznicy poznańscy, pierwsi pozytywiści i organizatorzy, księża, ziemianie, kupcy, rzemieślnicy, a bywało, że i chłopi. I zaczęła powstawać ta stalowa sieć solidarności, która potem spięła w jeden blok całą społeczność wielkopolską, jej pierwsze associacje kulturalne, związki oświaty ludowej, kółka włościańskie, towarzystwa pomocy naukowej najpierw dla mężczyzn, a potem dla dziewczyn miejskich i wiejskich.

W tym wszystkim czynny udział brała amazonka z Pakosławia. Już to wtedy nie raziło, że kobieta się miesza do poważnych męskich przedsięwzięć. Wielka apostołka emancypacji z Warszawy, Żmichowska, dwa lata przemieszkała u Turnów w Objezierzu i stąd swoje nowinki reformatorskie musiała szerzyć i Wielkopolankom dodawać otuchy i bodźca. Panna Sczaniecka hojną ręką na prawo i lewo wspomagała wszystkie powstające instytucje. Mocną znów ręką prowadziła regime w swoim Pakosławiu, ale dzięki temu mogła być rozrzutną szafarką dla publicznego dobra, żyjąc sama po abnegacku, całe życie w „czarnej sukience“. Bazar, który stał się twierdzą polskości także i jej szczodrobliwości zawdzięcza swój początek.

Z najbliższymi rodakami nie zawsze bywała w świętej zgodzie. I jej czasem też rzucano kłody pod nogi. Z olbrzymiej korespondencji z rodziną, drukowanej w krakowskim „Przeglądzie Polskim“, przyszły monograf będzie mógł dopiero ocenić i ogarnąć tę niepospolitą indywidualność. Jeżeli Sczaniecka niektórymi rysami przypomina angielską Florence Nihtingalle, to Klaudyna raczej Elżbietę Barret-Browning. Potocka żyła i umarła w poetyckim, romantycznym Pięknie, Sczaniecka z poziomej, prozaicznej rzeczywistości wydobywa mozolnie moralne Piękno społeczne.

WEITZMAN, HABER, LIPPOWITZ & COMP.



Lloyd George w swoich słynnych pamiętnikach wojennych (War Memoirs) opowiada z roku 1915 taki szczegół, że kiedy armia angielska stanęła wobec wielkich trudności amunicyjnych, zwrócił się o radę do swego przyjaciela mr. Scotta (redaktora „Manchester Guardiana"):

„Wyjaśniłem mu zagadnienie, które zaprzątało mi głowę, że jestem w poszukiwaniu jakiegoś doskonałego chemika, zdolnego do rozwiązania tego zagadnienia. Scott odpowiedział mi na to: Znam pewnego profesora chemii Uniwersytetu w Manchester, kogoś bardzo odpowiedzialnego, który będzie gotów służyć rządowi. Trzeba panu wiedzieć, że jest urodzony w ziemi n a d w i ś l a ń s k i e j, nie jestem pewien dokładnie w jakiej okolicy. Jego nazwisko jest Weitzman."

Chodziło o spirytus drzewny i o aceton. Profesor Weitzman rodem z Pińska, natychmiast zabrał się do pracy, w kilka miesięcy armia angielska już miała wszystko potrzebne, a nadto i pierwsze gazy, takie jak Niemcy. Jako nagroda: deklaracja Lloyd George'a dla wszystkich interesów rodaków Weitzmana.

W Niemczech podobna rola dziejowa przypadła prof. Haberowi. Do niego zwrócił się znów Walter Rathenau. Armia niemiecka potrzebowała saletry, nitro-

gliceryny, nitrocellulozy Glicerynę otrzymywano z cukru, a cukier zastąpiono sacharyną Prof Haber prowadził olbrzymie zakłady „Badische-Anilin-Soda-Werke", gdzie otrzymywano azot z powietrza i amoniak syntetyczny Wraz więc zaczęto w laboratoriach „Chemicznego Instytutu Wilhelmowskiego" w Berlinie badania nad dostarczeniem armii potrzebnych surowców chemicznych. Nawozy sztuczne dla rolnictwa już były. Prof. Haber pośpieszył z ochotą ku pomocy W. Rathenaua. I dostarczył czegoś więcej, a mianowicie gazów.

Dwadzieścia lat temu najpierw w kwietniu (??), potem w lipcu debiutowały gazy pod Ypern. Padło od razu 15.000 żołnierzy francuskich i angielskich. Głównie szły w bój kombinacje z chlorem w trzech gatunkach zasadniczych: gazy drażniące, czy duszące i gazy przepalające skórę i wywołujące gangrenę w ludzkim ciele. Na debiut tych gazów na froncie wschodnim pod Łodzią przyjechał sam genialny wynalazca, aby przyjrzeć się działaniu z bliska. Opisuje to ze zgrozą jeden ze sztabowych oficerów pruskich. Opis, tłumaczony na polskie, jest w jednej publikacji o gazach.

Podczas gdy Anglia ze stokrotnym procentem opłaciła dług wdzięczności prof. Weitzmanowi, to jego wielkiemu współwyznawcy, laureatowi Nobla (1919), za ten wspaniały wynalazek wojenny Niemcy nie odpłaciły niczym, a wprost przeciwnie z nastaniem hitleryzmu demonicznie genialny chemik musiał nawet emigrować i zgorzkniały, opuszczony, zmarł w styczniu roku 1934 w Londynie wśród tych Anglików, których tyle tysięcy dzięki jego wynalazkowi przeniosło się na drugi świat.

Otóż zarówno Weitzman, jak i Haber, mieli prekursora swego „w ziemi nadwiślańskiej", tylko na bardzo małą skalę.

Natrafiło się na niego przypadkowo przy grzebaniu w źródłach historycznych i pamiętnikach, które miały dać podstawy autentyczności dla sztuki historycznej niżej podpisanego z walk wolnościowych Wielkopolski z r. 1848.

Tym prekursorem Habera i Weitzmana okazał się quidam i nequam Lippowitz.

Rodzina w ogóle stara, rozrodzona licznie i po całym świecie rozrzucona. Najsławniejszy jest chyba ten z licznych anegdot wiedeńskiego humorysty Roda-Roda „Dieser Schelm der Lippowitz". Równie znanym był wydawca i redaktor „N. Wiener Journalu". W ogóle dużo stosunkowo Lippowitzów pęta się w prasie światowej („Weltpresse"). O ile wiadomo aryjskiej gałęzi, czy też aryjskiej odmiany tego nazwiska, nie ma. To też i nasz Lippowitz, antycypacja Weitzmana i Habera, zdaje się z Aryjczykami nie miał nic wspólnego. Świadczy o tym zresztą jego niesłychana ruchliwość, rzutkość, pomysłowość, wreszcie jego... plaitowość.

Z profesji był właściwie, jak to mówią, farmaceutą. I do tego aż w Lesznie (Lissa). I do tego bardzo dawno, bo akurat sto lat temu. Ale znudził się rychło i aptekarstwem i Lesznem, przeniósł się do Poznania i tu „chycił się" czegoś bardzo nowego, najnowszego. W Paryżu zaczęły być bardzo modne świeżo przez chemika Daguerra robione obrazki z pomocą promieni słońca. Założył więc w tak zwanym „Ogrodzie Żychlińskiego" pierwszą pracownię daguerrotypową (1844). Naprzód się to Poznaniankom podobało, ale z czasem ochłodły, bo daguerrotypy nic nie „upiększały". Lippo-

witz ledwie wiązał koniec z końcem i z początkiem. A tu nadchodziła właśnie „Wiosna Narodów“ i powstanie wielkopolskie jedno po drugim, w Berlinie „demonstracje i konstytucje“, a od marca r. 1848 Polacy górą i en vogue. W Berlinie na rękach obnoszeni, a w Poznaniu od stóp do głów uzbrojeni, no i niby „witaj jutrzenko swobody“.

Izraelici, których wtedy w niektórych miasteczkach (Września, Swarzędz itp.) było wcale sporo, zachowali się na początku bardzo życzliwie i dla polskiej emancypacji przychylnie, „propolnisch“. Wydali nawet odezwę, obiecującą współpracę i pomoc czynną. Po prostu same Jankiele (Z „Pana Tadeusza“) i Berki Joselowicze. W przeciągu pięciu tygodni atoli mocno się zmienili „na dezawantaż“. Pamiętnikarz, przezacnej pamięci prezes Szuman, pisze na ten temat (str. 76):

„W miarę przecież, jak sprawa reorganizacji paczyć się zaczęła i przybierać mniej korzystny dla Polaków obrót, Żydzi usuwać się zaczęli od wszelkiego współudziału, przechodząc następnie do obozu wyraźnych przeciwników reorganizacji, aż w końcu oni głównymi stali się inicjatorami demonstracyj ulicznych, kociej muzyki, wyprawionej generałowi Willisenowi i ohydnych scen obrzucania błotem i plucia na bezbronnych więźniów, których oddziały wojskowe, po rozbrojeniu lub wzięciu w niewolę, pobitych powstańców do Poznania przyprowadzały.“

Równie surowo taktykę Izraelitów wobec pokonywanych Polaków osądza inny pamiętnikarz Wł. Trampczyński, który pisze:

„Nad ranionymi pastwili się żołnierze pruscy, a szczególniej Żydzi z pobliskiego miasteczka Wrześni“...

Toż samo stwierdzają inni. Ponieważ generał Willisen, liberalista przysłany był z Berlina do Poznania jako reorganizator Wielkopolski w myśl postulatów polskich i demokratycznych, przeto zaraz po klęskach Polaków i upadku kursu liberalnego, a nawrocie do reakcyj, cała furia szowinistów, junkrów, landratów zwróciła się przeciw gen. Willisenowi. Urządzano przeciw niemu demonstracje, pochody, wygłaszano mowy, aranżowano „kocie muzyki“ przed oknami jego kwatery. Na czele tego stał K a t z, starozakonnik Katz. Wreszcie Willisen został odwołany i usunięty i zaczęła się era dzikich represyj, gwałtów, prześladowań i soldateska.

I wtedy to na widownię dziejową występuje, a raczej wyłazi, „dieser Schelm der Lippowitz“.

Zbańczywszy (splaitowany) na daguerrotypach, zgłasza się ten typ do komendanta Poznania „generał porucznika“ papy Steinaeckera z pewnym pomysłem. Papa ma instrukcje z Berlina, aby po skandalu z dewastacją Rogalina, dla uciszenia wzburzonej opinii publicznej postępował z rewolucjonistami i „insurgentami“ możliwie łagodnie. Zresztą nie tak dawno przecież, bo 5 tygodni temu, jak omal przyjmował defiladę Legii studenckiej i byłych więźniów z Moabitu, wkraczających do Poznania.

Tymczasem jednak teraz, w maju, wypuszczeni z więzień rebelianci znów z powrotem szli w lasy, łączyli się w kupy i zaczepiali po drogach i po miasteczkach niemiecko-żydowskich nową gwardię bezpieczeństwa, tzw. freikory, i raz po raz dawali Szwabom łupnia. Jak tu ich odróżnić od spokojnych obyfateli polskich, jak ich wyłapać, jak parszywe owce rewolucyjne oddzielić od łagodnych baranów?

I wtedy do komendanta twierdzy zgłasza się „dieser Schelm der Lippowitz“.

On jest chemik i on jest kepełe, on zrobił wynalazek. Wynalazek jest piekielny, bo z kamienia pie-

kielnego taki rozczyn, którym będzie można piętnować jeńcom lewe ucho — i lewą rękę. Lippowitz demonstruje, a generał Steinaecker wreszcie akceptuje, nie bez moralnych restrykcyj, bo papa był z typu raczej Säbelschlepper, niż „Leichenschänder und Sadist dazu".

Zaczyna się polowanie za jeńcami i powstańcami, nie chcącymi wracać do domów. Goliło im się głowy do połowy (wróciła taka moda „staropolska" dziesięć lat temu), a potem wypalało znaki, a skutek był taki jak... po... gazach prof. Habera.

Historyk C. Frankiewicz stwierdza: „wskutek tego wypalania tworzyły się rany, które wobec braku opieki lekarskiej przechodziły w gangrenę i powodowały śmierć napiętnowanych". I musiało z tym procederem nieludzkim zajść już dość daleko w następstwach, skoro arcybiskup Przyłuski w memoriale — liście do ministra spraw wewnętrznych, hr. Schwerina, pisał:

„Przybył generał Pfuel jako nowy zwiastun pokoju i organizator prowincji, a pierwszym jego czynem było rozszerzenie stanu oblężenia z miasta na całą prowincję. Drugim czynem był zupełnie nowy wynalazek: naznaczyć w boju pojmanych Polaków na uchu i ręku kamieniem piekielnym..."

Upłynęło kilka tygodni, zanim jakiś młody chemik polski wynalazł antidotum na żrącą miksturę Lippowitza.

Jakie honorarium judaszowskie dostał poprzednik Haberów i Weitzmanów za swoją ciecz piekielną i palącą, niewiadomo, ale w każdym razie musiało być wielkie, skoro w jakiś czas potem założył pierwszą znów fabrykę nawozów sztucznych, oczywiście nie

tak genialnym wynalazkiem wydobywanych, jak to Haberoskie, z powietrza.

Że atoli maleparta idą do czarta, więc i Lippowitz wyszedł tak na nawozie, że wnet się znalazł pod wozem, bo znów zbankrutował i gdzieś — w ogóle przepadł.

Habent sua fata Lippowitze.

POSEŁ LIPSKI



a Behrenstrasse mieszkał tam gdzie róg Mauerstrasse i Kanoniergasse, na pierwszym piętrze. U normalnej berlińskiej Hausfrau wynajmował gute Stube, pełną robótek ręcznych (Schmücke dein Heim!) zwyczajnie, jak i inni posłowie, koledzy, którzy w tej wiośnie nad wiosnami zjechali do rozbuchanego, zrewoltowanego, rozczerwienionego, omal już purpurowego z politycznych pasjów i furorów Berlina. Mieszkał, ale w domu na kwaterze prawie wcale nie bywał. Tyle, co na spanie. Schlaffstelle. Miał tu niby pisywać coś tam; na biurku gospodyni przygotowała skrupulatnie Schreibzeug; gęsie pióra, ciecz czarną z gallasówek, libra papieru. Ale jakoś nic nie pisywał, tylko światami gonił, tak zresztą jak i cały Berlin, który od marcowych dni po prostu nie schodził z ulic, nie wracał do domów, byle tylko naocznie widzieć wszystkie spektakle i krawalle, hece i wiece, illuminacje i katzenmusiki, a może i szarże grenadierskie? i płazowanie szablami rozwydrzonych „obywatelów“ i aresztacje? a może i trupy na trotuarach? albo nawet te zabawne barykady?

Wszyscy mężczyźni wracali w marcu bardzo późno do domów, prawie zawsze dopiero przed północą.

Knajpy, restauranty i „zelty“ bywały przepełnione do ostatniego stołu. Wychlapywano całe wagony Weissbieru, dyskutowano, kłócono się zajadle, a często dochodziło do radau‘u i mordobicia na tle nieporozumień w takich kwestiach, jak np. czy „von Gottes Gnaden“, czy też z łaski ludu panuje i gubernuje J. K. Mość?

Poseł Lipski, Adalbert, Odolanów, dominum Lewkowo, rzadko też wracał przed północą. Czasem przyjeżdżał „einspännerem“, czasem go odprowadzała grupa rodaków, i jeszcze przed bramą długo gadali i krzyczeli, dopóki jakieś okno na drugim, śpiącym piętrze, nie otwarło się z trzaskiem i wrzaskiem: „Polen raus! Still da Saubande! Donnerwetter! Verfluchte Schlawacken!“

Ale czy można się dziwić było posłowi von Lipski, że wracał tak późno i że go w domu właściwie nigdy nie było? Absolutnie: nie... Ileż bo spraw piekących miał wtedy każdy obywatel, deputowany czy to do Frankfurta (Bundestag) czy to do Berlina (National-Versammlung)? Przecież cały świat dokoła wyszedł z zawiasów! W Paryżu awantury, w Wiedniu, w Brukseli, w Budapeszcie, w Krakowie, w Pradze, nad Renem, nad Wisłą. Nie pozostał też w tyle i Poznań, a za Poznaniem zapoznane najbardziej gniazda w Wielkopolsce, jak Śrem, Kcynia, Oborniki, Mosina, Miłosław. No i wszyscy wszędzie od razu ubierali się w kokardki, kordelasy za pasem, „Flinte auf dem Buckel“, chorągwie, sztandary, transparenty, kosy (!) i dalejże rewolucję robić, z kazamatów kryminalistów (politycznych)! wypuszczać, a król, żeby wychodził na balkon, gadał do narodu, a przed obywatelami „Hut ab!“ (chapeaux bas!). No i zaraz oczywiście swobody, wolności, zrzeszanie się, powszechne głosowanie, delegacje, konstytucje, oracje, mowy, pochody, manifestacje, sło-

wem — „polnische Wirtschaft“ i „noch ist Polen nicht verloren!“

W Berlinie tym razem poszło już na wielką skalę. Królowa kazała królowi, żeby był liberałem i demokratą, i słuchał tego, co mu radzą profesorowie uniwersytetów, Polacy i węglarze (Carbonari). No, i król usłuchał, popuścił cugli, księcia Wilhelma (co potem awansował na „starego cesarza“), wyprawił do Londynu. Sam trzymał mowę z konia do profesorów, salutował pogrzeb ofiar marcowego „przełomu“ przyjmował raz po raz deputację w „Białej Sali“ na Zamku, potem zaś dał tę taką konstytucję, a Polakom naobiecywał różnych różności, przywileje, szanowanie „Traktatu Wiedeńskiego“, „Grossherzogthum“ itp. W ogóle zresztą ci Polacy od końca marca omal do końca... kwietnia byli, co się zowie w modzie w Berlinie, i na samej górze (am Schloss) i u szarego człowieka u ludności popularni. Z Moabitu więźniom (Mirosławski und Waszlapski) konie od powozów odprzągnięto, na plecach ich wynoszono i w Aleje pod Lipami tryumfalnie buntowników poprowadzono: „Heil! Heil!“ (dir im Siegerkranz). A kiedy parlamentlik wreszcie otwarto, opinia szerokich kół ludności stolicy narazie z bardzo dużą sympatią odnosiła się do monologów i deklaracyj posłów polskich. Wśród nich także i posła Lipskiego.

Jakżeż mógł wtedy przesiadywać w swojej kwaterze na Behrensstrasse, kiedy tyle było w mieście i dla emocji, i do roboty. Ustawiczne zebranka, schadzki, konwentykle, sesje. U kolegi Potworowskiego w Hotelu Rzymskim — Centrum z Lewicą. To znowu konferencja z tymi z Prus Zachodnich wybrańcami: Franc Czapski, Pokrzywnicki, Jackowski (patrona ojciec). To znowu obywatel margrabia Wielopolski, ten co napi-

sał słynny „List otwarty" do Metternicha, przejeżdża przez Berlin i trzeba go obznajmiać z całą sytuacją parlamentarno-polityczną.

Dużo czasu zabierały Lipskiemu publicystyka i współpraca w „Reforme". Tego posterunku trzeba było strzec jak oka w głowie. Nie tak bardzo wiele dzienników stanęło w obronie nowego porządku (czy nieporządku), a jeszcze mniej orędowało polskim planom wyzwoleńczym i interesom aktualnym. Jedna tylko „Zeitungshalle" gorąco, „Nacjonałka" i „Tante Voss" półgębkiem. A tu już w świeżo założonej „Krzyżówce" (Kreuzzeitung) młody 35-letni junker ze Schönhausen paternostrował króla i ministrów i dwór, zęby szczerzył, i Polakom wymyślał całkiem tak, jak wściekły radca Wuttke (....z Lipska). Nasz Lipski utrzymywał stały kontakt z czerwoną ultra postępową „Reformą". Zapisał się bowiem i należał od początku do najskrajniejszych radykalistów. Nawet Bakunina się nie bał i z nim fraternizował, jak również stale ze słynnym Arnoldem Rugem — a w parlamencie zasiadł w klubie barykadzistów: Waldeck, Gerke, Wachsmuth, Rodbertus itp. Trzeba było bowiem, aby Polacy i tu i tam się asekurowali. Szumany i Mielżyński szli z umiarkowanymi ze środka, Augustus Potworowski (z Goli) z umiarkowaną konserwą, Alfons Taczanowski (Września) ze skrajną. W krąg ludzi z „Reforme" wciągnął Lipski i Cieszkowskiego arystokratę i Libelta filozofa, przygodnie nawet kanonika jednego... Sam był w każdym razie jaskrawo filopolskiej „Reforme" głównym i informatorem i instruktorem.

Dużo też czasu zabierały posłowi Lipskiemu miłe lokale w Alejach... Lipskich. Nie to, broń Boże, żeby specjalnie lubił knajpować, ale taka to już moda była, no, a szczególniej w periodach burzliwych, gorączkowych, wulkanicznych. „Czapką, papką i solą ludzie ludzi niewolą". Przy winie najlepiej się rozwiązuje gordyjskie węzły. Brygada polskich deputowanych stołowała się stale w „Rzymskim", ale zachodziła wieczorami tu i ówdzie. U Knorra, jak wiadomo, bywało mozelskie omal takie, jak u Anderschów („Pod Daszkiem" na Rynku Poznańskim). Różne protesty i odezwy do narodów i do ludów najlepiej układało się u Mielentza (Pod Lipami). Najwięcej z okien i z balkonów widać było spektaklów na ulicy u „Tietza" (róg Friedrichstrasse nad cukiernią Kranclera). Klaczkę fetowało się za jego słynny artykuł o „Hegemonach" u Mielentza pod Lipami. A znów obywatel Taczanowski Alfons, gdy chciał Niemców z magnacka uraczyć, to albo zapraszał na śniadanie w południe z szampanem u Trabracha (Gendarmerie - Markt), albo znów także pod Lipami, ale dla odmiany u Meinharda. A że jak wiadomo, tak radykały jak i konserwatysty, tak biali jak i czerwoni, tak demokraty jak i „majoratsherren" toasty lubią i cygara i likiery, więc się też te polityczne (konwinkujące) kolacje i obiadki przeciągały bardzo długo „Unter den Linden". Można by nawet coś mówić o nowych „Wieczorach pod Lipami"; tym bardziej, że właśnie też wtedy „Wieczory pod Lipą" patriotyczne (Siemieńskiego) tak sam Libelt wychwalał, no, a wolnościowe organizacje pobratymczych Czechów przybrały oficjalną nazwę „Słowiańska Lipa"...

Poseł Lipski (pogromca także i Wuttkiego z Lipska) z konieczności towarzysko-obywatelskich długie godziny przepędzać musiał w zacisznych (gemütlich) restaurantach przy Alejach Lipskich. I tak już omal przez cały rok 1848, aż póki... „ausgerechnet" znów „Lipską Bramą" nie wjeżdżali do Berlina srodzy generałowie Wedell i Moellendorf na czele dużych szwa-

dronów dragonów, huzarów, grenadierów, artylerii lekkiej, cięższej i bardzo ciężkiej.

Zabierały więc sporo czasu posłowi Lipskiemu te wszystkie zajęcia i mozoły (Intriguen) polityczne, obywatelskie, towarzyskie, tak, że niewiele mu już zostawało na to, co sobie postanowił i co mu się zdało najważniejsze. A tym było napisanie całej... broszury. Nastał bowiem moment (jesienny), w którym wszyscy z ekipy polskiej musieli wziąć się do pisania „anklageschriftów". Roger Raczyński: „Wer hat die Freiheit verraten?". Henryk Szuman: „Bureaukratie in Posen". O wandaliźmie soldateski w Rogalińskim pałacu pisał doktor Kraszewski (aus Tarków), ten sam, co to raz tak zbeształ na audiencji gremialnej królafilistra, choć go znów co prawda nie szarpał tak za guzik munduru, jak nie przymierzając poseł (dyrektor Landschafty) stary Brodowski. Nasz Lipski musiał więc zabrać się do pisania. Zawsze bowiem i notorycznie tęższym był działaczem, organizatorem, inicjatorem, kombinatorem, moderatorem, niż oratorem. W krasomówstwie brylował ognisty Kazio Kantak (fizyczne przeciwieństwo Cyrana). Dalej G. Potworowski (choć seplenił). Dalej Pokrzywnicki, Żółtowski, Stablewski (Erazm), wreszcie Trąmpczyński (Środa), mecenas a raczej „rzecznik" odkąd słowo adwokat spolszczył mecenas Krauthofer, sam się polszcząc na Krotoskiego. Takim mówcą (z Bożej łaski), jak Libelt, Lipski też nie był, ani jak Cieszkowski. Ale, że piórem dobrze władał więc wreszcie się zabrał do pracy, no, i tak powstały: „Beiträge zur Beurtheilung der Ereignisse im Grossherzogtum (!!!) Posen"...

Zebrało mu się bowiem na wątrobie, zebrało przez ten rok 1848. Tak się zakochał w marcu, i tak został zawiedziony już może w maju. Tak uwierzył we

wszystko tym Niemcom, szczególnie Czerwonym. Byłby się za ich lojalność i wierność porąbać dał w kawałki. Nie zachwiał jego ufności sceptycyzm margrabiego Wielopolskiego. Wykłócał się z doktorem Kraszewskim i jego „Timeo Germanos et donna ferentes". Ślepo wierzył w to, że Prusaki dadzą przynajmniej to, co powinni ściśle wedle Traktatu Wiedeńskiego. Wierzył i we Frankfurt i w Konwencję Jarosławiecką (pakt nieagresji) i we Willisena generała, w Schwerina ministra i w Jacobiego jakoby Żyda z Królewca, i w protekcję obywateli Hebrejów i w potęgę Carbonarów, i w słowa królewskie, i w nadchodzące ludowładztwo (plebejuchów). I w rychłą odbudowę lubej Ojczyzny i w przyjaźnie wieczyste z Niemcami, zawarte przy winie „Pod Lipami (im wunderschönen Monat Mai), wierzył ślepo i święcie poseł Lipski.

A tymczasem?

Was gelten Verträge, wenn man muss (...rebus hic stantibus)... Niechaj djabeł bierze przyjaźń na papierze.

Przyszła zima, Polski nima.

Zamiast niezależności W. Księstwa Poznańskiego — linia demarkacyjna, okrojenie, nowy podział, uchwalony przez Bundestag już w kwietniu, a przez „Parl-et Mente" już 26 lipca. Po liberalnym narodowym Willisenie generał „pfui Teufel": Pfuel. Kraków oddany Austrii, Lwów bombardowany, na Pragę, gdzie wonczas rezydował delegat Polaków „ausgerechnet".. Grzybowski, Windischgraetz wali z armat (niedawno tam był kongres pansłowiański). Do Berlina zaś wracał sobie spokojnie „prync Willem" z Londynu.

Jednego z Lipskich, co dowodził w powstaniu wielkopolskim plutonem (przy szwadronie Kirkora), poraniono srodze w bitwie pod Sokołowem. Na innych

dwóch braci Lipskich (ród bywał kasztelański, senatorski), napadły pod Łabiszynem zbiry z „freikorów" i masakrowały co wlazło.

Ale i na naszego posła, to też znów był taki zamach. Szczęśliwie, że uszło na sucho. Serio, czy nie serio, ale w każdym razie wieczorem, w październiku, na Behrenstrasse strzelono z vis-a-vis czy z ulicy, celując przez okno w biurko, przy którym niekiedy siadywał „der Herr Abgeordnete". Zanadto bo już był popularny w czerwonych kołach Berlina. Omal już drugi Mierosławski, faworyt... W krytycznych dniach likwidowania rewolucji, gdy już jedni zawiedli, a inni siedzieli w kozie, omało go vox populi nie postawił na czele przepietranych falang wzburzonego Berlina.

Zrządzeniem Opatrzności czy szczęśliwym trafem w dniu zamachu przebywał poseł poza domem. Może u Meinharda, może u Mielentza pod Lipami, a może w lokalu redakcji kończącej się „Reforme" dopisywał swą broszurę?

Musiał się w każdym razie śpieszyć ze swą „jaccuse" — rozżalony, rozgoryczony, ale po szkodzie mądry doświadczeniem poseł Lipski. Rok 1848 miał swe zenity, ale miał i nadiry (w październiku). Karnawał wolnościowy się kończył, a z nim i miodowe miesiące niewieczystej przyjaźni. Mimo stu racyj, stu argumentów, stu pro, rezultaty finalne okazały się fatalne.

INNY LIBELT



Pełny człowiek, kompletny, czterowymiarowy i nie seryjny choć bardzo serio. Nie żadne tam lumen dzielnicowe, ale w całym tego słowa znaczeniu: europejski. I nie żaden tylko pisarz i nic poza pisaniem, nie żaden okularnik i brodacz, mol książkowy i mumia muzealna, nie żaden gabinetowy uczeniec zatabaczony, drepcący w pantoflach i skrzypiący piórem, ale do pitki i wybitki, do tańca i na pohańca, człowiek czynu, hazardeur, ryzykant, żołnierz, wojownik, powstaniec jak się patrzy, rewolucjoner i zawadiaka, maximum odwagi cywilnej ale i virtuti militari za heroizm rycerski. Pełny człowiek przygody a nie wygody, inteligenckiej gadaniny, trzodowych zbiórek a na stare lata hemorroidarius. I artysta w dużym procencie i... artylerzysta. Pełny człowiek.

To też biografię ma barwną, bujną, bogatą, obfitą w treść, w kolizje, w sceny dramatyczne, w apoteozy i metamorfozy, przeobrażenia i przemiany. Nie żaden to bowiem literata-zasklepieniec, gromady jeniec, szkapa drepcąca z klapami na oczach w partyjnickim kieracie, wół roboczy w stadzie pewny siebie, pokornie trawę szczypiący czyli jeden z wielu, jeden ze spisu ubezpieczonych, zaasekurowanych, ale wprost przeciwnie myślowy niezależnik, zawsze autonomiczny,

zawsze subiektywny, ukazom nie uległy, sam sobą dyrygujący, karny w grupie ale nie aż do samozaparcia, w doborze celów i środków suweren.

W Wielkopolsce dotychczas miarodajna jeszcze tendencja panuje, żeby sobie Libelta zbyt uprościć, zutylitaryzować, zmimikryzować, uszablonowić. To się nie da bez reszty i tak nie trzeba. Że niby w Polsce wielki filozof ale normalnie przeciętny „civis posnaniensis", narodowy bakałarz i kwita. Tak dobrze, tak krótko, tak zwięźle nie jest. Zdaje się, że ta reprezentatywna, ponaddzielnicowa indywidualność będzie jednak nieco więcej złożona, skomplikowana, rozleglejsza, rozłożystsza. Owszem, jest w prostej linii od Ostroroga i Staszica, a jednak i dalej i więcej i głębiej i ciekawiej, kolorowiej. W Wielkopolsce chciano by pono nadal mieć „nastawienie" tylko od strony dostojnej, podręcznikowo-encyklopedycznej, na użytek progenitury i na przykład dalszym generacjom. Jak najmniej więc jaskrawszych barw w jego wizerunku, raczej na szaro, przede wszystkim pod koniec życia (1874) w wielkim formacie, na tle draperii, w fotelu wygodnym z księgozbiorem w tle, w złoconych ramach. A on się z takich ram wyrywa. Tak koniecznie i tak statecznie nie jest, bo nie było. Dziecięctwo nie sielskie anielskie, ale młodość naprawdę i górna i chmurna. I całkiem nie szablonowo i nie wedle utartych terminów i formuł, gdzie zwykle brzmi: „rodzice oddali go do Ojców Pijarów". Tu całkiem inaczej. Sam się oddał naukom i studiom, sam od szesnastego roku pracował na swe utrzymanie, sam musiał zarabiać na życie, sam poszedł w świat! To ważne, to bardzo ważne. Ale nie najważniejsze! Najważniejsze i k l u c z o w e jest to, że jako dwudziestoczteroletni filozof, doktor filozofii uciekł do powstania. Niektórzy, nawet bardzo Wielcy,

niektórzy, mówiąc twardym językiem, uciekli o d powstania...

by z daleka po Droznach, Paryżach i Rzymach
nieszczęsny los Ojczyzny opłakiwać w rymach.

No, a on w Berlinie nagrodzony złotym medalem (za pracę o Spinozie), on młodociany autor „De Pantheismo in philosophia", on Wielkopolanin... z pod Prusaka uciekł d o powstania. Taką niespodziankę zrobił swemu benefaktorowi, ks. Antoniemu Sułkowskiemu. Nie wytrzymał i poszedł. Rana odniesiona pod Międzyrzeczem (w dywizji Różyckiego), to indygenat jego wielkości... szlachectwo... nobilitacja.

Zdaje się bowiem, że co do prozapii, to był synem poznańskiego szewca. W społeczności szlacheckiej jest to „o czym się nie mówi", wstawiając na to miejsce tu i ówdzie, że „Libeltowie pochodzili z Litwy"... Może być i tak, ale może inaczej. Beethovena babka była kucharką, ojciec Hebbla mularzem, a Hans Sachs, o którym i opery bywają, był sam „ein Schuh-macher und Poet dazu".

Nie to tedy jest ważne a tamto, że wykradł się i wyrwał i pognał w stronę Warszawy a wrócił podporucznikiem z blizną. Jako taki, co miał blizny, miał prawo pisać „O miłości Ojczyzny". Romantyk co się zowie a duch bardzo niespokojny, „wietrzny" rewolucjonista, bo w 15 lat potem znów się rzuca w awanturę i to na grubą skalę. Inni tylko piszą i piszą, a to w „Roku" a to w „Tygodniku" a to w „Orędowniku" a to w „Przyjacielu Ludu", a to są przyjacielami ludu i pouczają i moralizują i pedagogizują i kształcą i odwodzą od pijaństwa i porubstwa. A podporucznik Libelt całkiem inaczej. Owszem, przez te lata i on nie krył światła pod korzec. Prawdę mówiąc, pierwszy położył fundamen-

ty pod gmach filozofii polskiej. Obok Gołuchowskiego, Cieszkowskiego, Kremera, podporucznik Libelt pierwszy zaczął systematyczną uprawę i hodowlę spekulatywnego, abstrakcyjnego myślenia. Czego się nastudiował w metropolii metafizyki, siedząc w Berlinie na ławie pod katedrą demona Hegla, tym wszystkim zaczął się dzielić z rodakami Sarmatami, wtłaczając, do głów „dialektykę absolutną", bijąc w ciemienia „umem", „obraźnią", „przeobraźnią" i wiercąc dziury w brzuchach Schellingiem, Fichtem, Heglem i... i Saint Simonem także, a jakże. Prelekcje miewał to w auli gimnazjum Św. Magdaleny (nie najtrafniej wybrana Patronka), to w sali pałacu Działyńskich, gdzie za naszych czasów bywało, że ułaszynują kabaretniki. Dzieła zaś drukował pod trudnymi tytułami „Kwestia Żywotna Filozofii, o samowładztwie Rozumu", albo zgoła „Estetyka czyli umnictwo piękne". Nadto pisywał artykuły „de omnibus rebus et quibusdam aliis". Trentowskiego kolegę też umiał zerżnąć okazyjnie za konkurencyjne apostolstwo germańskiej spekulacji.

Ale, że natura ciągnie barana do Sasa a wilka do Lasa, więc skoro tylko wydarzyła się nowa okazja, emisariuszom paryskiej Centralizacji ochotnie posłuch dał i w rewolucję o Polskę znów się rzucił, by rychle być pojmanym, zakutym i do berlińskiej turmy na przedmieściu izraelskim Moabit wpakowanym.

Tak zwane Galicjaki z Kongresówy albo Warszawisty, Monopolanie oraz w ogóle czynniki w stolicy miarodajne święcie są przekonane, (bo tak p o u c z a n e), że powstania i rewolucje to tylko oni na spółkę raz po raz wszczynali, a w Wielkopolsce to jeno praca organiczna, buraki, kooperatywy, Marcinkowski i Wawrzyniak, klerykalizm i materializm „enrichissez-vous", „ora et labora". Ani prof. Askenazy, ani prof. Handelsman ani „si parva licet" pp. Kucharzewski „und" Sliwiński („Polen aus der Polakei") o zbrojnych ruchach w Poznaniu jako żywo nigdy nic nie słyszeli, więc nie napisali. Ergo skądże ta Warszawa lub ci Małopolusy mają coś wiedzieć o roku 1846 lub 1848, lub o współudziale Wielkopolan w r. 1831 czy 1863? Skąd? Z powietrza? Z radia? Z intuicji?

Toteż i współudziału Libelta w powstaniu poznańskim w 1846 nie pisze się w regestr jak i żaden z malarzów historycznych nie uwiecznił tego momentu, kiedy to zrewoltowany lud berliński wynosił wiosną 1848 roku na barkach z kazamat Moabickich Polaków uwięzionych z Libeltem i Mierosławskim na czele. A jednak miał i takie piękne przeżycia romantyk Libelt, a później jeszcze kongres słowiański w Pradze, a później frankfurcki karnawał wolnościowy.

Tak! Zaiste! Ten człowiek pełny coś przeżył, czegoś dożył, do czegoś dążył, coś zdziałał i nie tylko przy biurku i przez pisaninę. Wśród swoich prac ma i takie, które obmyślał na biwaku przy ogniach obozowych jako podporucznik, w tornistrze ukrywający... Kartezjusza, a nie tylko... karty i... kartacze. W więzieniu Moabickim, czekając na wyrok (są jeszcze sędziowie w Berlinie?), zaczął i dokończył studium literackie o „Joannie d'Arc" Schillera!... jak Cervantes, jak Manzoni.

Literaturą bowiem też się parał ten poseł, deputowany, polityk praktyczny, parlamentarzysta „und Heglist dazu". I oto jeszcze jedna karta tego... tego ziemianina i rolnika, który gospodarował też całkiem poprawnie najpierw w Czeszewie, a potem w Brdowie (powiat wągrowiecki) i brał żywy udział w ziemiańskich korporacjach.

Wielką jego zasługą jest chronologicznie pierwsze energiczne i serdeczne zainteresowanie się mało w całej Polsce, a minimalnie w Wielkopolsce znanym i cenionym poetą: J. S. Znacznie, znacznie przed Małeckim (i Tretiakiem) w radykalnym „Tygodniku" Wojkowskich Karol Libelt pierwszy omawiał per longum et latum kolejno: „Mazepę" i „Księdza Marka", podnosząc ich dramatyckie i poetyczne walory. Można stwierdzić, że właściwie Libelt pierwszy poznał się na Słowackim, że Słowackiego odkrył i to w tym samym tygodniku, którego redaktor Wojkowski znów pierwszy do Chopina odniósł się fortissime i con fuoco.

Libelt poznał osobiście Słowackiego, goszcząc go w swoim domu na św. Marcinie. Słowacki później dopiero zamieszkał na Piekarach u majora Bukowieckiego za jego krótkiej w Poznaniu bytności konspiracyjnej. W każdym razie żywił dlań głęboką sympatię i za jego poetycki radykalizm i za gminolubstwo, podczas gdy do Mickiewicza, którego znał z Berlina z prelekcyj Heglowskich, wyraźnie nie miał respektu najpierw za afilozoficzność, potem za stronniczą zaciekłość w prelekcjach Sorbońskich, a wreszcie za głośne już i w Poznaniu afery w małżeństwie Mickiewiczów. Nadto zraził się też Libelt całkowicie do Towianizmu, w którym, nie trzeba zatajać, pono tkwił jakiś czas ten były panteista, były radykał, były Heglista, były entuzjasta filozoficznych systemów niemieckich, a tak pod rok 1860 wróg tego wszystkiego zrównoważony i dojrzały.

Ale jest jeszcze jeden Libelt mniej znany, a to mianowicie Libelt lżejszy, publicysta, felietonista, a nawet humorysta. Tego ostatniego poznajemy z dość rzadkiej książeczki pod tytułem „Humor i Prawda", nakładem B. M. Wolffa wyszłej w r. 1852

w Petersburgu, z którym poznański filozof i ziemianin miewał stałe wydawnicze stosunki. W tym tomie zamieszczonych jest kilka utworów swobodniejszych z ujmującymi pretensjami do popularnej nawet beletrystyki i essayistyki. Jest więc jakaś noweleta, dziejąca się w renesansowej Italii z grą w szachy związana. Jest druga „Cierpienia Narzeczonych" wedle starej mody w listach koncypowana. Jest „ustęp" z czasów Napoleona o muzykancie Kretlym w orkiestrze teatralnej w Paryżu grającym, a ongiś towarzyszu Napoleona w Egipcie. Jest dalej humoreska o audiencji, zdaje się autentycznej, jakiegoś zabawnego szlagona wielkopolskiego u króla Fryderyka Wilhelma Filistra, interesująca i z tej racji, że Libelt dwukrotnie był przyjęty przez tegoż króla pruskiego raz sam (1842), a drugi raz w delegacji (1848, 22 maja). Obok tych próbek jest essay o „Pieniężnej arystokracji francuskiej" czyli Żydach rządzących Francją. Drugi essay o masie czyli hyperprodukcji w literaturze niemieckiej, zdaje się rozszerzenie odczytów wygłaszanych ongiś (1840) w Poznaniu. Jest dalej dysertacja o „Modzie" i druga całkiem serio „O fałszowaniu win" (sic), no i wreszcie dwie rozprawki poświęcone „La Femme": „Kobieta a Uczucie" i „Kobieta a Rozsądek".

Z powodu tych dwóch kobiecych tematów petersburski cenzor, osławiony Peucker, miał pewne zastrzeżenia z puszczeniem książki i wyczyniał obstakle, dopatrując się w wywodach Libelta o władczej kobiecości aluzji do... Imperatorowej Jekateriny. W całym tym zbiorze „Humor i Prawda" panuje duch i nastrój felietonu. W Paryżu modni byli w owej epoce i rządzili opinią właśnie felietoniści tacy, jak About, Janin, Gauthier, Alfons Karr, Rocqueplan, wreszcie sam Balzac. Rozpisywali się szeroko o tym, co dzisiaj

musi być wypowiadane krótko i niewęzłowato... Jeżeli się teraz jeszcze przypomni, że Libelt był jednym z nielicznych reprezentantów polskiego intelektu, którzy także kochali muzykę, że napisał Verlainowskie omal zdanie: „muzyka, tylko muzyka jest ambrozją życia ludzkiego!", to zestawiając dwa tematy ze zbioru „Humor i Prawda", już można stwierdzić, że nie obce mu były: „Wein, Weib und Gesang"...

No i teraz to, co najważniejsze. Rozdział: „K. Libelt a Kobiety". Nie należy oczekiwać żadnych rewelacyj w stylu biograficznym Z. Krasińskiego. Nie. Rzecz dzieje się w Wielkopolsce, więc omal w Sparcie, tysiące mil od Troi i Koryntu. Dziedzic z Czeszewa małżonkiem był najwzorowszym i najprzykładniejszym. Szumanom zawdzięczał bardzo wiele. Czasu by mu zresztą nie starczyło na cokolwiek z przygód... Mickiewicza lub Krasińskiego. Ale zagadnieniem kobiecym interesował się głęboko i con amore, jak to widać z tych dwóch kobietom poświęconych szkiców. Widocznie zajmowały mu „obraźnię" i „przeobraźnię". Nietylko „umnictwem" czyli estetyką w teorii zajmował sobie „mysł" i „umysł", ale także wcieleniem, personifikacją wszystkiego... co estetyczne...

Kobiety wtedy właśnie ławą a raczej ławicą wchodziły na scenę i publicystyki i literatury. W Paryżu po pani Staël przyszła paląca cygara George Sand, dalej Sofia Gay i inne. W Berlinie literackie salony pootwierały przemądre Semitki. Polska też nie pozostała w tyle i na szarym końcu. W Poznaniu redaktorem pisma, w którym Libelt wiele prac drukował, była właściwie kobieta, demonicznie postępowa, tragicznie z życiem pożegnana.

W Warszawie rozbłysła na nieboskłonie Eleonora de domo Gagatkiewiczówna. Eleonora już jako czternastolatka genialna zaczęła zalewać pisma swoimi artykułami, zyskując sobie olbrzymi mir wśród Entuzjastek emancypacji. Wyjście za mąż za Ziemięckiego nie tylko nie uspokoiło i uciszyło wrzącej Eleonory, ale jeszcze bardziej rozogniło jej szał pisarski i podrażniło inne damskie talenta, od których od razu wprost się zaroiło. I wtedy to (w r. 1841) w poznańskim „Orędowniku Naukowym" wystąpił nietylko przeciw nadmiernej grafomanii niewieściej ale w ogóle przeciw wejściu białogłów na agora filozof Trentowski (ojciec Bronisław), na co znów zareagowała Gagatkiewiczówna broszurą pt. „Myśli o Wychowaniu Kobiet". Trentowski, mocno wonczas sprusaczony, wyrżnął sobie wtedy takie verba veritatis:

> „Wszędzie i zawsze do czegokolwiek weźmie się szczerze mężczyzna otrzymuje nad całym gołębim stadem (sic) kobiet pierwszeństwo. Igła i garnek zdają się być przeznaczeniem kobiety, a przecież mamy sławnych krawców damskich i kucharzy jedynie w mężczyznach. Słaba jest głowa kobiety i jej zdolności są tylko mamidłem."

Tego już było Libeltowi za dużo i za mocno. Rozważając wszystkie pro z Gagatkiewiczów-Ziemięckiej i wszystkie contra „ojca Bronisława", wystąpił ze swoją mediacją pt.: „O emancypowaniu się stosunków familijnych" (1844), co potem w następnych latach rozszerzył i pogłębił w „Uczuciu" i w „Rozsądku" kobiecym, nie wymieniając Trentowskiego, ale polemizując z jego mizoginizmem a godząc się tylko w odmawianiu niewiastom predyspozycji na regentki. Kobieta zmężczyźniała jest czymś przeciw naturze; najwdzięczniejszą zaletą i cnotą kobiet jest ich kobiecość. Niech więc sobie piszą i Wilkońskie i Węgierskie (Zofia) i Nakwaskie i Lewockie i Wojkowskie i z Gagatkiewiczów Ziemięckie i Pruszakowa z Krakowową, Deoty-

ma i Rautenstrauchowa i tyle innych naraz, byle się tylko kobiety nigdzie nie rwały do rządów, do władztwa, do polityki.

W dyskusję wmieszali się potem i inni, jak J. Korzeniowski i W. Szymanowski i hidalgo Norwid, który atoli ze swoimi kapitalnymi ekiwokami (jeszcze przeciw Trentowskiemu wymierzonymi) wykokosił się wreszcie w okrągłe lat... czterdzieści, zawsze wierny godłu: sub specie aeternitatis... don Cipriano...

Karol Libelt tym razem nieco się mylił. Iluż to królowym starodawnych czasów poświęcone są najpiękniejsze dramaty i tragedie! Ileż oper w tytule noszą imiona cesarzowych i regentek? A Anglia Elżbietańska i Wiktoriańska? A królowa Isabeau Kastylijska? A szwedzka Krystyna? A jakżeż to srogo pokarały kobiety Napoliona za swe postponowanie i ordynarne traktowanie? A co to za rolę odegrały w historii księżniczka Eboli bez jednego oka, Anna Boleyn z jedną wyższą łopatką lub kulawa Lavalière? A Maria Stuart lub Maria Teresa lub Maria Kazimiera?

Aby się szybko zorientować, jak dalece i grubo mylił się Trentowski a za nim lżej i cieniej ale jednak Karol Libelt, wystarczy porównać tylko to, co drukowane w zbiorku „Humor i Prawda" z tym co... o Polkach mówi Rosjano-Germanin N. W. Berg w swoich „Zapiskach o spiskach polskich między r. 1831 a 1862":

„W ludności męskiej Polski różne zachodzą zmiany, stosownie do politycznego nastroju, i do ludzi będących u steru: ta ludność, może niekiedy w tył się cofnąć, ustąpić lub inną przywdziać barwę, może po prostu znużyć się w walce i wpaść w odrętwienie, może nawet przestać spiskować (chociaż Mochnacki twierdzi, że spiskowanie wiecznie istnieje w narodzie polskim), lecz ludność żeńska nigdy się nie zmienia, zawsze jedną i tę samą zachowuje barwę. Kobieta w Polsce jest wiecznym nieubłaganym i niewyleczonym powstańcem. Mężczyzna Polak, może być białym, czerwonym, cynamonowym, słowem jakich niebądź kolorów i odcieni: Polka zaś tylko czerwoną być może. Polki w ogólności, wszystkie przystojne, wszystkie wrą i kipią. Są to istotnie ruchome małe wulkaniki! Zaledwo się ich dotkniesz, a wnet posypią się iskry! Ich niczym niepowściągnięta wyobraźnia rozwija się i ulatuje Bóg wie w jakie przestworza. Kobieta polska cała jest wyobraźnią, promieniem, modlitwą. W pewnych chwilach, może wprawdzie nieco na nią podziałać ksiądz, niosący jej krzyż Zbawiciela, nadzieję odpuszczenia grzechów lub groźbę piekła. Innego zwierzchnictwa nad sobą nie uznaje; przeciwnie, stara się bezustannie wszystko w swe ręce — w swe prześliczne rączki — zagarnąć, wszystko jednym słowem i rzeczywiście zagarnia. Pełna to charakteru, pełna odwagi, ta polska kobieta, zaprzeczyć temu nie można, jest w niej coś męskiego i walecznego."

Tyle Moskal...

Tu więc może i Libelt się mylił. Bo i w Wielkopolsce były takie same jak je N. W. Berg charakteryzuje. Ale mylić się mógł i nie tylko w tym, bo był człowiek pełny, czterowymiarowy, wielostronny. Tylko ułomki, pokraki i szaraki nigdy się nie mylą. Nie potykają się i nie błądzą, bo czujny pasterz stado batem pogania i ku trawie zielonej pędzi.

Libelt nie szedł w stadzie. I to nie był tylko bakałarz narodowy. I nie tylko wychowawca, wykładowca, moralista, pedagog, teolog, historyk, matematyk, krytyk, myśliciel. Ale to był także budziciel, burzyciel, bojowiec, wskrzeszca, odkrywca, działacz, inicjator, animator, wizjoner, człowiek walki, człowiek pełny, „duch wieczny rewolucjonista", a co jeszcze: artysta, a co też ważne: artylerzysta!

„AU-WI" W WARSZAWIE



Jeden z pierwszych takich był aż ongiś w XVI wieku: Klemens Janicki, J a n i c i u s, włościański syn, naszego laureata Bąka duchowy protoplasta. Potem ich bywało i poetów i prozaików „wielu", ale właściwie tylko kilku takich, że na palcach jednej ręki policzyć by można. Franciszek Morawski, klasyk, piewca „Dworca Mojego Dziadka", przebywał w Warszawie długo, Stefan Garczyński, piewca „Dziejów Wacława", Mickiewicza faworyt, krótko. Potem raczej wpadli do Warszawy Dembowski Edward lub Zieliński Gustaw. Pierwszy założył w stolicy poważny krótkotrwały „Przegląd Naukowy" (1842), by tu kulturę filozoficzną szerzyć „in Arabia deserta", po czym z pod terroru Paskiewicza uciekać musiał, aż w walce z Austriakami na polu chwały zginął. Drugi, też żołnierz i też bohater, przeznaczeniem losów na Sybir iść musiał, z czego poemat o „Kirgizie" mógł się porodzić. Cieszkowski, Trentowski, Libelt, Hoene-Wroński, Łukaszewicz mogli bywać w Warszawie, lub być tylko jednorazowo, przelotnie, w gościnie.

Nas tu zajmie ten, który w Warszawie osiadł na stałe, ale też na to tylko, by znów do ściślejszej ojczyzny jednak powrócić. Mamy tu na myśli jedynego na świecie „chirurga filozofii", podpisującego się tak, jak jeden ze synów Wilhelma II, to jest: Au-Wi...

Jak Morawski, jak Garczyński i Zieliński i Dembowski, wywodził się z ziemian August Wilkoński i to wcale majętnych. Że atoli życie ukochał i jego rozkosze i powaby, więc dość szybko dobra odziedziczone po wielkopańsku, a nie po wielkopolsku przepuścił. Jak zasię majątek ziemski może rozłazić się w rękach i przejść w kilka lat (górnych i chmurnych) do wierzycieli i to nawet nie Szajloków, opisała, i to nawet kilkakrotnie, żona hulaki, sama grafomanka i narratorka wcale zajadła, z Lauczów rodu, Paulina. Hipoteza, jakoby Wilkoński majątek swój przepuścił z... „Dziećmi Szatana", jest całkowicie błędna, gdyż przefujarzył go wyłącznie z bracią szlagonerią, jako że się wonczas wcale literaturą jeszcze nie parał, iskry Bożej w sobie nie poczuł, ciągot do kałamarza nie miał.

Naprzód atoli: co to znaczy „Dzieci Szatana"? (Satanskinder).

Z okładem sto lat temu zmarł w Poznaniu we własnej realności w Rynku „rosolisarz" i winnej piwnicy posiedziciel, krociowiec, zostawiając żonę (Rutter de domo) i jedynaka Quasimoda. Garbus Wojkowski miał 50 procent instynktów i impulsów wzorowych, a 50 procent dziedzicznego pociągu do alkoholu. Na dobitek przedwcześnie ożeniony był z nimfomanką i schizofreniczką, ale także utalentowaną fantastką (Molińską de domo).

Dużo wtedy mecenasów literatury i muzyki. żywej literatury, muzyki, sztuki w Poznaniu jakoś nie było. Zmarłych dzieła zbierano, żywym nikt ręki nie podał. Wobec tego Antoni i Julia zabawili się w Medyceuszów i to od razu na całego. Tańce, hulanki, swawola, „musique avant toutes choses". Fortepian w mieszkaniu wiedeński po ojcu destylatorze (a violinu amatorze), największa kolekcja nut, więc wnet pierwszy w Poznaniu „salon" muzyczny. Oczywiście zaroiło się zaraz od pieczeniarzy, wydrwigroszów, naciągalskich i dworzan garbatego Wierzynka. A że człek był dobry z kościami, jeno ambicjonariusz, więc się tak dał naciągać, że go wreszcie naciągnęli i na wydawanie periodyku. Lesznieński względnie Leszczyński „Przyjaciel Ludu" prof. Poplińskiego już się wszystkim po roku przejadł; groch z kapustą, zrazy z kaszą, narodowo i zdrowo, ale coraz nudniej, bo z belferska. Posyłała tam swoje wierszydła Julia z Molińskich, posyłał swoje pogadanki muzyczne i Quasimodo-Medyceusz, bo wszyscy tam pisywali i z Warszawy i z Krakowa, także Libelt i Trentowski i nudziarz Moraczewski. Ale wszystko, co młode, żółtodziubate a utalentowane, już tęskniło za czymś innym i nowym. W takiej koniunkturze zawsze ofiarą pada meloman possessionatus.

Iskrę w loncie zapaliły nowe nuty, przybyłe z Wiednia, z Warszawy i z Lipska: „Cinque Mazourkas", „Trois Nocturnes", „Variations Brillantes", „Grande Fantaisie", „12 Grandes Etudes", „Premier Rondeau", „Rondeau à la Mazur" (E-dur). Anton Wojkowski omal oszalał. Grał to na fortepianie, jak tam mógł, wszyscy słuchali, potem szedł węgrzyn i znów granie i tak do świtu, że aż w domach sąsiednich spać nie mogły Bürgery. Był to rok 1835. W Warszawie Paskiewiczowej wszyscy już zapomnieli o jakimś Chopinie (oprócz rodziny i artystów). W Polsce nic a nic nie znany i tak przez lat kilka. I wtedy, w drugim roczniku, w nr. 28 i 29 „Przyjaciela Ludu" pojawiają się dwa ekstatyczne artykuły-hymny pióra Quasimoda, równocześnie poniewierające wszystko i wszystkich, co ośmielili się komponować dotychczas. Nietylko

chapeau bas, ale „na kolana mierżawcy!" Odpowiedział mu delikatnie w jednym z następnych numerów Unrug „że niby owszem, owszem, ale że byli przecież i są do licha jeszcze inni". W każdym więc razie pierwszy Polak, który o Chopinie napisał w stylu Hosanna i Sursum corda, pierwszy chronologicznie i bez zakwestionowania, to był Poznańczyk Antoni Wojkowski. Kaliban poznał się na Arielu. Z tej racji trzeba to pod światło. Suum cuique. To jest jego plus. To jest jego meritum. To trzeba zapisać w rejestr. Ale skoro tylko Unrug naurągał, wraz dokoła gryzipióry, rymodławce, genialkomiki, Bekwarki i co to zatajać, pieczeniarze: „zakładaj asindziej periodyk! zakładaj pro publico bono! Poznań na front! Wywalimy z posad ziemię!"

Słowo się rzekło, kobyła u płotu.

Stanął Anton przy kasie ojcowskiej, wyciągnął z niej talary i sypnął. Że jednak kupiecki synek, więc zapragnął solidnie nietylko ze świszczypałami, ale i poważnych uczeńców zaprosił, Poplińskich braci dwóch i Łukaszewicza jednego. Archeologi zetknęły się z alkoholikami, pierniki z wiatrakami i don Kiszotami. W ten sposób z kilkunastu osób powstał gracki „Tygodnik Literacki". Ani dziś przemilczeć go ani bagatelizować nie trzeba i się nie godzi. Rżnąć można, co się wlezie, ale nie należy zapominać, że ten „Tygodnik" od r. 1838 aż do roku 1850 odegrał w literackim życiu polskim olbrzymią rolę i że dzięki funduszom firmy Wojkowskich (rosolisy) mogła tu zamieszczać swe donoszone lub poronione płody cała młódź literacka, cała „La Bohème" Warszawy i Krakowa. Byłoby się w możności wyliczyć tu teraz Kochanym Państwu sto najprzedniejszych nazwisk pisarzy polskich między r. 1838—1848, które w tych kil-

ku rocznikach znalazły się. Gdyby nie scheda po papie i spadek po wuju w familii Wojkowskich, moc poetów i prozaików i w Warszawie i w Krakowie nie miałaby niekiedy na suchy kawałek chleba z kiełbasą i na fajkę.

No więc co znaczy to: „Satanskinder"?

Ano to znaczy, że niestety Wojkowskich para nam się tam rozpuściła jako bicz dziadowski i w rezultacie fatalnie skrachowała. Coś się tak wydaje po stu latach, że w tym wypadku baba winna, bo pić i pisać nie powinna. Histeryca to być musiała najcięższego kalibru ta Giulietta, pono jak noc brzydka. Zaraz z samego początku zadarli wydawcy z redaktorami. Uczeni się usunęli, wytoczyli proces, przegrali i zafundowali sobie nowe pismo: „Orędownik". Pozbawiona zaś patronatu i mentorów Cyganeria rozpuściła paszcze i zaczęła „pluć" dokoła bez miary i bez „haltu". Radykalizm socjalny omal tak czerwony, jak u Emigracji w Paryżu, omal taki jak w „Trybunie Ludów" Mickiewicza. Chłopomaństwo, Proudhonizm, plugawienie szlachty i ziemian, napaści na duchowieństwo takie jak Kafrów na misjonarzy, no i w ogóle zdetronizowanie Boga, a wojna z całym społeczeństwem. Z współpracowników, zresztą przygodnych tylko, szybko usunęli się Kraszewski, Bentkowski, po czym kolejno inni, aż zostali sami półwariaci i nieszczęsna para. Aby się utrzymać na powierzchni, Wojkowscy wzięli jeszcze księgarnię po Schirmerze przy Wilhelmowskiej. I też zbankrutowali. Biedny Quasimodo-Medyceusz, oskubany przez wszystkich, wyobcowany, poniechany, opuszczony w wieku 36 lat uległ atakowi apoplektycznemu; po nim szybko odeszła w zaświaty, z domu zbiegłszy w półszaleństwie wdowa po nim. Zostały po niej, po tej „na-

łożnicy Szatana" pono bardzo urocze wierszyki i piosenki dla... dzieci. Po nim zaś... zaginęło — kilka mazurów, które sto lat temu grywały z ochotą... pruskie orkiestry wojskowe w Poznaniu.

Że jednak ten Caliban pierwszy po polsku napisał najgoręcej o Arielu, przeto tak całkiem zapominać o nim się nie godzi!... Może za to jedno, co napisał o Chopinie, nawet nie smaży się w piekle!

Mówić atoli mieliśmy tu właściwie o czym innym, o kimś innym. O Wilkońskim! Aha!

Otóż wyemigrowany z Wielkopolski, Wilkoński August z tą grupą „Tygodnika" Wojkowskich, będącą jakąś dziwnie podobną antycypacją Przybyszewszczyzny (chopinizm „Stacha"), nic wspólnego nie miał. W Królestwie osiadł, aby gospodarzyć na dzierżawce, i dopiero, gdy i to się nie udawało, zamieszkał w Paskiewiczowskiej stolicy, no i popróbował pisać, żonie robiąc konkurencję. Tak samo przypadkowo zaczął pisać Kongresowiak Wężyk, który dla miłego spokoju schronił się do Poznania i tu owoce swych wojażów po całym świecie zebrał w dwóch kopiatych tomach. Wilkoński, jako że z czerwonawo - postępowego radykalnego Poznania wyszedł, zaczął w Warszawie radykalizm poznański propagować. Wysadzeni z siodła (déracinés) latyfundyści niekiedy bywają wrogo nastrojeni wobec tych latyfundystów, którzy na ziemi się utrzymali. Także samo Wilkoński. Dosłownie można powiedzieć, że uderzył w wielki dzwon postępu, gdyż pisemko, które założył, „Dzwon Literacki" się zwało i właśnie... kuźnicę Wojkowskich duchem i zaduchem przewrotowym przypominało. Ponieważ uniwersytet wrocławski jednak miał za sobą, Wilkoński ex-hreczkosiej, więc miał też coś mocniejszego do powiedzenia swym nowym rodakom.

Tu wtedy literaturę uprawiano dość konwencjonalną w różnych „Magazynach", „Panoramach", „Noworocznikach", z których jeden zwał się nawet „Alleluja". Ale już też istniała grupa cyganeryjska, bardzo do kompanii Wojkowskich zbliżona, w której „wiele rokujących" talentów jak: Zmorski, Wolski, Dziekoński, Lenartowicz, Czajkowski, Norwidowie, przede wszystkim Norwid Ludwik, no i „genialny" Filleborn. Z nimi sprzymierzył się czerwony Poznaniec, choć Paulinę ciągnęło raczej do zakrystialnego „Pielgrzyma" pani Ziemięckiej... „Dzwon" oczywiście rychło przestał dzwonić, bo na pierwsze miejsce w Warszawie wysunęła się na solidnych finansowych podstawach oparta i wszystkie firmy literackie koncentrująca „Biblioteka Warszawska" (1841 założ.).

I otóż w tej to „Bibliotece" po raz pierwszy pojawiają się obok gawęd K. Wł. Wójcickiego, obok bajek Jachowicza, i ramoty chirurga filozofii Au-Wi. Pierwsza była: „Czy Kopernik był Polakiem?"

Teraz wstępnym bojem zdobywa sobie Poznaniak fawory Warszawy. Obiit reformator, natus est humorista. Małe, sarkastyczne opowiadanka podobają się wszystkim. Rzecz prosta, że cyganeria traktuje to pisanie ex-redaktora „Dzwonu" za odstępstwo czy odszczepieństwo, ale Wilkoński, właściwym instynktem wiedziony, odkrywa samego siebie i swoją żyłę złota. Ramotami, sui generis „zoszczenkami", castigat mores. W kilka lat daje ich kilkadziesiąt, tak że wychodzą w czterech tomach. Ona, mieszczanka z krwi i kości, pisze i pisze bez przerwy powieści wsiowskie z dworów i dworków (często i teraz tak bywa), a on, ziemianin z ziemian, grzebie się głównie w Warszawie, chłosta głupotę, tępotę, bezmyślność, próżniactwo, modnisiostwo, nowinkarstwo, frankomanię, an-

glomanię, Hegelomanię, emancypaństwo, snobizm. Jego rodzaj jest mały, jak mały jest modny ówcześnie genre kontuszowych pogawędek Witwickiego, obrazeczków Wilczyńskiego („Kłopoty starego komendanta"), ale on, Wilkoński, jest na swoich śmieciach wielki i coraz... bielszy, coraz bielszy, coraz konserwatywniejszy, ba, nawet coraz reakcyjniejszy. To też, kiedy w r. 1851 osiada w Warszawie hrabia Henryk Rzewuski i zakłada i organizuje tu pierwszy europejski i pierwszy wielki „Dziennik Warszawski", angażuje między innymi także do pierwszych skrzypiec felietonowych „chirurga filozofii" i popularnego humorystę Poznaniaka. Rok trwa publicystyka Augusta Wilkońskiego. Po czym znudzony prasą hrabia odstępuje „Dziennik" kuzynowi Grocholskiemu, a zmęczony Warszawą satyryk strzepuje kurz z sandałów i wziąwszy pod pachę swą grafomankę-połowicę, wraca do swej dzielnicy macierzystej. Paulina przez ten czas napisała nową powieść „Wawrzyny" i z wawrzynami stołecznymi wraca na partykularz.

Tu w międzyczasie po dziesięcioleciu liberalnym arcydemokratycznego króla Fryderyka Wilhelma IV wraca skrajnie antyliberalistyczny kurs, a z nim „Pressegesetz" (z r. 1850), kładący tamę wszelkim wolnościom i swobodom w druku.

Umiera Wilkoński w rok potem. Paulina oczywiście przeżywa go. I przez pozostałych 25 lat (do r. 1875) dalej pisze i pisze i drukuje i znów pisze, a z dworków, dworów i pałaców ziemiańskich nadal nie wychodzi.

Z okazji przypomnienia Quasimoda-Wojkowskiego godziło się też przypomnieć Poznaniaka, który był kiedyś... nieco Makuszyńskim a nieco Nowakowskim Warszawy Paskiewiczowskiej.

DWAJ ŻYCHLIŃSCY



Z tragicznie-heroicznej, heroiczno-romantycznej ale i romantyczno-chaotycznej, w każdym razie z pięknej i owocnej ery Styczniowego powstania pamiętniki wypisało dwóch Żychlińskich, i to jeden po drugim. Ludwik wydał swoje w roku 1885, a Teodor pospieszył ze swoimi w r. 1888.

Pierwszy szczegół, który przy lekturze od razu rzuca się w oczy, to jest ich sztywna względem siebie obojętność, ba, nawet lodowatość. Ludwik nie wspomina jednym słówkiem o Teodorze, a Teodor jakby książki Ludwika nie czytał, poświęca imiennikowi — plemiennikowi pięć wierszyków, podczas gdy innym znacznie mniejszego kalibru wodzom i bohaterom po pięćdziesiąt wierszy, niekiedy po 500! O Ludwiku zaledwie sucha wzmianka, ot tylko dla przyzwoitości, żeby przemilczenie zbyt nie rzucało się w oczy. A tymczasem to się w oczy rzuca właśnie przez krótkość i lakoniczność notatki.

Dlaczego tak obojętni Żychlińscy jeden wobec drugiego, to się z czasem może dokładniej wyjaśni jakimiś rodzinnymi względami i „komerażami", ale już się nieco tłumaczy przy lekturze obu Pamiętników. Wiedzieć o sobie przecież dużo musieli, ba, nawet sty-

kać się osobiście w Poznaniu, w Warszawie, w Krakowie, ale lubić siebie to stanowczo nie lubili, gdyż dzieliły ich przede wszystkim całkiem odmienne orientacje, mentalności, profesjonalności, charaktery.

Teodor, jak łatwo od razu dociec, był to urodzony cywil, człowiek książki i pióra, intelektualista, z zamiłowania potocznego życia obserwator bierny i komentator, w poglądach elastyczny, inklinujący ku konserwatyzmowi. Te to zalety, podparte wiedzą i wykształceniem, pomogły mu w przekształceniu się z absolwenta artyleryjskiej szkoły w Berlinie i porucznika ułanów w późniejszego solidnego pracownika pióra, kronikarza, historyka, heraldyka, i najwyższą instancję w wątpliwych kwestiach powstaniowych i... genealogicznych. Bój o wolność i niepodległość już w styczniu (zamiast w maju) z przedwczesną fatalnością wszczęty, bój, w którym on partycypował raczej jako agent wewnętrzno-dyplomatyczny, łącznikowiec, referent, świadek, był dlań raczej tylko epizodem (nieco przypadkowym), po czym magazynem materiału wspominkowo-historycznego. Światopogląd, choć gorąco patriotyczny, ale jednak raczej dziennikarski, utylitarystyczno - publicystyczny, niekiedy w oportuniźmie zbliżający go do „nastawień"... Sanszo Pansy, jeżeli Żychlińskiego Ludwika weźmiemy za pełny i stuprocentowy typ polskiego niepodległościowego... Don-Kiszota. Wziąć zaś musimy, wgłębiwszy się w jego kapitalny i kopalniany Pamiętnik.

Dowódca słynnego oddziału „Dzieci Warszawy", to choć ta sama glina co cały klan, ale fason i format inny, rzeźbiarz inny. Zdaje się, że najbardziej wyrzeźbiła go Ameryka, pobyt w Ameryce, dwa lata współudziału w wojnie domowej Północy z Południem o emancypację niewolników. Tam Garibaldczyk Żychliński przesiąkł jeszcze i... Lincolnizmem. A że jeszcze przedtem poznał dokładnie nowe Włochy, nową Francję, nową Anglię, nową Szwajcarię, więc nic co europejskiego nie było mu obce, a horyzonty szerokie, globowe, światowe. Jak Teodor urodził się do pióra, tak Ludwik do szabli, Teodor do słuchania i wypełniania, Ludwik do rozkazywania i komenderowania. Że to był jednak urodzony chef, commandingman i mocna a nawet twarda ręka, więc poznano się na nim nawet w warszawskiej bałagańskiej grupie ruchowców, powstanie organizujących.

Żychliński opuściwszy pospiesznie Amerykę (I must do my duty) drogą na Anglię podążył do punktu zbornego w Krakowie.

Powracał pod fałszywym paszportem jako angielski dziennikarz Honwell Williams. Nawiasem mówiąc i filisterski Teodor też musiał tempore insurgentiae podróżować pod obcym paszportem. Nawiasem mówiąc, choć Ludwik początkowo musiał grać rolę angielskiego dziennikarza, to jednak tak się złożyło, że angielski dziennik („Morning Post") drukował korespondencje o powstaniu ale nie Ludwika, a właśnie Teodora, tłumaczone, boć Teodor angielskim ani w ząb... podczas gdy Ludwik expedite...

W Krakowie „mr. Honwell Williams" znalazł się 22 maja.

Kraków okazał się nieodrodny, stylowy i taki sam zawsze, więc w r. 1863-cim jak w... 1936: „Stanąłem w hotelu Saskim, gdzie mnie jako Anglika dobrze oskubano."

O tym samym „Hotelu Saskim" i nastrojach „rewolucyjnych" krakowian piszą w Pamiętnikach swych i Ludwik i Teodor.

U Teodora czytamy:

„Wieczorem sale Hotelu Saskiego zaledwie zdołały objąć gości, którzy spieszyli do Herteugo (propriétaire) pożegnać się często na zawsze z rozkoszami młodości. Gwarzono przy pieniącym się szampanie, rozprawiano o zwycięstwach przyszłych, spełniano kielichy na pomyślność sprawy."

Ludwik Żychliński:

„Kilkakrotnie też w restauracji Hotelu Saskiego słyszałem o niechybnej interwencji Napoleona III w sprawie polskiej i nieraz patrzałem, jak ci dygnitarze, politycy, dowódcy (bez oddziałów) zapijali starego węgrzyna i szampana i zajadali truflami nasycone kapłony, gdy tymczasem powstańcy w lasach marli z głodu i zimna."

Teodor Żychliński:

„Kraków oddawna nie był tak ożywionym jak w chwili, kiedym doń przybył. Ulice a zwłaszcza rynek roiły się od młodzieży, kawiarnie były nią przepełnione, w teatrze wszystkie miejsca zajęte a huczne oklaski, jakimi witano narodowe pieśni, świadczyły o rozbudzonym duchu i wesołości, choć śmierć i gorsza od niej niewola moskiewska stały już za pasem."

Ludwik Żychliński (Honwell Williams):

„Dużo też znoszono mi nowin lecz tak przesadnych i źle kłamanych, że mnie nieraz aż złość polska opanowywała a ręka świerzbiała na kłamców.

...Komitetowi ani generałowi (Jordanowi) widocznie nie spieszyło się, bo cała procedura organizowania oddziałów na bruku krakowskim była komedią odgrywaną z patriotycznymi dekoracjami...

...Smutnego i bolesnego wrażenia doznałem, widząc mnóstwo tu i ówdzie błąkającej się młodzieży i przepędzającej całe dnie bez celu w ogrodach i kawiarniach."

Tak prezentował się Wielkopolanom wrzący zawsze patriotyzmem dekoracyjnym, teatralnym i pieśniarskim, toastowym i orzełkowym Kraków, w maju

r. 1863, to jest wtedy, kiedy w puszczach, w lasach, na drogach i szosach, we wsiach i miasteczkach wrzały boje zacięte, staczane z Moskalami przez młódź z kresów wschodnich, północnych, południowo-wschodnich, zachodnich, w olbrzymim procencie z Zachodnich (spod Prusaka) no i z samej Warszawy.

Kiedy tajny „Wydział Wojny" oddał znanemu z amerykańskich wyczynów partyzantowi, ale fachowemu partyzantowi organizację „Dzieci Warszawskich", sprawa ta była zabagniona i stała na martwym punkcie. Żychliński „miles natus" miał do czynienia z cywilami bawiącymi się w wojsko, których trzeba było pousuwać. Organizator natknął się na ociężałość, bierny opór i niesubordynację. O wszystko trzeba było zabiegać i wykłócać się osobiście, nieznużenie, z bezwzględnością. Oddział „Dzieci Warszawskich" składał się z ochotników, wśród których znalazły się nawet i poprzebierane dziewczyny, baletnice z opery, „kawiarki"-kelnerki. Zebrało się tego materiału, tej „wiary" 850, co trzeba było przekształcić na kosynierów, strzelców, żuawów, potem przećwiczyć, uzbroić, ubrać. Dzięki jego żelaznej energii, współpracy i oddaniu przybocznych oficerów Dygata i Szlenkiera udało się po radykalnej czystce wytworzyć grupę „guerillasów", którzy, z głębi lasów wypadając, mocno szarpali Moskali w bliskim promieniu od stolicy, w Błoniach, Grodzisku, Nadarzynie, Serocku, Garwolinie, Pruszkowie, Inowłodzi, Górze Kalwarii, Czersku, Jeziornie, Miłośnie, Osuchowie itd.

Dziesiątego lipca „Dzieci Warszawskie" przeszły chrzest wojenny w większej potyczce (bitwie) pod Osą niedaleko Odrzywołu (Nowego Miasta). Ludwik Żychliński w nagrodę za wiktorię mianowany pułkownikiem i z Warszawy przyszły dlań „szumne pochwały".

Niestety, atoli intrygi i komeraże cywilnych konkurentów, bezład rosnący, niedołęstwo, anarchia, nielojalność innych „wodzów", niesumienność, niepunktualność w dostawach broni i żarcia, kłótnie, brak wszelkiej koordynacji, bezplanowość, wtrącania się i szykany cywilnych dygnitarzy powstańczych tak nieprzyzwyczajonemu a raczej odzwyczajonemu od „polskiego stylu" Amerykaninowi dawały się we znaki, że Żychliński już przed jesienią raz po raz podawał się do dymisji, której stale nie przyjmowano. A tymczasem „bandy" Żychlińskiego „Dzieci Warszawskich" stały się postrachem dla regularnych batalionów moskiewskich. Wódz „Dzieci Warszawskich" zaczynał nabierać renomy „Fra Diavola". Kiedy w październiku udało się Rosjanom (Muchanowowi) rozbić którąś gromadę chłopców Żychlińskiego, generał gubernator v. Berg wydał oficjalną plakatowaną odezwę, że powstanie już zlikwidowane. Wtedy to „Dzieci Warszawskie", aby przerazić Warszawę, urządziły napad nocny na linię kolejową i stację w Grodzisku i w Pruszkowie i popaliły kasarnie w Tarczynie, w Grójcu...

Aż jednak przyszła kosa na kamień i trafiła kreska na Matyska. Żychliński już i znużony, zmaltretowany szarpaniną z rodakami, bezładem, beznadziejnością tych walk, a głównie nielojalnością dowódców innych oddziałów (raczej band), zaczął jak gdyby szukać śmierci i brawurować. Sprzykrzyły mu się nazbyt liczne przypadki niesubordynacji, ta konieczność składania sądów polowych i wydawania to wyroków śmierci za jawną zdradę, to wydalania z formacji i skazywania na banicję. Zaczął się puszczać na awanturniczo jaskrawe ryzyka i hazardy, aż wreszcie i jego dosięgnęła kula jegierska czy kozacka. Ciężko ranny pod Parysewem blisko Grójca, przewieziony do dworu

obywateli Karskich, a potem swoich kuzynów, gdzie go poddano chirurgicznym zabiegom i normalnemu leczeniu. Ponieważ na głowę jego naznaczono ładną nagrodę, więc leżał i leczył się znów pod fałszywym paszportem Juliana Jezierskiego. Wśród pielęgnujących znalazła się i panna, której przypadła w razie niebezpieczeństwa rola narzeczonej „Juliana Jezierskiego". Pewnej ciemnej nocy jesiennej dwór otoczyli Moskale, no i rewizja. Stało się to z powodu zdrady i wyśpiewania o wszystkim jednego z polskich rywali. Oficerowie rewidujący już uwierzyli, że to jakiś sobie Julian Jezierski (na polowaniu postrzelony?), a to jego narzeczona. Ale nie uwierzył i uparł się jeden z nich, porucznik, syn generała Moellera von Zakomelski. Ten znał przecież Żychlińskiego z towarzystwa, z Włoch, i teraz ręczył za identyczność. Ledwie podleczonego zawieziono do Warszawy i odstawiono do cytadeli. —

Sześć tygodni udało się i udawało Żychlińskiemu odgrywać rolę „Jezierskiego". Aż wreszcie pękło i wydało się. Sąd i Sybir. 14 maja 1864 miał miejsce wyjazd.

Pożegnanie z rodakami i z Ojczyzną było tym razem dość oryginalne. Z pułkownikiem „Dzieci Warszawskich" żegnali się nie tylko Polacy i rodzina „na kolejowym foksalu" zebrana, ale także ludzie w rosyjskich mundurach. Adiutant namiestnika hr. Berga sztabskapitan Dzierzbicki był jego szwagrem. Kapitan Jagmin, prowadzący pociąg z zesłańcami jego dobrym znajomym, Tuchołkowie zaś odprowadzali go na kolej, bo gdzieś kiedyś w badach generałowa Tuchołkowa (Litwinka) interwencji Garibaldczyka Żychlińskiego zawdzięczała ratunek przed napastliwością pruskiego oficera, który oberwał po zębach.

Kiedy w r. 1868 przyszła pierwsza wielka amnestia, na liście tych, którzy mogli wracać, znalazł się Ludwik Żychliński. Wnet po powrocie zgłosił się Sybirak do narzeczonej „Juliana Jezierskiego", został przyjęty, a ślub miał miejsce w następnym roku.

W Pamiętniku swoim dowódca „Dzieci Warszawskich" dość często mówi z obiektywną rewerencją o rosyjskich wojskowych i dygnitarzach, a dość często bardzo twardo i bez respektu o rodakach i współkombatantach. Znał wielu solidnych i europejskich Rosjan z czasów swoich wędrówek po Europie, a w erze powstaniowej poznał niestety, zbyt wielu swojskich „bohaterów", wojowników i Papkinów spod dość ciemnej gwiazdy. Jak bowiem do legionów w r. 1914 poszło wiele ciemnych egzystencyj, szurgotów i tzw. „hochsztaplerów" z Galicji i Lodomerii, aby „sprać brudy" ze swego honoru i ze swej przeszłości, tak i na wiosnę roku 1863 spłynęła do powstania moc szumowin i „nieudaczników". Żychliński odnosi się z pełnym szacunkiem do Traugutta, Czachowskiego. Chmielińskiego, Hauke-Bosaka, do kapitana Folkierskiego (emigranta aż w Limie!), z którym się przyjaźnił, ale wielu, wielu innych albo przemilcza, albo taksuje twardo. Dyktatora Langiewicza lekceważył dość jawnie. O „panach z Warszawy", decydujących w najważniejszych kwestiach w dymie obskurnych spelunek konspiracyjnych, raz po raz wyraża się z pogardą. Tak samo o wielu zaimprowizowanych i samozwańczych kapitanach, rotmistrzach i pułkownikach, często przygodnych koniokradach i kaso-kradach, choć i arysto-kradach. Jak bowiem do legionów z roku 1914 wkradło się wielu kryminalistów i psychopatów, z którymi jeszcze teraz bywa co czas jakiś dużo kłopotów (casus pascudeus), tak i w organizacjach powstańczych dużo bywało szlifibruków, obwiesiów, defraudantów i wprost złodziejaszków. Na te elementy był Amerykanin Żychliński „pies zawzięty" i postrach i „młot", jak się to mówi po angielsku. A że z ostrymi sądami się nie tail, że nagą prawdę mówił na lewo i na prawo, że paniczyków tępił i przepędzał, a i przed stryczkami się też nie zawahał, więc wyrobiło mu to dość niezasłużoną famę „sankiulota", „carbonara", „amatora wieszania szlachty" i „sztyletników herszta". „Dzieci Warszawskie" uchodziły za formację także i socjalnie rewolucyjną i czerwoną. Stąd też zdaje się sztywność, chłód i lakoniczność... Teodora Żychlińskiego, gdy pisze pięć wierszyków o Ludwiku Żychlińskim, a pięćset wierszy o pułkowniku... powiedzmy sobie kimś innym.

Tutaj głos jeszcze mogliby zabrać kompetentni sędziowie przysięgli: to jest familia, spadkobiercy, imiennicy oraz historycy-specе.

Opowiadacz niniejszy: A. N., miłośnik dzielnicy wydziedziczonej i po macoszemu traktowanej, opowiadacz A. N., lubownik wszystkich tej dzielnicy kopciuszkowej „prominents", ma w sprawie L. Ż., jednego z najtęższych i najrzetelniejszych Wielkopolanów, to jeszcze do nadmienienia:

I. „Carbonariusz" to nie był, skoro pisał w Pamiętniku: „Ksiądz Adam, naczelny kapelan, który dla mnie był główną podporą".

II. Wieszać zdrajców, szpiegów i złodziei grosza publicznego trzeba było, ale... znacznie więcej i częściej. Pod tym względem L. Ż., aczkolwiek miał opinię terrorysty, a jego żandarmerię polową przezywano także „sztyletnikami", to co nieco raczej się zaniedbał, rozmiękł, przedwcześnie znużył i zmęczył. „Tempore belli" parszywe owce i notoryczne szelmy się rozstrzeli-

wuje, a nie puszcza łatwo płazem dla roznoszenia zarazy bezładu i rozstroju w społeczeństwo. Pod tym więc względem nie tylko nie przesolił, ale niedosolił.

A teraz co do koncepcji generalnej o całej akcji wojennej pułkownika Żychlińskiego: Do powstania przygnał aż z Ameryki natychmiast, ale w Londynie się zatrzymawszy (u krewnych), skoro pierwszych informacyj zapas zaczerpnął (Langiewicz dyktatorem?), od razu zraził się, już chciał do Ameryki wracać, ale kategoryczny rozkaz matki-Polki wzorowej rozstrzygnął. Był już brat w powstaniu, powinien był i on sam choć nieufny i w wygraną niewierzący. W „Pamiętniku" swoim przed drugim takim tak zaimprowizowanym powstaniem jednak ostrzega. Ale skoro już raz wszedł, traktował wszystko bardzo serio, ostrzegając przed amatorstwem, tępiąc zawalidrogów, dyletantów, bawidamków i tych, co sobie ze świętej sprawy robili maskaradę i widowisko. Widział naocznie, jak się bój o zjednoczenie i niepodległość przygotowuje w Italii, jak się robiła insurekcja amerykańska, więc nie można było od niego wymagać wyrozumiałości dla opieszałości, gnuśności i lekkomyślności ... no i by mu się podobał i konweniował w „wojence" styl polski (od brawury do depresji i prostracji).

Powstanie i to narodowe w sensie włoskim czy irlandzkim zaczynało się dla niego dopiero z momentem, kiedy cały naród, to jest i lud, warstwy fizycznie pracujące wzięłyby udział w akcji zbrojnej. To powtarzał stale, upornie, w cztery oczy i w głos „coram publico", wyprzedzając w poglądzie tym wszystkich ludzi swojej sfery, zyskując renomę czerwonego reformistyka, chłopomana, postrzeleńca, dziwadła, don Kiszota czy fra Diavola. No i jeżeli się zważy i uwzględni mentalność dzielnicy z tej ery po 1860, z której się wy-

wodził, to istotnie szef „Dzieci Warszawskich" romantyzmu miał w sobie sporo, równocześnie bardzo dzisiejszym będąc, bardzo nowoczesnym (patrz „Kordian i Cham").

Z czołowych postaci insurekcji styczniowej jeden z najciekawszych tym bardziej, że minimalnie znany. Z Wielkopolski idących w każdym razie większy kaliber od Calliera czy Cieleckiego i więcej urodzony na wodza, na „commandingmana", niż Taczanowski, a nawet niż Langiewicz.

Kto by miał zastrzeżenia, niech udowodni, w czym przesadzono.

POZNANIANKI



Tak, tak, Pani Mito, miała Pani rację, stanowczo. Dziś to przyznać mogę, nazbierawszy argumentów, przykładów i dowodów, właśnie Pani rację stwierdzających.

Było to już dość dawno i zdaje się w Oporowie. Mówiliśmy może przelotnie a może i rozciąglej o Wielkopolankach. Ja po swojemu coś tam wtedy wydziwiałem, że za szare, za bierne, za domowe, wcale nie zindywidualizowane, w charakterach i w typach reprezentacyjnych słabo obrysowane. Ot, że „wzorowe", ale przeciętnie tuzinkowe, ani nie precieuzy, ani nie amoureuzy, ani bohaterskie, ani tragiczne, nigdy otoczenia nie przerastające, niczym się nie wyróżniające, w historii nie zapisane, przeważnie przykładne połowice, bogobojne niewiasty, białogłowy, tylko płeć odrębna i nic więcej. Ot, jak się to mówi o tym z warszawska wśród literatów. Nie interesujące, nieciekawe, szaraczki. Domowych, ogniskowych cnót co niemiara (quoca domestica), ale że wedle dzielnicowej maxymy: mulier tacet in ecclesia (Kinder, Küche, Kirche), więc ani tu Emilii Plater, ani Zofii Chrzanowskiej, ani pani Hańskiej, ani pani Delfiny, ani Aldony, ani Grażyny, ani... Ewy Pobratymskiej, ani kniahini Kuncewiczowej, ani Walew-

skiej, ani, ani... Połanieckiej... Tak się ułożyły stosunki i obyczaje tradycyjnie od zamierzchłych czasów.

Gdy dziś więc mowa o słynnych, wielkich, uroczych Polkach, Wielkopolanka się nie liczy, nie wchodzi w rachubę, nie kładzie się w regestr.

Taki to był i mój dawny pogląd konwencjonalny i szablonowy, metropolitalny, klerkowski. Ale czy pod każdym względem, na całym froncie i bez reszty słuszny? Otóż: n i e. I to do tego stopnia: nie, że go trzeba już poddać pobieżnej choćby rewizji; taki szkic planu rewizyjnego. Inni i inne niech w szczegółach rewizję zrealizują. Feci quod potui... faciant meliora sequentes.

Najpierw na punkcie urody. Tu powołać się można w pierwszym rzędzie na autorytet... Napoleona, choć ex contrario. O Wielkopolankach wyraża swoje zdanie dwukrotnie i dwukrotnie... ujemnie. Obydwa razy w listach do piekielnie zazdrosnej i niespokojnej o pewnego buhaja Józefiny: „Urobiłaś sobie o pięknie Wielkopolanek mniemanie, na które nie zasługują.“ (12. 12. 1807).

Pierwszy zaś raz w listopadzie r. 1806: „Były na balu niedobrze ubrane“...

Wobec czego cesarzowa Józefina mogła już spać spokojnie. Nawiasem mówiąc, właśnie na ten bal dworski Wielkopolanki wypuczyły się co zowie, na co dowód przytacza w Pamiętniku swoim Bibianna Moraczewska z opowiadań swej matki, że aby tylko „klinkliny do sukni kupić“, trzeba było jeszcze jedną krowę sprzedać... W każdym jednak razie f a m a o u r o d z i e specjalnie Wielkopolanek musiała być wielka i to nawet w Paryżu, skoro sam Napolion samą Józefinę musiał zapewniać, że tak dobrze nie jest...

Po Napoleonie świadkiem drugim koronnym mógłby być ewentualnie Heine, który słynny panegiryk o Polkach („A teraz klękajcie“) napisał, poznawszy jedynie i tylko Wielkopolki, i to głównie z familii Brezów (1827).

Ale otóż i właśnie: Brezów! A propos Brezów: z tej to rodziny wywodzi się jedna reprezentantka rasy wielkopolskiej, która rehabilituje cały gatunek, całą faunę pod względem temperamentu i rozmachu renesansowego.

Żyła w wieku XVII-tym. Bardzo podobna do Ibsenowskiej bohaterki „Pani Inger na Oströtat“, a nieco podobna do Undsetowskiej „Krystyny, córki Lawransa“. Warszawski historyk i szperacz A. Kraushar poświęcił jej krótką monografię. Za życia obsmarował ją w swych satyrach Opaliński. Aczkolwiek z Wielkopolski nie dałoby się wyciągnąć tyle materiału obyczajowo-awanturniczego, ile z jednej tylko ziemicy przemyskiej wydobył Wł. Łoziński w „Prawem i Lewem“, to jednak sama Barbara Brezianka starczy za wszystkie i jest jakby sobowtórem psychofizycznym małopolskiej Diabłowej Stadnickiej. Mężów miała czterech, procesowała się przez lat czterdzieści z siostrami, szwagrami, nawet z rodzoną macią (de domo contessa Schoenaich).

Z prastarych czasów t a k ż e dla świetnej kolorystycznej p o w i e ś c i historycznej jakby urodziły się, kwalifikują się, c z e k a j ą dwie panie Śniatyńskie. Jedna była żoną wiernego katolika ortodoxa, druga żoną zajadłego dyssydenta, heretyka. Żarły się ze sobą Janowa z Mikołajową, dźgały i podbechtywały przeciw sobie rodzonych braci, aż i doszło do procesów, do awantur i do zajazdów całkiem jak na Litwie i w kresowych województwach. Nie bardzo tam były „szare“

i przeciętne i „kury domestiki" panie Śniatyńskie, skoro o nich tyle popisano w kronikach grodzkich, sądowych.

Tak, ale to było dawniej, bardzo dawniej. Takich „femmes fortes", takich viragów i „hic-mulierów" w późniejszych czasach już potem Wielkopolska nie produkowała. Zapewne. Ale i w Polsce i w Małopolsce mniej albo wcale ich później nie było i nie bywało. Z mocnym atoli temperamentem i fantazją rycerską, z rezolutnością jednak bywały. Weźmy jako przykład taką panienkę osiemnastoletnią, której przyszło raz w życiu tańczyć i konwersować ze samym „Bogiem Wojny". Dzisiejsza osiemnastolatka na balu zapewne straciłaby tupecik, gdyby jej Bonapart stawiał głupio ordynarne zapytanka. Panna Kwilecka z listopada r. 1806 nie straciła:

— Ile pani ma dzieci?

— Sir, nie mam dzieci.

— Kiedy pani się rozwiodła z mężem?

— Sire, nie miałam męża, jestem panną.

Właściwie mogła mu jeszcze dodać: „Sire, diabli tobie do tego. Lepiej byś się Sire, tańczyć walca nauczył. I brzuch ci, Sire, zanadto prędko rośnie"... W każdym razie dziewiczość swoją zamarkowała całkiem rezolutnie... Osiemnastolatka.

Wyższa kategoria rezolutności, już z heroizmem połączona, to pewna panna Jeziorowska. Rok 1847. Na „Placu Działowym" rozstrzelali jednego z pierwszych niepodległościowców — Babińskiego. U Świętego Marcina nabożeństwo żałobne, patriotyczne. W kościele ścisk. Na fisharmonii gra Iza Kurnatowska, śpiewa młode dziewczątko. Śledztwo. Do więzienia panienkę. Panienkę z „dobrego domu"! Sześć tygodni. Proszą, żeby wydała komitet urządzający. Ani słowa. Umiała

śpiewać, a nic nie „wyśpiewała" w śledztwie. Mężczyźni, w t e d y bywało, że wyśpiewywali i wsypywali współspiskowców. Panienka ani słówka. Wyszła potem ładnie zamąż za bogatego kupca Lorentza z Rynku, bohatera z listopadowego powstania...

Albo takie trzy panny Koszutskie. Córki Nestora (sic) z Jankowa z matki Bnińskiej. Rok 1848, marzec. Podobno trzy cacka, trzy Gracje, trzy ślicznoty. Porywa je atmosfera rewolucyjna i temperament. Trzy jakby Gaskonki wdziewają na siebie obcisłe amazonki (pewnie czarne), cylinderki, biorą torebki pełne kokardek rewolucyjnych i galopem wpadają na rynek w Trzemesznie, gdzie wzburzonego ludu moc. I tu rozdawanie i przypinanie z koni mężczyznom kokardek. Już to śliczna malarsko scena, może Kossakowska. Zjawia się na rynku kataryniarz i zaczyna pitolić mazurki i obertancy. Córeczki Nestora z Jankowa bez namysłu z koni zeskok i jazda z przyszłymi powstańcami do tańca... Czyż nie powinno się ku pamięci trzech dzielnych amazonek wprowadzić tę scenę jako doroczny o b c h ó d w T r z e m e s z n i e, taki jak w Krakowie lajkonik? Trzemeszeńskie Walkirie...

A nie pognały to na Polskę, na Warszawę już za naszych czasów na rumakach radykalizmu Wielkopolanki z krwi i kości: Iza Moszczeńska, Stefania Sempołowska i Szczawińska-Dawidowa?

I teraz zbliżamy się do Polek całkiem serio. Może w tej dzielnicy nie znalazłaby słusznego i częstego zastosowania dewiza: „c h e r c h e z l a f e m m e" zapewne, ale jednak często wykazać da się prawdziwość przysłowia: „my rządzim światem, a nami kobiety" (Krasicki) nie kokiety! kobiety.

Species tutejsza ma istotnie większą wagę... moralną. Wagę i walory. Typ wschodnio-kresowo-polski

wielkich kochanic i wielkich metres nie wzeszedł tutaj ani w jednym egzemplarzu, nawet jako wyjątek z reguły, z normy. Pamiętnikarz Ukrainy, Podola, Wołynia Bobrowski (wuj Conrada), który dwa pełne tomy zapełnił kolosalnymi skandalami, „porubstwem i rują", romansami, rozwodami, bastardami i lokajami, tu w Wielkopolsce nie zebrałby tekstu nawet na jedną stronniczkę. Natomiast ten, coby zaryzykował napisanie kobiecego Plutarcha polskiego, księgi wizerunków z matkami-Spartankami, z matkami Gracchów, z matkami-bohaterkami, ten mógłby tutaj zebrać materiału na ładne dwa tomy. Szczególnie obficie, bujnie i we wspaniałych egzemplarzach rodzą i wschodzą te kwiaty cnót (przeciwwstawienie wschodnich „f l e u r s d u m a l") w latach powstań polskich w 31, w 63 i w tym haniebnie i bezecnie przemilczanym, bojkotowanym przez Aszkenazów i Handelsmanów (i ich szkółki) roku 1848.

Już w imionach tych Polek z Zachodu przeważają imiona w r ó ż e b n e, patos ofiarniczego światopoglądu wykazujące.

Na Wschodzie: Laury, Delfiny, Charlotty, Ewy, Natalie, Magdaleny, Beatrycze, Salome...

Na Zachodzie: Barbary, Brygidy, Agnieszki, Tekle, Apolonie, Kunegundy, Walentyny, Weroniki, Leokadie, Klaudie, Petronele, a trafiają się nawet Scholastyki, Celestyny, Domicele, Prowidencje... Tak, to są już imiona w r ó ż e b n e, z góry linię żywota wytykające. Jeżeli trafiają się tu gdzieniegdzie Kordelie, to te piszą się w metrykach: Kordula (sic). Jeżeli przypadkowo nadano na chrzcie świętym zbyt lekkie i frywolne: Melania, Malwina, Rozalia, Natalia, to wtedy nosicielki nadrabiają w przykładnie cnotliwym żywocie, aby zatrzeć złe wrażenie zbyt romantycznego czy romansowego imienia. Małżonkowie z tych czasów (między Listopadowym a Styczniowym w czas Marcowego) noszą niekiedy (podobnie, jak na Wschodzie) przedziwnie dziwne imiona starogreckie (Artakserkses, Nestor, Hektor) lub imiona zgoła kościelne: Tertulian lub Telesfor... A jeżeli trafi się wśród kobiecych tak rzadkich jak: Taida lub Bibianna, nawet takie, jak pogańska Nimfa, to właśnie ta Nimfa wedle tradycyj klanowych jest lekkich, zwodniczych, zaczepnych nimf antypodą, zaprzeczeniem i ciężkiej wagi matroną już od swej panieńskiej, wiośnianej ery...

Obok atoli imion tak pierwotnie „chrystyjańskich", jak Prowidencja (Telesfora ma męża), lub Scholastyka (małżonka Nepomucyna) niespodziewanie trafiają się i tu imiona zgoła pogańskie, coprawda lechickie. Zanim to jeszcze w Warszawie czcigodny pisarz i myśliciel poseł Stanisław Majewski nadał śmiało swym córkom prasłowiańskie (prof. Stelmachowska), był sobie tutaj, w Wielkopolsce, szlagon q u i d a m Mikorski Józef. Jakiś czas nawet ubierał się „b e n e n a t u s" i „p o s s e s i o n a t u s" po chłopsku jako i inni dwaj grafowie chłopomani Mielżyński i Czapski. Córek miał cztery, a z tymi córkami cztery razy kłopoty z kanonikami w zakrystii, kiedy prosił, aby wypisywano: Lechna, Ludmiła (ujdzie), Dobrogniewa, a wreszcie Żnisława, dosłownie: Żnisława.

Bogusławy bywały, ale Żnisławy jako żywo nigdy nigdzie. Rzecz prosta, że takowe Żnisławy czy znowuż Prowidencje do żadnych „romansów z literatami" nie były predysponowane. Ani do tego, aby być Egeriami wieszczów lub... Lisztów lub mistrzów. Ani do pozowania zgoła... Siemiradzkiemu, Żmurce, Styce czy Podkowińskiemu (do „Szału": rudaska na rumaku)...

Tu wschodziła i tu się rodziła species całkiem inna. Tamte dobre na czasy pokoju i prosperity, tutejsze na czasy ciężkie, burzowe, wojenne, wyzwolinowe. Tamte dla alków, buduarów, salonów, tutejsze dla lazaretów, szpitali, więzień. Tamte więcej z Magdali, te więcej ze Samarii.

Co zaś najważniejsze i najciekawsze, to to, że nie były... nudne! Ani patetyczne, ani parafialne, ani „prowincjałki", ani przygniatające swoją cnotliwością, a czasem wprost świętością. Przy czym bardzo kobiece, niekiedy bardzo kochliwe, niekiedy cudusie i śliczności.

Miała Pani tedy rację, Pani Mito, ongiś broniąc przed atakami „warszawisty" Wielkopolanek.

Nowych dowodów jeszcze dostarczę Pani „przyszłym razą", jak się to mawiało dawniej w naszym Krakowie...

REDAKTOR MONTECHRISTO



Mniejwięcej 40 lat temu w publicystyce stołecznej tak z prawego jak i z lewego boku dużo było przy pierwszych skrzypcach Wielkopolan. Zadzierżystych, wojowniczych, zaczepnych i mocnych w kręgosłupie. Jak do Galicji szli z oświaty kagańcem więcej naukowcy, wiedzowcy, specjaliści (Małecki, Morawski, Pawlicki, Liske, Korytowski, Szczepanowski etc.), tak do Warszawy więcej ciągnęło intellekty i temperamenta polityczno-dziennikarskie. Uważali takie przenosiny widocznie za swój także i obowiązek, za posłannictwo i misję. Nie zostawiali duchowej stolicy Polski na pastwę, tak jak teraz, szajgecom i scheingeistom, perecom i purycom, wyżłom, kleinmanom i grosternom. Równocześnie więc grywali w kapeli prasy przy pierwszych skrzypcach Sygietyński i Lutomski, Moszczeńska i Sempołowska, Choiński, Breza, Rabski, Wierzbiński, Sokolnicki i wielu innych. Zdolne Żydy z małych miast wielkopolskich szły wtedy do Berlina, z małopolskich do Wiednia, a Wielkopolanie jak przystało — do Warszawy. I tak było w porządku. A wprost przeciwnie jest teraz.

Tęższe talenty i bardziej awangardowe indywidualności bywały po stronie prawej z zachodniego

brzegu Wisły. Wtedy to przeciw wzburzonym falom i bałwanom ówczesnej radykalii (ruszczyzną i rosyjską mentalnością przepojonej do szpiku kości) stawiali mocne tamy odważni Poznaniacy. Gdyśmy młodzi zaczęli szarpać i tyrpać H. Sienkiewicza, dostawały się nam (zasłużenie) mocne cięgi głównie od Wielkopolusów, zresztą także exradykałów. Tak było w roku 1903.

Ale i czterdzieści lat przedtem, to jest w pamiętnym roku 1863, podobny był układ stosunków w prasie ówczesnej o tyle, że po stronie prawej to jest u „Białych" było kilka wybitnych piór właśnie z Wielkopolski.

Najdalej w kierunku zachowawczym poszedł do niedawna bardzo czerwony radykał niepodległościowiec, a nawet czasowo więzień polityczny, słynny autor ramotek „chirurg filozofii", felietonista August Wilkoński. Tego zaangażował do swego „Dziennika Powszechnego", broniącego polityki „zamkowej", hr. Henryk Rzewuski. Współpraca Wilkońskiego w „Dzienniku", gdzie już wówczas zamieszczał swe świetne ale drażniące paradoksalne komunały osławiony Miniszewski, nie trwała zbyt długo.

Drugim Wielkopolaninem był Denel z Odolanowa, urzędnik zboru ewangelickiego, gorący patriota, który w roku 1860 aresztowany, rok cały przesiedział w cytadeli, po czym wypuszczony, brał czynny współudział w organizacji Komitetu Centralnego, ale w założonym przez siebie piśmie „Strażnica" bardzo energicznie pisywał przeciw wszelkim ruchom rewolucyjnym. Ten sam, skoro już insurrekcja wybuchła, odrazu poszedł „w lasy" i jeden z pierwszych zginął na polu chwały 9 kwietnia 1863.

Trzeci i najciekawszy to był „redaktor Montechristo".

Tak raz nazwał Mieczysława Waligórskiego Kazimierz Jarochowski. I tak się już utarło w świecie dziennikarskim Poznania, Krakowa, Warszawy i Berlina: „Redaktor Montechristo".

Ponieważ człowiek ten odegrał dość poważną rolę w epoce przed- i popowstaniowej, a był też indywidualnością zagadkową, tajemniczą i problematyczną, przeto zajmiemy się nim co nieco w przypuszczeniu, że ktoś z badaczów lokalnych po podrażnieniu ciekawości, zajmie się tym właśnie, w jakiej to mierze redaktor Waligórski zasłużył na epitet... „Montechrista".

Pochodził z drobnej szlachty. Czy był krewniakiem jednego z wodzów Styczniowego Powstania, to jest gen. Waligórskiego z Galicji, niewiadomo. Wiadomo, że kształcił się w gimnazjum w Lesznie. Wiadomo, że studiował prawo w Berlinie. I wiadomo, że zaczął błyszczącą karierę od służby w... policji berlińskiej. Już to chyba rzuca pierwsze dziwaczne światło na przyszłego redaktora... „Dziennika Poznańskiego". Tłumaczył się z tego w późniejszych latach tym, że Polak powinien poznać wszelkie gałęzie administracji państwowej i że taka praktyka policyjna juryście niejednemu też się przyda.

Dziennikarski zawód zaczął od założenia w Poznaniu organu ugodowego, który miał bronić interesów polskich... w języku... niemieckim... „Deutsche Zeitung". Po roku oczywiście organ zlikwidował się, ale na Waligórskiego padł znów taki cień, jaki później na... K. Waliszewskiego, historyka, też nawiasem mówiąc Wielkopolanina. Do Warszawy przeniósł się jako agent słynnej spółki finansowej i grupy „Tellus" z tym zadaniem, aby zjednywać dla „Tellusa" akcjo-

narjuszów. Tu wszedł w koterię barona Leopolda Kronenberga i objął natychmiast ekonomiczną rubrykę w nowozałożonej „Gazecie Codziennej" czyli Polskiej. Organ ten ufundowała plutokracja stołeczna dla zwalczania antysemityzmu i tegoż organu: „Gazety Warszawskiej", prowadzonej przez Ant. Lesznowskiego. W piśmie Kronenbergów (Epsteinów, Blochów, Laskich Bersohnów) na głównego kapelmistrza liberalizmu i tolerantyzmu zaangażowany był wielki tuz w opinii J. I. Kraszewski; redaktorem politycznym patriota i męczennik Karol Ruprecht, a z Wielkopolski wzięto dwóch konserwatystów, to jest T. Żychlińskiego i M. Waligórskiego.

Ten ostatni był ułomny, to jest garbaty i nieco utykający na nogę. Nadto stary kawaler. No i wreszcie niepiśmienny, to znaczy, że sam artykułów ani pisał, ani sklecić nie mógł, ale był „kepełe", czyli „szpicifinder", znał się na sprawach i na ludziach na wylot, umiał wybierać dla swoich celów z otoczenia co najzdolniejszych i tych sugerować i inspirować. Daje temu świadectwo w swym „Pamiętniku" właśnie jeden z takich przez niego odkrytych, znany i zasłużony pisarz i historyk T. Żychliński. Obaj, obok Kraszewskiego i Ruprechta, prowadzili warszawską liberalną „Gazetę Codzienną" w krytycznym roku 1862. Można śmiało powiedzieć, że oni a głównie Waligórski nadawali ton prasie stołecznej, balansując ideowo między ugodową konserwą „Dziennika" (Wielopolszczyzna), narodowo-antysemicką „Gazetą" a niezliczonymi tajnymi i podziemnymi drukami i ulotkami wzbierającej rewolucji, mniejwięcej w terminie majowym lub czerwcowym wybuchnąć mającej...

Sytuacja polityczna „Białych" była w krytycznych miesiącach najtrudniejsza i najskomplikowańsza.

Kler wyższy i niższy szedł wbrew woli arcybiskupa Felińskiego wyraźnie z „Ruchawcami", a z kościołów wyszły wszystkie poważne demonstracje i manifestacje. A kiedy w katedrze Św. Jana grzmiał przeciw tajnym organizacjom i „zgrajom rozpasanych mnichów" galicyjski „złotousty" a miedzią brząkający ksiądz Golian, to u Bernardynów na Krakowskim Przedmieściu nieprzeliczone rzesze rozpalał tęsknotami do niepodległości Wielkopolanin ksiądz prof. Jażdżewski, aż mu wreszcie tak jak i „białemu" Kraszewskiemu wręczono rozkaz natychmiastowego wyjazdu (2. II. 1863).

Waligórski z Żychlińskim trzymali się razem. Ale kiedy zaczynało być bardzo gorąco, przyszła „Branka" Margrabiego i niespodziewany pobór młodzieży, mający powstaniu zapobiec, „redaktor Montechristo" wolał ze swoich apartamentów w pałacu Uruskich (dziś Czetwertyńskich) przenieść się szybko do zawsze bezpieczniejszego... Krakowa. Żychlińskiego (porucznika artylerii) poniosło do Wąchocka, do Goszczy do głównej kwatery dyktatora Wielkopolanina, Krotoszyniaka rodem, wodza naczelnego Langiewicza.

W Krakowie „redaktor Montechristo" rezydował w Saskim Hotelu, znalazłszy się w swoim żywiole i robiąc wielką politykę zagraniczną. Kancelarię dyplomatyczną zorganizował sobie i skompletował głównie z młodych hrabiów i książąt. Zawsze go ciągnęło do utytułowanych i posesjonatów. Galicyjscy panowie palili „cygara" i najwięcej liczyli to na Napoleona III (durez! durez!), to na Eugenię, to na Sułtana, to na Kaiserfranca. W tych wszystkich politycznych robotach, robótkach i machlojkach „redaktor Montechristo" magna pars fuit, zasypując stolice Europy depeszami, desygnując i degradując tajnych ambasadorów, wynajdując coraz to nowy szyfr dla korespon-

dencji, pracując za czterech. Aż i on wreszcie, choć „Biały", ale jednak amarantowy i w „rogatce" na głowie, doczekał się, dosłużył rozkazu natychmiastowego opuszczenia grodu pod Wawelem (maj 1863).

Następuje epoka w życiu „redaktora Montechristo", w której pławił się w dyplomatycznościach, w interwencjach, w audiencjach, w memoriałach, w której bawił to w Londynie, to w Wiedniu, to w Paryżu, na szerokich wodach, nawiązał serdeczne stosunki z Palmerstonami i Gladstonami, z Grammontem i Walewskim, z Beustem i z Belcredim, w ogóle z całą elitą dyplomatyczną. Bronił wszędzie zacięcie i sumiennie interesów Polski i likwidowanego z angielskim okrucieństwem powstania, co „redaktorowi Montechristo" nie przeszkadzało... grać szczęśliwie na giełdzie berlińskiej. W tych fortunnych operacjach finansowych, może tylko w tym jednym przypomina cokolwiek... Zygmunta Kaczkowskiego...

Po kilku sezonach europejskich gościnnych występów, wraca z aureolą europejskiej célébrité, „przyjaciela samego Girardina", „samego Schlesingera" do cichego skromnego Poznania, znów (jak po r. 1848) pełnego byłych „uczestników" i wojaków, ludzi bez ręki, bez nogi, niedawno z „kazematów" wyszłych, ze Sybiru popowracałych.

Jeden z najgenialniejszych, z pozytywnie genialnych a przy tym najbardziej interesujących, wskutek czego „mało znanych" ludzi tej dzielnicy, to jest Cegielski Hipolit, wiąże Waligórskiego z „Dziennikiem Poznańskim" i jego grupą intelektualną. Następuje trzeci okres błyszcząco-lśniącej kariery niepiśmiennego żurnalisty. Waligórski z tych lat przypomina cokolwiek Piotra Górskiego z „Czasu", traktując surowiej dr. J. Orłowskiego, lżej biorąc Dobrzańskiego lwowskiego, a bardzo wysoko sięgając... lorda Beaconsfielda. Wielką politykę robi, trzymając się mocno pańskiej klamki. Organizuje, elektryzuje i masuje karki Torysów. Jego „lencze" (lunch), obiady, dinners, kolacje mają ustaloną renomę. O winach i cygarach pozostała tradycja. Na niedzielnych „pogadankach" politycznych (przekąski) bywa i „miasto". „Czapką, papką i solą ludzie ludzi niewolą". Pomimo tego wszystkiego trzy razy podaje się cierpliwie na członka „Koła Towarzyskiego" i trzy razy (podobnie, jak Disraeli w Londynie) zostaje przebalotowany. Jakieś tam pogłoski, jakieś bajdy może niewiarogodne krążą sobie po ludziskach via Wiedeń, via Paryż, rozmaicie.

Dla pocieszenia wotują na niego do parlamentu, a Waligórski, mszcząc się na wrogach „demokratach" z „Koła Towarzyskiego", zakłada ekskluzywną torysoską „Resursę Ziemiańską". Rok 1867 jest jego szczytem życiowym. W Berlinie przemawia z trybuny, zyskuje laury jako „pogromca Libelta", w Poznaniu na obiadach gości purpuratów i ordynatów. A kiedy pogłoski nieprzyjemne wzrastają na sile i impecie, bronią go tacy nieskazitelnicy, jak colonel Callier, przezacnie naiwny (zresztą „Dziennika Poznańskiego" administrator), no i sam K. Jarochowski, co go „Montechristem" nabierzmował.

Koniec tragiczny, jakby wyjęty z powieści Dumasa syna.

Zima, grudzień. Święta Bożego Narodzenia. Wszyscy posłowie i członkowie Izby Panów rozjechali się i są już wśród rodzin. Deputowany Waligórski musiał zostać, bo ni stąd ni zowąd zapadł nagle na straszliwą „czarną ospę". Dostęp do apartamentu zakazany. Tylko lekarze i „Schwester". Umiera w całkowitym dosłownym osamotnieniu. Ani łomu, ani domu. Grzebią

go pośpiesznie. Żadnych mów, żadnych splendorów. Jeden colonel Callier przyjechał. Testamentu żadnego, bo się przecież śmierci nie spodziewał. Zresztą i pocóż by testament, kiedy same długi zostały i to na wszystkie strony. Taki bogacz, taki krezus, taki amfitrion! Po trzydzieści osób siadało do stołu! Ileż to toastów ku jego czci wypito! Ileż kochajmysiów! bruderschaftów!...

...„w ręce naszego najczcigodniejszego, najszanowniejszego, tyleż zasłużonego inicjatora naszych „Czytelń Ludowych", które oświaty... kaganiec niosą, zbłądziwszy pod strzechy"...

We wzmiance biograficznej właśnie mały passus a propos... że do Berlina wziął ze sobą także fundusze z Czytelń... No, i że nic z tego się nie znalazło...

Niewiadomo. Niewiadomo. Nic nie stwierdzono ściśle. Mawiano i mówiono rozmaicie. Zazdrość też może grała przy tym swoją rolę. Ni z pierza, ni z mięsa, a dął się mocno i był „więcej hrabią" jak książęta bywają. (Bez kija nie podchodź). Cokolwiek też prowincjuszów kłuł w oczy tą Europą i tymi Wiedniami i Londynami. Może więc niesłusznie te różne takie o nim. W każdym razie to był ktoś „kelkęn", jak się wtedy nazywało. „Nietutejszy" w stylu, ale oryginalny wskroś okaz, bo dziennikarz a niepiśmienny. Ułomny ale „kelkęn".

WSPOMNIENIE O KOŚCIELSKICH



Dawno zmarłego, całkiem zapomnianego, może tam w Wielkopolsce nigdy tak znowu niepopularnego, Józefa Kościelskiego, z tej racji dziś właśnie, pozornie niby ni stąd ni zowąd, jednak przypomnieć się godzi, ponieważ był to człowiek, który nie tylko ponad-dzielnicowo i między-dzielnicowo czuł się i orientował, ale konieczność tej poza- i ponad-dzielnicowości jako zasadę i program wyznawał i głosił.

Takich trzeba znów wciąż przypominać i ważność zasady tego poglądu donośnie i natarczywie nawet propagować. Co jakiś czas dostajemy nowy gabinet, znów trzech ministrów ze Wschodu, z Wilna i znów w rządzie ani jednego Wielkopolanina, i znów preteksty i ekskuzy i gadaniny, że ta dzielnica żyje życiem ekskluzywnym w splendid isolation. I znów, że nie produkuje ludzi większego formatu i na export ino na domowy wyłącznie użytek: for private circulation. Nadto, że „Oni" nie chcą się mieszać w bałagańczyk, nie chcąc brać odpowiedzialności za to, co się w metropolii niedobrze dzieje, stroi i układa.

Może to będzie z Kościelskiego wzór i przykład nie tak znowu najakuratniej i najtrafniej wybrany,

ale do tegoż doboru przyczyniły się względy stricte prywatnej natury, poznanie bliższe i gościna pierwsza w Miłosławiu lat temu dobre trzydzieści „i coś", z ojcem długoletnie przyjazne ustosunkowanie, dla syna szczera sympatia, dla historycznej siedziby stałe zainteresowanie, respekt przed ongiś tak promieniejącym kulturą ogniskiem, reminiscencje de Birbante Rocca, wreszcie zaciągnionego długu wdzięczności takiej choćby formy wspomnieniowej uiszczenie.

„Długie to są sprawy, jeżeliś ciekawy, posłuchaj, opowiem, mój panie."

Słowo „Miłosław" usłyszało się po raz pierwszy z ust rówieśnika i towarzysza A. Mickiewicza, poety Karola Brzozowskiego. Szedł ze Lwowa przez Kraków do Miłosławia na odsłonięcie pomnika Słowackiego w prywatnym magnackim parku piechotą, szedł piechotą, piechotą szedł Pielgrzym z długą brodą, Wincentego i Stanisława de Korab Brzozowskich rodziciel. Zatrzymał się wśród nas młodych adeptów literatury w Krakowie w kawiarni Schmidta przy rogu Szewskiej i Plant i przepędził z nami dwa czy trzy dni wypoczywając. W środku złączonych stolików siedział jako ten Wernyhora, otoczony wiankiem żółtodziobatych in spe geniuszków, wsłuchujących się z zapartym oddechem, co sędziwy Pryam opowiadał o Słowackim... z entuzjazmem gorącym, o... Mickiewiczu z chłodniejszym. I to już w umysły pączkującej „Młodej Polski" zapadło: dla Juliusza bez zastrzeżeń, bezgraniczny kult, rozkochanie, miłość, dla Adama respekt, czołobitnia, uwielbienie.

O odsłonięciu pomnika Słowackiego w Miłosławiu dłuta Marcinkowskiego czytało się tedy z palpitacjami serc; słowo: „Miło-Sław" czytało się jako symbolicznie dźwięczące: miłość sławy; Kościelski

fundator a przy tym literat, poeta, mówca, stał się na jakiś czas faworytem i mitem.

W dwa czy trzy lata potem po różnych osobistych perypetiach i awanturach jako student uniwersytetu monachijskiego, co nieco słuchacz prof. Lippsa, ale więcej bohémien, uboga pijaczyna, aventurier, porubczyk, Berenta gorszyciel — zapadłem ciężko na płuca, po raz pierwszy. Ważyło się wtedy coś w sumie 40 kg z paltem i książkami w kieszeniach palta. Doktorzy nie wróżyli długowieczności a wprost przeciwnie kilka miesięcy. A tu na leczenie solidniejsze i kosztowniejsze ani rodzina, ani rodacy pieniędzy nie mieli. I wtedy poratował z pierwszym subsydium Józef Kościelski. Miał w Monachium kilku malarzy (Wojtala) i kilku biedaków na politechnice, którym pomagał. Odniosły się wtedy do niego przyjacioły z licznej kolonii polskiej, z Wielkopolan zacny Paczkowski, Wize i inni, wypisali superlatywy, o talencie, o pracach drukowanych w „Kraju", w „Ateneum", w „Jugend" (dwa wierszyki niemieckie) i z Miłosławia przyszły pieniądze na drogę oraz zaproszenie w liście bardzo serdeczne.

Można sobie wyobrazić chyba radość i wdzięczność młodego typa, gdy się znalazł w tym parku, gdzie był ten pomnik i w tym pałacu, gdzie rezydował magnat, piszący wiersze i dramaty, kolega. Pani domu była w tych latach czarująca, dziewczynki, Kasia i Emilka — śliczne i urocze, mały Władeczek szedł wcześnie spać i się nie liczył. Jeszcze teraz jest tam majordomus cameriere, co to pamięta i poznał głos mój w telefonie z „Continentalu".

Pałac był jak z bajki, kulturalnymi skarbami przepełniony. Wieczorami przesiadywało się w dużej sali, obwieszonej od stóp do głów obrazami mi-

strzów polskich z Warszawy, Krakowa, Monachium i Paryża, wśród tego dużo Wiewiórskich, Czachórskich, Brandty, Kossaki, Matejki, Fałaty, Wyczóły. I Włosi. I portrety rodzinne.

I tu zaczynały się sprawy ciekawe, adepta dziejowości szczególnie pasjonujące. Kościelscy pisali się z Kościoła, ale gniazdem rodziny był Szarlej nad Gopłem. Byli dobrą szlachtą, mieli w rodzie sufraganów i kasztelanów (Ignacy, Bydgoski Kasztelan), ale o tytuł hrabiowski z rąk pruskich królów się nie starali i nie dostali wtedy, kiedy dostała moc rodzin innych. Gałęzi było kilka. Dobra Miłosławskie kupili od Mielżyńskich. Imiona nosili przeważnie to Józef, to Władysław. W galerii portretów Miłosławskich była słynnie piękna pani Natalia Kościelska, był dziadek pana na Miłosławiu Józef z Szarleja, rotmistrz kawalerii, później za Księstwa Warszawskiego komisarz cywilny, później deputowany na pierwszy sejm Księstwa, wreszcie szambelan dworu pruskiego. Był dalej Władysław Kościelski, zacny patriota i rewolucjonista, aresztowany w r. 1845 z Malczewskim, Białoskórskim i setkami innych, więzień z Moabitu; ten po rewolucji w r. 48 wypuszczony działał aktywnie i bił się, potem wydał dwie broszury po niemiecku, polemizujące ze szkalującą Wielkopolan prasą. Jedna z tych broszur godziła w majora von Voigts-Rhetz, późniejszego generała dywizji z r. 1871, co wywołało słynny pojedynek z tymże majorem. Ten to Władysław Kościelski był jednym z założycieli poznańskiej „Ligi" polskiej. Z dwóch jeszcze ciekawych Kościelskich jeden dla odmiany się zruszczył, a drugi sturczył. Ten pierwszy brał udział w powstaniu listopadowym jako kapitan 3 batalionu piechoty, ale pokpiwszy sprawę pod Grochowem, podał się do dymisji, po czym przeszedł do rosyjskiej służby i doszedł do rangi generała brygady, konsystującej w Płocku przed r. 1860; drugi to słynny Sefer-Pasza, o którym tak się rozpisuje w swych Pamiętnikach... Flaubert. Jak Rzewuski, Czajkowski, Bem, Koszyc-Sahi bey, Potkański-Nadit bey, tak i Sefer przeszedł na mahometanizm, został sekretarzem wicekróla egipskiego i jako przyjaciel Lessepsa i akcjonariusz Kanału Suezkiego zebrał olbrzymi majątek, który w dziedzictwie dostał się Józefowi Kościelskiemu, co prawda już co nieco zapóźno, w kilka lat po ślubie. Wisiał bo wśród tych portretów przodków z Wielkopolski także portret wspaniałego pana cywilnego, który znów w Warszawie grał wielką rolę i w cesarstwie rosyjskim jako wielka głowa finansowa, organizator wielu gałęzi industrii, a nadto autor profetycznej, słynnej książki o przyszłej wojnie europejskiej. Pod wrażeniem tej książki radcy cesarskiego excellencji Jana Blocha zwołał car Mikołaj pierwszą pokojową konferencję mocarstw, która też odbyła się w Hadze. Tego to pana przeniósł pono omal żywcem na deski sceniczne komediopisarz K. Zalewski w sztuce pt. „Nasi zięciowie", wyszydzającej modne wówczas ratunkowe mariaże, wiążące rycerskie ziemiaństwo z potężną finansierą.

Wielkimi ozdobami w Miłosławiu i skarbami pałacu były dwie „biblioteki". Jedna znajdowała się w podziemiu, w piwnicach, dających się oświetlać rzęsiście, gdzie na półkach wzorowo poetykietowane spoczywały rzędami... butele win najprzedniejszych z przewagą słodkiej Francji i gorących Węgier. Druga biblioteka była już normalna, licząca przeszło 10 tysięcy tomów. Złożyły się na nią księgozbiór starosty bydgoskiego Kościelskiego, zakupiona biblioteka Geysztora, dublety księgozbioru Strojnowskich, inkuna-

buły włoskie, bezcenne Aldy i Elzewiry, oraz istny skarbiec najluksusowszych artystycznych albumów i wydawnictw angielskich i paryskich, kolekcja, która obok kolekcyj rokokowych wachlarzy, zbieranych przez panią Kościelską, była oczkiem w głowie, obiektem chluby i dumy dziedzica Miłosławia, Maecenasa sztuki, poety, romantyka, marzyciela.

Był bowiem poetą, romantykiem, marzycielem ten wieloobszarnik, latyfundator i to nie tylko w tym, co pisał, ale i w tym, co działał jako polityk praktyczny, jako deputowany a potem członek Izby Panów. Pisywał drobne bez wielkiej pretensji poezyjki, sonety, tryolety pejzażowe, tatrzańskie, okolicznościowe, imieninowe, rocznicowo-patriotyczne, Heinowskie i Tetmajerowskie, wdzięczne, miłe, zawsze w dobrym guście, w doskonałej formie i polszczyźnie. Lubił je deklamować, jak deklamował Słowackiego całymi stronami na pamięć i jak lubił śpiewać przy fortepianie Szuberta, Chopina, Wolffa i popisową Balladę o Douglasie. Próbował sił pisarskich i dla sceny. Ulubionym przez teatry amatorskie był jego „Dzienniczek Justysi". W krakowskim teatrze zagrano w r. 1874 romantyczne „Buchdrama" w stylu Szujskiego, Bełcikowskiego, Szymanowskiego: „Władysław Biały, książę Gniewkowski", cały wierszem poprawnym, dziejący się w r. 1373 (stricte?) z takimi postaciami omszałymi jak Hanko z Brzezia, Wiszota z Kurnika, Przedpełka ze Stęszewa, Krystyn ze Skrzypny, Bartosz ze Sokołowa; rzecz dzieje się w Gnieźnie i na zamku „Złotoryja", w „krajobrazie zielonym". Utwór nieco studencki a nieco profesorski „Żupan" edidit.

Ten to „grand-seigneur und Poet dazu", meloman muzyczny, koneser Piękna, artysta w każdej fibrze, śpiewak, „Meistersinger", na Słowackim (można powiedzieć) wychowany, miał także swoje lata polityczne, grał w kilku sezonach ważne role, jak „Dante za życia" przeszedł „przez piekło" i przez „niebo".

Mieszkali Kościelscy wtedy w Berlinie. Po śmierci starego cesarza, po krótkich rządach Fryderyka, wstąpił na tron Wilhelm, początkowo jako... Don Carlos, Książę Bismarck w odstawkę, nastała era Caprivi. Autor „Władysława Białego" i „Dzienniczka Justysi" był posłem wybran i z romantycznym temperamentem rzucił się w odmęty i wiry wielkiej polityki. Zainaugurowano kurs pojednawczy, w Poznaniu poparty autorytetem arcybiskupa Stablewskiego. Cesarz wysyła słynny telegram do Kościelskiego, jest z wizytą pierwszą, drugą, trzecią. Polacy w modzie. „Koło Polskie" głosuje za powiększeniem floty (16 głosów pro, Czarliński wygłasza mowę contra). Rozwścieczone Szwaby w Wielkopolsce, biurokracja i „Geschäftspatrioten" zakładają „Ostmarkenverein", Bismarck („Prometeusz źle spętany") dostaje raz po raz ataków rabies teutonica furibunda (Polenkoller). Na przekór Bismarckowi Don Carlos Hohenzollern flirtuje z Polakami, przesiaduje w pracowniach malarzy, wycałowuje z dubeltówki, zaprasza się na zrazy z kaszą i karpia po żydowsku, no i w ogóle do rany przyłóż, dwa bratanki, do grobowej deski, niebo pogodne bez chmur, słońce, zgoda, sztama jak... jak w r. 1848 w maju, kiedy tak samo „uwierzył w Berlin" Kościelski Władysław...

Z tych czasów były stojące na biurku polityka-romantyka duże fotografie Wilhelma II ze strzelistymi duserami. Seferowi-Paszy dawał fotografie i autografy dedykacyjne cesarz Napoleon III... Józefowi Kościelskiemu cesarz Wilhelm II.

Nagle, raptownie, niespodziewanie na pogodnym niebie ciemne chmurki.

Romantyk i zadzierżysty Sarmata z krwi i kości, znalazłszy się we Lwowie w atmosferze wystawowej frenezji i bankietowych „kochajmy się", pali sobie mówkę z pod serca i co się zowie niepodległościową, zjednoczeniową, endecką, wszechpolską. Coś go porwało i nie mógł wytrzymać. I wówczas olbrzymi domek z kart ugodowych, istny drapacz nieba, zaczyna się raptownie rozsypywać. Katatonik Wilhelm odpowiada natychmiast po swojemu z groźbą, książę Bismarck dolewa oliwy do ognia, Caprivi upada, przychodzi Hohenlohe, likwidacja ugody, zerwanie, represje, H. K. T., ustawa wywłaszczeniowa, ausrotten! złożenie mandatu przez Kościelskiego, po czym także jak u Władysława z 1848 pojedynek półpolityczny, półromansowy..., tym razem z zawołanym rębajłą Romanem Jantą - Połczyńskim, co już siedem takich pojedynków odwalił.

„Skończyły się dni piękne w Aranjuez pobytu, królewicz niewesoły wraca"... do Miłosławia. W roku 1905 zakłada Kościelski agresywnie antygermańską organizację „Straż".

Te czasy ekshumowane jak zresztą i całą drugą połowę XIX wieku, jak i całe zakulisowe dzieje Europy przedwojennej poznać mogą dokładnie Wielkopolanie, a potem Polacy z innych dzielnic, a potem Europejczycy w rewelacyjnych „Pamiętnikach" pana ze Smogulca ś. p. Bogdana hr. Hutten-Czapskiego...

Józef Kościelski niestety raptularza nie prowadził, pamiętnika nie pisał. Opowiadać umiał godzinami, ale choć wszyscy dokoła i niżej podpisany za drugim pobytem i przy każdorazowym spotkaniu

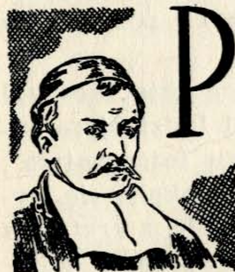
w Krakowie, w Zakopanem, w Warszawie, w Poznaniu najusilniej namawiali, do spisywania Kościelski się nie wziął, odkładał, nie znajdywał czasu. Zanadto kochał życie, ludzi, piękne i mądre panie, artystów, literatów a z nimi niekończące się cenacle i sympozjony. Wypijało się wtedy całe winnice. W pamięci jeszcze taki jeden seans spirytualistyczny z księciem ze Sielca, z szambelanem Cegielskim, z dwoma malarzami z Krakowa bodajże nie w „Cichowicz-Tawern", seans, który trwał... dobę. Doba nawiasem mówiąc i przed wojną liczyła sobie dwa razy po dwanaście godzin.

Drugim nawiasem mówiąc podczas takich cenaclów illo tempore jednak deklamowało się Słowackiego, improwizowało, toasty zaś tylko rymem i rytmem. Illo tempore! Że jednak dużo przy tym pękało butelek i „roztruchany krążyły" z rąk do rąk, więc jedni to przetrzymali, bo przetrwali, za czym ocaleli. A inni zbyt Bachusowi i... Roedererowi ulegli i wierni, zbyt wcześnie zeszli.

Piękny był i postawny, galantuomo i causeur nieporównany i danser niezmęczony i taternik nieustraszony i intellekt wszechstronny. Z Heinego najbardziej lubił cytować: „Deutschland ein Wintermärchen"...

Przypomnieć go należało, gdyż myślał kategoriami wszechpolskimi, choć pozornie był „wszechpolskiego światopoglądu" antypodą.

GALL A NIE GALL



Pierwszy pisarz polski, jaki w ogóle zaistniał, mieszkał czyli bydlił (od tego Bydłgoszcz) tu w Poznaniu.

Pierwszy literat, dziejopis, biograf, monograf, chroniqueur, reporter historyczny (wyraźnie pisze: reportarem) przebywał tu w Poznaniu i tu spisywał to, o czym go informowano, maczając gęsie pióro w inkauście zawieszonym u skórzanego pasa a wypełnionym czarną cieczą, sporządzoną z dębowych... gall-asówek. Sobieskich, Konopczyńskich to praszczur, a Kadłubka i Kromera pradziad.

W Bibliotece Ordynacji Zamoyskich w Warszawie przechowuje się jako ten klejnot w skarbcu najdrogocenniejszy dzieło żywota tego pierwszego historyka i powiększyciela olbrzymów, znanego pod pseud. „Gallus" albo „Gallus Anonymus". Nawet to nie jego rękopisma ale odpis, ale jeden z pierwszych, na pergamencie sporządzony, w formie „in folio" ale „minori folio" w modrzewiowej deszczułkowej okładzinie ze śladami już tylko ongiś mosiężnych okuć. Proprieterem foliału-kopii był ongiś sam też przedpotopowy kronikarz siwowłosy Długosz, jak o tym świadczą Długoszowe własnoręczne glossy i marginalia. Drogocenna relikwia polskiego księgozbiorstwa liczy kart 97. Dlatego tak dużo, że do dzieła „Gallo-

wego“ dodano jeszcze opis żywota Aleksandra Wielkiego Macedończyka, a ponieważ nadto w tekście Gallowego dzieła passus był pewien z mocną exkursją w stronę biskupa Stanisława Szczepanowskiego, przeto dla odkażenia foliału i aby weń kiedyś piorun z jasnego nieba nie trafił, dodano opowieść o pewnym cudzie Świętego Stanisława Szczepanowskiego, na Skałce, jak wiadomo, przez nasłanych posiepaków zabitego.

Kwestia teraz, która się nastręcza: kto zacz był ten pierwszy collega, wielki korowód ludzi pióra inaugurujący? Kto zacz był ten „primus inter patres“, kto go rodzi, skąd przychodzi, z jakich okolic się wywodzi. I tu na to właściwie wiadome nic, z kretesem nijak nic, ciemno jak oko wykól, nie wiadomo, tabula rasa. Badał tę szaradę nad szarady cały kierdel. cały areopag uczonych i kompetentnych od czuba aż do pięty, wtajemniczonych, biegłych, zaprzysięgłych docentów, lektorów i profesorów. Do żadnej jedności i zgodności omal w niczym nie doszli. Niby wszystko wyjaśnili i wyświetlili, a nadal ciemno jak tabaka w rogu. Nawet co do narodowości i przynależności (gminnej) rasowo-plemiennej „gramatici certant“. I nic a nic nie wiedzą, choć od stu lat śledzą, temat młócą i się kłócą i gwarzą i się swarzą i niestworzone bajkowe koncepcje i koncepty komponują. Jakby tych, co najoświeceńsi (oświaty kaganiec) po prostu omroczyło i omamiło. Że kiedyś jeden wielki uczeniec, magister Kromer nazwał sobie naszego pierwszego literata „Martinus Gallus“, a drugi uczony, magnat z Felsztyna Herburt to powtórzył, to po czterystu latach szereg myślących mężów z Mądralina, uczepiwszy się tego jednego płotu powtarzają i robią i będą już robili na wieki wieków z Anonymusa na

przekorę i na opak tak zwanego meteka czyli „wmieszkanego“ (metojkoi) czyli innoziemca, cudzoziemca, obcaka. Że tedy jeden zrobił go Gallusem Martinusem z końca XII wieku, to wszyscy ten „Gallus“ nadal powtarzają, z czego „galli-matias“ porobił się niemały a tak pocieszny i jokowny, że tu z tej nawet Molieroska komedia dałaby się wyroić i wykroić. Z imieniem nawet wielkiego znajdy Nieznajomka nie doszli do porządku, skoro niektórzy robią zeń Gawła (Bielowski), inni Baldwina (Gumplowicz) a wszystko to fikcje i wymysły z palca wyssane.

Odkryli go nam Lechitom (od „ukwaszonych ogórków i herbów“) oczywiście lokalni wmieszkani Niemce. Jak wiele, bardzo wiele („o czym się nie mówi“) różnych różności odkryli nam Niemce. Pierwszy, co go wydał i drukował (Gdańsk 1749), zwał się Gotfryd Lengnich i ten mu utwierdził łaskawie imię Marcina. Po czym Mitzler wziął go pod lupę. Potem J. J. Semler, który Gallusa mianował... Niemcem. Po czym przyszli Bandtkowie: Jerzy potwierdził germańską prozapię (z za Renu), editor J. Wincenty przywrócił Gallusowi pochodzenie polskie. I teraz idzie długi szereg i rzetelnych i sumiennych ekspertów-badaczy, z których każdy występuje ze swoją hipotezą, ale każdy inaczej. Lelevelus, że żaden Marcin ale za to Francuz. Wydawcy nowi: Schlachtowski i Koepke, że ani Marcin ani Gallus, ale Italianin. T. Wojciechowski także, że Italianin. Al. Przeździecki, że żaden Italianin. A kiedy Aug. Bielowski robi z Gallusa Gawła i zakonnika z francuskiego Opactwa Saint Gilles, to Przeździecki przeciw Bielowskiemu, że ani Gaweł ani z zakonu Św. Gawła. Wiszniewski w swej „Historii Literatury“, że jednak Francuz.

Nie sposób atoli i nie godzi się nie wymienić tu speców, którzy ciężko się namęczyli, szukając i ślęcząc, analizując każde zdańko tekstu, żeby tylko coś gdzieś wymacać i na jakiś ślad, jakąś nić Ariadny natrafić. A są wśród nich także tuzy jak obaj Kętrzyńscy (Pomorzanie), jak Finkel, jak Fiałek, jak Wałek, jak St. Krzyżanowski, jak Cz. Znamirowski, no i wreszcie najnowsi: dr. R. Grodecki (Biblioteka Narodowa 1923) i T. Tyc (1924). I multum więc i multa i definitiva i magistralia. Ale gdy się jako tako sumiennie i pedantycznie przebrnie przez ten święty gaj Akademosa, wie się owszem bardzo wiele, ale także i to, że się faktycznie stwierdzonego i autentycznego i pozytywnego o samym Gallusie Anonymie, poznańskim pierwszym literacie, dowiedziało wcale mało.

Bóg wam zapłać za to czcigodni Mistrzowie!

Ale jednak po tym mozole przebrnięcia i przestudiowania, trzeba też coś pomyśleć i wymyślić samemu. Przede wszystkim trzeba samą „Kronikę" Galla przeczytać i to w nowym, świeżym i świetnym, żywym i pulsującym tłumaczeniu prof. Grodeckiego.

I wtedy się dochodzi do własnych, profańskich, prywatnych wniosków i wyników.

Collega Anonymus żył w średniowieku uczonych opatów i kanoników. Był biedny i chciał sobie zarobić na subsydium lub prebendę. Nasłuchał się wiele o sprawach publicznych i politycznych, o dawnych regentach, kampaniach i kompaniach. Postanowił więc sobie wszystko, co zasłyszane spisywać. Przecież nawet takie Czechy, którymi gardził i których nienawidził, miały już swojego dziennikarza wojennego K o s m a s a. Trzeba uprzedzić blagi takiego Kosmasa! Nie będzie to trudno, bo przecież mieliśmy

takich monarchów jak Chrobry, jak Śmiały i jak teraz ten trzeci il Duce Bolko, Krzywousty ale Prostobijący szczególnie tych przeklętych Precliczków, „tchórzów" i „łupieżców", „podstępnych" i „zdradliwych" a „Polski wrogów najzajadlejszych".

Anonymusa z Poznania wprost dławiło obrzydzenie do pobratymców słowiańskich („Wierność czeska kołem się toczy", III. 16). Musiał się wyładować i wygadać. Z pomorskimi poganami Prusakami też miał na pieńku i nienawidził ich porówno z Czechami. Że zaś Bolesław Krzywousty pogromcą bywał wielokrotnym i Czechów i Pomorzan, więc Anonymus postanowił zostać gloryfikatorem, ksenofontem tegoż „syna Marsa", jak go nazywa, powiększycielem olbrzyma Krzywoustego Księcia (il Principe) harfiarzem, druidem, Rapsodem, nawet Wajdelotą, skoro po dwóch rozdziałach prozaicznych, trzeci rozdział zdecydował dać wierszem, rymem i rytmem w tercynach.

Aby to sobie umożliwić, wywiady i interwiewy liczne Anonymus wyczynił u tych wszystkich, którzy w one czasy (1112/3) najbardziej au courant byli wszystkiego, co się działo i trzymali rękę na pulsie i wpływali najmocniej na bieg wypadków. Przeważnie nie byli to ludzie świeccy a raczej mężowie duchowni jako to opaci i biskupowie, praelati, canonici. Stąd też i dedykacja uroczysta dwóch rozdziałów pierwszych, ale stąd też i polemika ognista na początku późniejszego rozdziału trzeciego w tercynach komponowanego. Czterem biskupom tedy poświęcone a „Księdzu Marcinowi z Bożej łaski poznańskiemu arcybiskupowi" na samym wstępie. Z osób świeckich figuruje w dedykacji tylko „kanclerz Michał", nie żaden tam „kanclerz kapituły kruszwic-

kiej" (jak przypuszczają niektórzy gallologowie) a „cancellarius regni Poloniae", cywilny dygnitarz nadworny. Jego to nazywa Anonymus „współpracownikiem" i „wykonawcą podjętej pracy" i jemu też życzy, by kiedyś po śmierci dołączony był aż do grona świętych „na Górze Pańskiej Syjon..."

Interwiewy z prominentami poszły składnie, materiału zebrało się sporo, ale w materiale znalazły się też i „rzeczy ludzkie, bardzo ludzkie" to jest pewne skandale i drastyczne afery rodzinno-dynastyczne, dalej konflikt między... „plebanią a dworem", pewne zbrodnie, mordownie, oślepiania, „sprawcy nieznani", skrytobójstwa, bratobójstwa... ot jak wszędzie na całym globie bywało, bywa i będzie; w średniowieczu może bardziej bezceremonialnie.

Anonymus był veredykus. Jakaś natura prosta, jasna, szczera. Nie znał się jeszcze na kunsztach kompromisowania, tuszowania i retuszowania, czego nauczyli się dopiero w sto lat jego następcy: Kadłubek, Kromer, Długosz, Herburt, Bartek Paprocki... Nie umiał kłamać, choć tu i owdzie koloryzował. Zakochany w Krzywoustym za tłuczenie wstrętnych Czechów i gromienie bydlęco-pogańskich „Prussi", nie ukrywał się ze swymi tendencjami stuprocentowo monarchicznymi, militarnymi, faszystowskimi, jedynowładczymi. Il Principe to il Principe, Duce to Duce i nikt tu nic nie ma więcej do gadania. Ale nawet, gdy książę, gdy regent pozwoli sobie cokolwiek zanadto, to choć zwycięzca i tryumfator, choć nawet „podstępnym", „chytrym" zawistnym Czechom sprawi łaźnię taką jak nad rzeką Trutną (8 paźdz. 1110), której się nawet ten głupi Kosmas nie zapiera, to jeżeli takowy książę w toku panowania swego raz trochę się potknie i na ten przykład „oślepi rodzonego

brata", to w Chronice, w dziejopisaniu tego ...oślepiania nie zataja, ale sypiąc superlatywami gdzieindziej („w trzy dni przeszedł do Czech jako Hannibal przez Alpy"), to bratobójstwo piętnuje jako „grzech" i „zbrodnię" oczywiście nie zbyt znowu rozdymając epizod i detale dając oględniej i nieco mglisto, w półsłowiu. Jak się taka mglistość (dyplomatyczna) preparuje, tego przykładem jest ten słynny passus z dziejów Bolesława Śmiałego, z którego potem, potem porodziły się dramaty i poematy, o który zawrzały najzagorzalsze polemiki, z którego czcigodny prof. Wojciechowski po dwunastu latach pracy wysnuł ciężki tom wielkich rewelacyj.

W każdym więc razie kronikarz Anonymus veredykus się naraził, jak to się mówi. Na prawo i na lewo naraził. I „sfery dworskie" nie musiały być bardzo zadowolone z tego wywlekania „chronique scandaleuse" i awantur familijno-dynastycznych. I na „wyspie Tumskiej" — jak się to mówi — też nie bardzo się chyba zachwycano tymi aluzjami i niedomówieniami zbyt wymownymi. Gdyby były telefony w owych czasach, długo by rozmawiały kancelaria gnieźnieńska z płocką, wrocławska z krakowską, poznańska z Kruszwicą, Kruszwica z Lubiniem: co z tym fantem zrobić? No, i na dobitek te dedykacje przed pierwszym rozdziałem a ta polemiczna dyatryba przed trzecim całkiem zuchwała i kłótliwa i to odwoływanie się do werdyktu hierarchii i to gadanie wreszcie, że nie dla Kościoła to pisał, ale dla rozesławienia il Duce. A tu na dworze il Duce dworacy, podchlebcy też judzą i podbechtują, że poco to było wywlekać afery dziadka, ojca, stryja?...

I oto w rezultacie stało się, że nasz biedny skryba veredicus nie tylko nie dostał żadnej prebendy ani

synekury, ani nic z funduszów dyspozycyjnych, ani domu ani łomu, ani glorii, ani orderu, ani privatdocentury... co mu świtało w głowie, gdy się, o jakże ochoczo, do pisaniny zabierał, ale że w gruncie rzeczy gdzieś znikł, przepadł, sczeznął tak, że śladu po nim nie zostało i wszelki słuch o nim zaginął. Uratowała się tylko gdzieś tam na jakiejś półce bibliotecznej jakiegoś klasztoru, schowana skrypcina przez myszy nadgryziona, która potem jakoś szczęśliwym trafunkiem wpadła w ręce dominusa Kromera.

No, a nadto za karę za życia jeszcze zapewne niefortunny, bo nietaktowny literata został po prostu wyobcowany, znaczy się został o b c y m. Ptak tutejszy takby swego gniazda nie kalał i możnym tego świata nawet przygodnie i pobieżnie różnych bagatel, potknięć i wypsnięć pod światło nie wywlekał. Takie słuchy i takie gadki musiały w owe czasy iść po ludziach. Owszem, napisał Chronikę z talentem, jest co do czytania, dużo rzeczy ciekawych i nieznanych razem zebrał, warto nawet odpis zrobić dla domowego księgozbioru, ale jednak wykazało się, że c a ł k i e m n a s z różnych takich spraw i on-dit zakulisowych by nie wywlekał a raczej zataił. W każdym razie był to „pan Nietutejszy“, za czym przywędrowany. Sam przyznawał, że exil i peregrinus za czym innoziemiec, więc może Niemiec, może Gallus? może Italianin? może tylko jakiś Słowianin, ale z Węgier, ale najprawdopodobniej taki Francuz..., Gall, Gall „crocitans...“

A my tu twierdzimy z pełną odpowiedzialnością i po przebadaniu i przestudiowaniu może najściślejszym całego materiału obciążającego, że rację mieli Bandtke junior, Kownacki meloman i ci, co nieśmiało twierdzili, że to P o l a k, tylko Polak z innej dzielnicy, Polak z Południa.

Uchylamy kontr-argument, że przecież mówił i pisał możliwie czystą obiektywną, bezpartyjną, nie oportunistyczną stuprocentową prawdę. I tacy bowiem Prawdzice u nas bywali.

Twierdzenie, że kronikarz Gallus nie był żadnym Gallusem, proponujemy oprzeć na szerszej podstawie rezultatów naukowych badań prof. Balzera, Kutrzeby, Potkańskiego i na Stan. Kętrzyńskiego mało znanej a ważnej pracy pt.: „W m o n a r c h i i p o l s k i e j K r ó l e s t w e m b y ł a W i e k o p o l s k a i tam majestat Królestwa miał gniazdo swoje“.

Tempore illo za Krzywoustego tytuł dziedzica Królestwa Polskiego przywiązany był t y l k o do tej dzielnicy. Kto ją dzierżył miał prawo do tytułu „haeres regni Poloniae, rex Poloniae“, pan Wielkopolski za czym król polski, dux Sandomiriae, dux Pomeraniae, dominus Glogoviae, dominus Wratislaviae. Polonia major czyli Inferior, Polonia Septentrionalis (Poznań, Gniezno, Kalisz) to była właściwa Polonia, „regnum Poloniae“ w oficjalnej nomenklaturze.

B i s k u p p o l s k i, to znaczyło biskup p o z n a ń s k i.

„Cancellarius regni Poloniae“ to znaczyło za Krzywoustego: kanclerz wielkopolski, a w tym wypadku Michał, generalny informator, współpracownik, współtwórca „Kroniki“ Anonyma.

Rozpatrując problem „Gallusa“ pod kątem widzenia rezultatów badań ustrojowych Polski prof. Balzera, Kutrzeby, Potkańskiego i St. Kętrzyńskiego ośmielamy się twierdzić, że Anonymus false Gallus był jednak Polakiem, tylko że nie z Wielkopolski (Polonia Septentrionalis) lecz z Południa... Nie tylko

dlatego, że pisał: „nostra patria... haec patria... honor patriae... patriam meam vel parentes meos", nie tylko dla tych słów zresztą już stwierdzających druzgocąco jego polskość rdzenną i nienabytą dopiero przed pisaniem, ale dlatego, że z każdej karty jego może nieudolnej, niezgrabnej, symplistycznej ale czarująco interesującej „Kroniki" przebija najautentyczniejszy, rasowy, dziedziczny, nie dający się podrobić nacjonalizm integralny i instynkt, instynkt instynkt polski! Takimi z najgłębszego serca idącymi gorącymi słowami o swym ukochanym bohaterze Krzywoustym nie mógł pisać żaden wynajęty a nawet przepłacony Francuz, Włoch, Niemiec, żaden „Słowian z Węgier". Tak się wściekać i pienić na szczurowatość zawistnych Czechów nie mógł żaden obojętny międzysłowiańskim konkurencjom i rywalizacjom Gallus. Tak się gryźć i martwić różnymi polskimi mankamentami nie był by potrzebował i nie był by potrafił i nie był by podrobić w możności żaden „peregrinus"...

Peregrinusem i „obcym", exul-wygnaniec sam siebie nazwał, gdy mu już nadojadła i nadzieję nagrody odebrała „czyjaś nienawiść czy próżność", (jak się skarży...) niekoniecznie nawet dzielnicowa a raczej stanowa... Tumska.

A jeszcze jeden argument za najgłębiej narodowym instynktem pierwszego polskiego historyka i pierwszego poznańskiego literata, argument zachowany na sam koniec.

Ten rzetelny, prosty człeczyna o bardzo prymitywnej ogładzie i uprawie umysłowej, (mieszający np. Amfitriona z Amfitrytą), puszczał się czasem w swej Kronice na czystą twórczość, na komponowanie mów, listów, dyalogów, jakie rzekomo miały wieść

ze sobą i wygłaszać jego postacie z epoki... Lohengrinów, Parsifalów, Walgerzów Wdałych, Tannhäuzerów...

Kiedy tedy opowiada, jak to jego „Komendant" wybrał się ze swoimi wojami i witeziami z Głogowa (Śląsk) na Kołobrzeg (Colberg) i jak tego dokonał w sześć dni i jak z tym rycerstwem stanął nad morzem, wtedy dla polskiego rycerstwa komponuje Anonymus pieśń bojową, hymn na widok morza przez rycerstwo chórem śpiewany.

Zważcież teraz, że to był rok Pański: 1104!

Podajemy tu hymn ten w dosłownie doskonałej translacji prof. Romana Grodeckiego.

Naszym przodkom wystarczyły ryby słone i cuchnące,
My po świeże przychodzimy w oceanie pluskające.
Ojcom naszym wystarczyło jeśli grodów dobywali,
A nas burza nie odstrasza ni szum groźny morskiej fali.
Nasi ojce na jelenie urządzali polowanie,
A my skarby i potwory złowim skryte w Oceanie.

Kto taką pieśń tysiąc lat temu napisał, kto miał takie poczucie kategorycznego imperatywu polskiego dostępu do morza, kto w łacińskim języku z takim impetem i ferworem wyśpiewał bojowy nasz animusz, kto się tak radował zdobyciem dla Wielkiej Polski... Kołobrzega, ten Polakiem urodzić się musiał. Nie żaden przeto Gallus jest ten Anonymus.



SPIS RZECZY